CZARNA PEREŁKA.

CZARNA PEREŁKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM F. H. RICHTERA.
W DRUKARNI W. MANIECKIEGO.
1871.

W tej serdecznej Warszawie, jak ona jeszcze przed ostatnimi była wypadkami, a nawet jak jest dzisiaj, choć jej oblicze smutnie się teraz zmieniło, wśród świetnego i widocznego życia, ileż to się odegrywało dramatów na strychu i tragedyi po poddaszach, których żadne nie oglądało oko, chyba po troszę odgadł je wzrok milczącego stróża a wyczytał trumniarz, co lichą dźwignął po schodach zbitą z tarciczek, jak ją na Rusi zowią — domowinkę w ostatniej godzinie. Niekiedy ciekawsze oko mogło podpatrzeć tam życie i domyśleć się gry jego, tak zmiennej, tak różnej jak barwy opalu, w których się słońce przyglądając mieni.

Życie ludzkie... tak jednakowem wydaje się zdala, a tak dziwnie i nieskończenie jest rozmaitem, gdy się na nie patrzy serca i duszy mikroskopem. Na ówczas ta czarna i różowa plamka rozkłada się w cały świat kształtów, świateł i cieni.

Z tych wzorów nieśmiertelnych życia tworzy fantazya obrazy, ale bezsilna jest jak dziécię, które z malowanej karty figurki wystrzyga... nowego nie potrafi urodzić, ledwie ze szczątków coś klei.

Dobrze jeszcze, kto posłuszny prawom niezłomnym nie sili się daremnie na to, co nie możliwe, i odwzorowuje naturę podziwiając jej cuda nie wyczerpane... Te tylko obrazy życie przypomnieć mogą, które są z rzeczywistości

czerpane. Można je bluszczem umaić, ukwiecić, oświecić... ubarwić—ale cóż stworzyć potrafi człowiek ograniczony żelaznemi ściany swojego organizmu cielesnego i duchowego!!

Mówmy więc o tem, na co oczy patrzały, i co przeżywszy rzeczywistość ma prawo odrodzić się jeśli nie w pieśni, to w opowiadaniu zimowego wieczora.

Jeden z dwóch pałaców rodziny Zamojskich na Krakowskiem przedmieściu był przed rokiem 1861 podzielony na mnóstwo drobnych mieszkań, które dosyć tanio różnym osobom wynajmowano. Mieściło się tam i młodzieży wiele, i mniejszych a niezamożnych rodzin urzędników i wszelkiego powołania ludzi szukających bezpieczeństwa i schludności przy umiarkowanej cenie.

Na drugiem piętrze jeden z pokoików szczupłych, z malutką sionką tylko, zajmowała od niejakiego czasu osoba... która ludność pałacu, złożoną w większej części z młodzieży, mocno zaintrygowała. Jak się ona tu potrafiła dostać, gdzie kobiet samotnie mieszkających nie przyjmowano, kto jej to mieszkanie wyszukał i najął, nie wiedziano. Nie postrzeżono nawet zrazu, kiedy się wniosła... a tak wychylała się mało za próg swego pokoiku.... i tak ostrożnie znać, aby wejrzeń nie ściągnąć, iż nierychło jakoś oko ciekawego młodzika wyszpiegować ją potrafiło.

Było to poźną jesienią; pan Zygmunt Haraburda, rusin, uczeń malarza Simmlera (który prawie nie przyjmował uczniów i uczynił tylko dla niego wyjątek) wracając ku wieczorowi na trzecie piętro, gdzie się mieścił, spotkał na schodach niespodziane zjawisko...

Nie mógł dostrzedz dobrze rysów twarzy, ale jako artysta w półmroku ciemno zarysowującą mu się postać niezmiernego wdzięku proporcyi i gracyi klasycznej, niby ożywiony posąg starożytny ze dzbankiem w ręku... posuwający się ku górze ujrzał i stanął zachwycony. Szła nieznajoma owa lokatorka tak żywo jak tylko mogła, jakby się szelestu kroków przelękła... Zygmunt pospieszył, aby ją lepiej zobaczyć, ale nim dobiegł, pięknych kształtów dziéwczę gdzieś mu jakby cudownym sposobem znikło.

Zygmunt, który oczyma się uczył świata i patrzał na wszystko z podwójną ciekawością młodzieńca i malarza, znał wszystkich mieszkańców tego domu... Każdego z nich nieco w karykaturze miał w swoim albumie... a dotąd tej prześlicznej karjatydy greckiej, a raczej kanefory nie widział.

Dotknęło to jego miłość własną. A że do projektowanego szkicu Racheli u studni potrzebował niewieściego wzoru, który mu mignął tak drażniąco się kryjąc... nie mógł sobie darować, że szedł powoli i chwilę na widok linij tej postaci osłupiał.

Postanowił więc sobie dotrzeć koniecznie i wyśledzić, która z dzięwcząt noszących dzbanki ma taką kibić zachwycającą i taki wdzięk ruchów...

Niestety, ani nazajutrz, ani w ciągu tygodnia nie potrafił wyśledzić znikłego zjawiska... Dziewczęta wychodzące po wodę z domu były przerozmaitego wzrostu i postaci, ale żadna z nich w najmniejszej rzeczy nie była podobną do tego snu wieczornego. Na ostatek Zygmuś powiedział sobie, iż mu się przywidziało... że sam stworzył a raczej przypadek te linie greckie wśród polskich prozaicznych schodów wiodących na drugie piętro.

Na tem się skończyło, gdy jednego ranka schodząc nieco poźniej (był to dzień niedzielny), zobaczył przed sobą idącą tę samą kibić klasyczną, tę samą marzoną kaneforę... Tym razem wszakże nie niosła ona nic, prócz książki do nabożeństwa w ręku, a ubrana była acz skromnie ale tak wytwornie, iż dzbanek w jej dłoni wydawał się anomalią. Pan Zygmunt potrafił ją wyminąć i zajrzeć jej w oczy, albo raczej zobaczyć twarz, wzroku nań bowiem nie podniosła... Stanął zdumiony we wrotach, aby ją jeszcze oglądać przechodzącą, i przekonał się, że ona nie mogła nieść dzbanka.

W tej nieznanej panience było coś tak oryginalnego, dumnego, pańskiego i dzikiego razem, tak skromnie i majestatycznie przeszła koło niego, iż malarz sobie powiedział: nie, to nie ona! Ale, taż sama czy inna, piękna dziewica tak niepodobną była do ogółu twarzy niewieścich oglądanych codziennie, iż Zygmunt westchnął, że jej odmalować nie potrafi.

Typ fizyognomii był wschodni może, a jednak nie hebrejski—różny od niego, dzikszy jakiś i energiczniejszy. Na tamtym tysiącletnia wypiętnowała się niewola, tu coś nieokiełznanego i tchnącego swobodą pustyni i lasów. Płeć miała smagłą, ciemną, ogorzałą niemal, oczy czarne, smutne i groźne, włos kruczy... a kształty kibici były uroczej budowy. Niegodziwe suknie nie potrafiły zeszpecić i zakryć tego chodzącego posągu Junony azyatyckiej.

Ubior jej był taką zagadką jak ona. Składał się z kosztownych materyałów widocznie poprzerabianych i zastosowanych na nowo do wymagań mody... bardzo zręcznie a jednak niepospolicie. Nie ubrała jej lada modniarka,

i strój nie był chwycony w pierwszym lepszym magazyniku. Niosła go na sobie z godnością, ze smakiem, możnaby rzec z uczuciem wrodzonem, pełnem nieopisanego wdzięku. Chód jej nawet był inny jakiś, nie miejski... Dotykała ledwie stopą bruku, sunęła się po nim, ale czuć było siłę w tym pochodzie pewnym siebie i śmiałym. Gdy malarz spojrzał na nią, na twarzy bronzowej, podobnej do indyjskiego bóstwa, nie było wyrazu innego, oprócz głębokiego zamyślenia i smutku. Smutek ten nie skarzący się, jakby mimowolnie przeciskał się przez zmartwiałe rysy nawykłe do poważnego spokoju.

Szła widocznie do kościoła i znikła mu z oczów.

Nie byłby artystą i dwudziestoletnim młodzieńcem pan Zygmunt, gdyby na widzeniu tem poprzestał... poszedł na zwiady... O nazwiska lokatorów dowiadując się pilnie dośledził, że na drugiem piętrze stała panna Lenora Zara, tak mu ją nazwano — samiuteńka jedna. Stróż nieco wtajemniczony w byt i położenie lokatorki, poczęstowany papierosem, dodał, iż cały dzień siedzi zwykle zamknięta w swoim pokoju, że była ponoś jakaś trudność z umieszczeniem jej w pałacu, ale ta jakimś tajemniczym, wszechmogącym wpływem usuniętą została... i że dalipan, więcej nic o niej nie wie... Nazwisko brzmiało jakoś cudzoziemsko; Zygmunt spytał stróża, czy mówi po polsku, a ten ruszył ramionami i zapewnił, że kilka jedynych słów, jakie z jej ust do jego ucha spłynęły, doskonałą były polszczyzną powiedziane. Na tem się skończyło... i więcej już dowiedzieć się nie było podobna.

Nie ma podobno kraju, gdzieby piękna kobieta większą cześć odbierała i obudzała zajęcie gorętsze jak w

Polsce. Często uwielbienie to bywa nawet niegrzeczne i natrętne, można je tylko dla pobudek wytłumaczyć, jest to zdegenerowana cześć piękna w ogóle.

Wkrótce też cały pałac wiedział o tej nieznajomej, badał ją i zajmował się odgadnięciem problematu: kto ona być mogła. Postać zapowiadała coś z wyższego świata, ubóstwo temu przeczyło; okrywanie się tajemnicą i życie zamknięte było niezrozumiałem.

Nigdy nie przemówiła do nikogo, nie obejrzała się, nie postarała o te sąsiedzkie prawie nieuniknione stosunki, które się same zawiązują. Obok mieszkał biuralista z żoną, córeczką i służącą, graniczyli z sobą przez ścianę, a pan Melchior i pani Melchiorowa zaręczali, że u tej panny przez cały dzień ledwie jaki szelest albo westchnienie słyszeli. Nikt a nikt nigdy u niej nie bywał. Kaśka niezmiernie ciekawa służąca tych państwa stawała na czatach, widywała ją przynoszącą sobie wodę do dnia, wychodzącą czasem wśród niego z wyraźnem staraniem, aby się z nikim nie spotkać... niekiedy wymykającą się ze dzbankiem wieczór... zresztą... drzwi były na klucz zamknięte i cisza głęboka. Kaśka postrzegła i to, że panienka chodziła w jedwabiach, że miała piękny szal, kilka chustek kosztownych i zawsze świeże rękawiczki.

— Co to to jest? — mówił pan Melchior zażywając tabakę, systematycznie nogę prawą zakładając na lewą i lewą na prawą, aby nie drętwiały — to jest egipska enigma. W atłasach ze dzbankiem po wodę? Oczewiście jakaś historya... jakiś dramat, który się wytrawia po cichu...

— Ale co ma być!— niecierpliwie przerywała sama jejmość, nie lubiąca poezyi i niewieścich zagadkowych egzy-

stencyi — co ma być! Zaraz ichmość robicie heroiny z lada wyszarzanego kawałka atłasu.

— A jak Boga kocham — zawołała z drugiego pokoju głowę wystawiając Kaśka z poufałością starej sługi — że ma takie szale i chustki... i suknie jakby jaka pani.

— A sama wodę nosi!—dodała ruszając ramionami pani Melchiorowa — to mi się podoba. Dajcież już temu pokój.

I nietylko pan Zygmunt, państwo Melchiorowstwo, Kaśka, ale cały pałac niesłychanie był zajęty ową panną, której nazwisko nic nie mówiło... a osoba tyle dawała do myślenia...

Zwykle w takich razach, gdy się ludzie śledzić uprą, coś naostatek odkopią, prawdę czy fałsz, i tem się zaspokoją, tu nie podobna było nic się dowiedzieć.

Z jeograficznego położenia i natury swych zatrudnień Kaśka była jeszcze może najlepiej uposażoną do podsłuchania i podpatrzenia czegokolwiek; jako narzędzie miała niewieścią, słynną po matce Ewie odziedziczoną ciekawość. Ale wszystko to nie pomogło. Próbowała parę razy nastręczyć się do małych posług, odebrała grzeczne podziękowanie tylko i nic więcej. Ale że była w dodatku bardzo poczciwą dziewczyną, której serce na niedolę biło, bo jej wiele w życiu przebyła—nie zraziła się odmową i z duszy pragnęła w czemś być użyteczną tej panience, której położenie litość w niej obudzało.

— Co tam ja — mówiła w kuchni — że ja ciężko pracuję a na palca zawinięcie zarobić nie mogę... no to co? dyć to już było tak i z rodzicielami, ta i ze mną, bo na tośmy się rodzili z przeznaczenia bożego; ale ta... czarna... chodziła ona zawzdy po wodę do studni? Przypadło na nią nieszczęście — ta to cierpieć musi stokrotnie, bo nie

nawykła... Nieraz się patrzę, jak niesie tę wodę, albo coś z miasta— ono to prawda, że pięknie nieść umie, człekby tak nie potrafił — ale co? czuć i widać, że jej to ciężar straszny, a oczy spuszcza ze wstydu... Ale dumna jejmościanka... ani piśnie. Kilka razym ją zaczepiła, ino główkę obróci, spojrzy temi oczyma kieby węglami, a głos jak muzyka... jakby spiewał... ino taki smutny, że się płakać chce.

Wzdychała Kaśka, że jej pomódz nie mogła, że się wkraść nie potrafiła... a nie straciła ochoty do swych psychologicznych studyów nad nieznajomą.

Pan Zygmunt porwany wirem artystycznego żywota zaniedbać je musiał, a państwo Melchiorostwo radzi byli, że mieli spokojną sąsiadkę.

W tych czasach, jakoś o św. Michale, wniósł się na pierwsze piętro kawaler wielkich nadziei, pan Roman Junosza Zarybski, młody dziedzic znacznej fortuny, którego rodzice wyprawili do Warszawy dla swobodnego ukończenia wychowania. Pretekstem były lekcye muzyki, gdyż był muzykalny, lekcye akwarelli u Kostrzewskiego, gdyż nieco malował, i prywatne różne studya, których wybór jemu samemu był zostawiony.

Roman pochodził ze szlacheckiej wprawdzie rodziny, ale niedostatniej dawniej a dopiero w ostatnich czasach, gdy fortuny jak grzyby rosnąć się nauczyły, nagle zbogaconej. U nas rodzina, przychodząca do majątku, za pierwszy sobie zaraz poczytuje obowiązek, zupełnem przejściem na łono społeczności arystokratycznej, europejskiej, zerwać z przeszłością i wkupić się do większego świata. Nie przychodzi to bez ofiar, ale czegoż się nie uczyni, aby zająć stanowisko przyzwoite!! Skutkiem starań rodzicielskich

o przyjęcie do bractwa było, iż syn już najzupełniej do niego się wcielił.

Romanek nie tylko że wyglądał arystokratycznie, nie tylko że mówił lepiej po francuzku niż po polsku, że przywiązywał do prozapii i genealogii niesłychaną wagę i stworzył sobie wywód od dwunastu wojewodów, że był jak najgorętszym katolikiem nie z serca ale dla tonu i z obowiązków stanu, chociaż młody poślubił jeszcze konserwatywne przekonania i wstręt do rewolucyi, agitacyi, czerwoności, z którym lubił się popisywać wszędzie. Był ze wszech miar młodzieńcem wzorowym, uczęszczał do najlepszych towarzystw i tylko do domów znanych z rodu i usposobień pokojowych, ulicą się brzydził, a bez rękawiczek nikt go nigdy nie widział i bez nieposzlakowanego cylindra. Powierzchowności pan Bóg mu nie dał wdzięcznej, był chudy, długi (nie wysoki, bo to inaczej wygląda), posępny, z nosem trąbiastym, włosy nosił gładko, a mimo młodości arcy był poważny i —że studyował genealogię domów polskich, przeto inne lekkie literackie produkcye wcale dlań nie miały wartości. Znano go jako pełnego nadziei poczynającego archeologa, zaprzątnionego historyą guzików herbowych... Znakomite do niej zebrał był materyały.

Roman wyglądał nieco donkiszotycznie, trochę śmiesznie, ale nadzwyczaj przyzwoicie. Gdy kogo los zechce kompromitować, czyni to czasem w sposób tak nieznośnie drapieżny, żeby go można posądzić o chęć drwienia z ludzi. Roman stanął w pałacu Zamojskich dlatego, iż mu się to zdawało przyzwoitszym niż gdzie indziej, a licho nadało, że na trzeciem piętrze znalazł tu Haraburdę dalekiego krewnego, bez któregoby się był wyśmienicie obszedł.

Drugiego dnia dopytała się doń ciotka, która była zapomnianą przez rodzinę, a niestety! — wraz z mężem zajmowała się sprzedażą mąki i krup!

Choć nie dał tego poznać po sobie pan Roman, ciężko go te dwa spotkania zgryzły i przybiły. A od Haraburdy się uwolnić i drzwi mu zamknąć nie było sposobu, ciotki się wyrzec zdawało niepodobieństwem.

Na dobitek nieszczęścia Roman miał kompleksyę nader romansową, jak się o nim wyrażał kuzynek... i choć się z tem taił nieco, jednym z celów przybycia do Warszawy było... zawiązanie jakichś stosuneczków cichych, któreby kawalerski żywot urozmaicić i zazielenić mogły.

Tradycye tego świata, do którego należeć pragnął, wcale się temu nie sprzeciwiały, wiedział tylko, iż należy zachować d e c o r u m. Wkrótce po zajęciu lokalu na pierwszem piętrze i umeblowaniu go tak, aby mógł choćby właściciela pałacu przyjmować, jednego dnia schodząc ze schodów Roman pracował nad prawidłowem włożeniem rękawiczek dziewiczej świeżości. Mozolił się nad niemi, gdyż łapę miał cale nie pańską, a chciał, by uchodziła za kształtną i małą. Już był wcisnął palców czworo i pozostawał mu piąty gruby i niezgrabny klocek do wświdrowania, gdy... stanął i osłupiał... rękawiczka pękła... usta się rozdarły.. i ogromne — ach! wyrwało się z nich.

Schodami szła od dołu żywo, pewnie nie spodziewając się spotkania, owa nieznajoma Lenora... dźwigając spore pudełko... Roman ujrzał ją—i po wstępnem: ach!—zawołał:

— Pani tu! Mlle L e n o r a i c i?

Panna podniosła czarne oczy bez podziwu i przestrachu, popatrzała jakby jej sobie trudno było przypo-

mnieć tego dobrego znajomego, i lekko pozdrowiwszy go głową, nie odpowiadając nawet, poszła dalej.

Za Romancm szedł natrętny kuzynek Haraburda.

— A no! — rzekł — przecież się historyi tej chodzącej zagadki dowiemy. Pozywam pana Romana, aby powiedział, co o niej wie.

— Co ona tu robi? — spytał żywo Roman.

— Ale ja ciebie się o to pytam! Mieszka na drugiem piętrze, wodę sobie sama nosi, cały dzień siedzi zamknięta. Któż to jest?

— Ja nie wiem, kto to jest — rzekł Roman — to tylko wiem, że w domu starej wojewodzinej (jednej z ostatnich wojewodzin 1831 roku) widywałem ją na stopie dziécięcia domu, panią niemal samowładną, gdyż wojewodzina nieco była zdziecinniała. Wiem że ona podobno zmarła—dalej—nic...

— Czy krewną była?

— Czy krewną? Kto to może wiedzieć! — dodał Roman — jedni powiadali, że krewna, drudzy że córka... co było fałszem, a inni nic, jak my teraz nie wiedzieli. Coś się stać musiało! — zawołał Roman, kiedy ona tu jest.

Młodzieńcowi oczy pałały mówiąc, i pomimo pęknięcia rękawiczki, nad którem bolał wielce, bo był skąpy (to należy do tonu od niejakiego czasu), zapomniał się do tego stopnia, iż Haraburdę wziął pod rękę wychodząc w ulicę.

— Tak wykształconych osób jak ona — dodał — mało w życiu się spotyka... gra, spiewa, maluje, czyta... pisze... mówi językami wszystkiemi... umie nawet po hiszpańsku... a rozum, a dystynkcya. A! — rzekł — to pewna, że w jej żyłach nie lada krew płynie.

— Sina! — uśmiechnął się Haraburda.

— Cóż to jest? Co ona tu robić może... osoba tak wysoce... głowę tracę! Boć mówiono powszechnie, że miała zapewnionego pół miliona posagu.

Rozmowa się na tem skończyła. Romanek poszedł na zwiady, tegoż wieczora zagadnął parę osób o los Lenory, o wojewodzinę... ale przez zaciśnięte zęby nikt nic wycedzić nie raczył. Spoglądano na niedyskretnego badacza dziejów ojczystych, tym razem zbaczającego z drogi swych studyów, chrząkano i milczano...

Na pytania o Lenorę ten i ów szepnął:

— A! vous parlez o „Czarnej perełce“!

— A! Czarna perełka!... I wszyscy milczeli. Zdaje się, że to nazwanie Czarnej perełki dała jej kochająca ją nad wyraz wszelki wojewodzina.

Nic dowiedzieć się nie było można.

Jednego dnia Kaśka naprzemian wzdychając i spiewając przymiatała nieco w korytarzu, przez miłosierdzie szerzej nieco szczotkę puszczając, tak ażeby i z przed drzwi nieznajomej panienki pył ściągnąć, gdy leciuchno, ostrożnie drzwi się te otworzyły, tak że przez nie nic jeszcze dojrzeć nie było można, i po raz pierwszy Kaśka usłyszała:

— Moja panienko!

Uszczęśliwiona zbliżyła się do szpary... Drzwi otworzyły się nieco, ręka biała dała jej znak, aby weszła. W ręku tym bielała złotówka jakby dla oszczędzenia słów i prośby o usługę małą... Twarz poczciwej Kasi oblała się rumieńcem... Przed nią stała nieznajoma panna w szlafroczku, w pół ubrana, blada, mizerna i widocznie chora.

— Moja panienko — rzekła jej cichym głosem — tyś tak dobra...

Chciała jej wcisnąć złotówkę... ale Kaśka rękami machając cofnęła się aż do progu.

— Jeźli masz czas, bądź łaskawa, zanieś moją karteczkę lub odpraw przez kogo do doktora... Mieszka nie daleko. Sama słaba wyjść nie mogę, miłosierny spełnisz uczynek.

— Ale jakże... ale z najmilszą chęcią — zawołała Kasia chwytając papier żywo — odniosę zaraz. I dalibóg, niech panienka nie robi ceremonii, państwa w domu nie ma... jabym w czem usłużyć mogła... panna tak sama, no i słaba.

— Nic, nic, tylko proszę o doktora, bo istotnie czuję się nie dobrze.

Kaśka popatrzyła, objęła wejrzeniem pokoik cały, radaby była w dłuższą się wdać rozmowę, ale piliło (jak mówiła), zerwała się biedz do lekarza... W istocie nieznajoma panna drzała osłabiona i chwiała się na nogach.

Pomimo krótkiego pobytu na progu przedpokoiku, od którego drzwi do mieszkania były otwarte, Kaśka widziała wiele, a przynajmniej więcej, niż ktokolwiekbądź. Ale była z tego oznaku zaufania tak dumną, iż się swemi wiadomościami wcale popisywać nie chciała.

Ludzie widzieli ją, gdy wchodziła i wychodziła przez zaklęte drzwi, ale gdy się jej pytali, okryła się tajemnicą, ruszyła ramionami i nie wydała, co tam zobaczyła.

We dwadzieścia minut może po powrocie Kaśki nadjechała karetka doktora, i stary, zacny lekarz, znany całej Warszawie, żywo wbiegł na wschody; panna Leonora musiała go widzieć z okna, gdyż nim zapukał otworzyła mu drzwi.

Wszedł do pokoiku i zdumiony powoli zbliżał się rozpatrując, jakby oczom nie wierzył.

— Co pani tu robi? — zapytał... co to jest?

— Nie pytaj mnie, kochany konsyliarzu, co robię, dla czego tu jestem, czemu mnie samą i w tym stanie znajdujesz — radź mi, bom chora.

Przybliżyła się do kanapki i powoli jakby zesłabła, zsunęła się na nią.

Doktor milczący wziął za puls, począł badać, czoło mu się zmarszczyło, ramionami ruszył.

— Przepraszam panią — odezwał się — nie jest to niedyskrecya ale konieczność. Lekarz musi czasem być

spowiednikiem. Ja nie poznam choroby, nie rozumiejąc jej położenia.

Czarnemi oczyma smutnemi spojrzała z wyrzutem jakby na doktora panna Lenora, milczała długo, a usta jej drzały. Ręka jej, którą doktor puścił, bezwładna leżała na stole biała, wychudła, a piękna jakby na wzór dla artysty... leżała bezmyślnie rzucona, i przez nią malował się stan ducha zwątpiałego, zobojętniałego na wszystko.

— Co pani tu robisz? — powtórzył doktor.

— Widzisz, jestem tu, mieszkam sama, pracuję...

— Dla czegoż sama i tu? Co się stało z wojewodziną...

Lenora milczała długo, ukryła twarz w dłoniach, poczęła płakać i łkać.

— Wojewodzina umarła? — spytał doktor.

— Nie żyje — cicho odparła kobiéta — nie żyje matka moja i dobrodziejka... nie mam na świecie nic i nikogo... oprócz słabych rąk i obłąkanej głowy...

— Ale przecie pani byłaś w jej domu jakby własne jej dziécię, nie podobna ażeby cię tak zostawiła.

— Ona! — zawołała Lenora — ona! ten anioł dobroci! ona! a! nie posądzajcież jej...

— A więc?

— Tak się złożyły okoliczności, tak obowiązki kazały, bym wyszła jak mnie widzicie — mówiła dumniejąc Lenora — nie pytajcie mnie, nie dręczcie mnie. Błagam was! nie mogło być inaczej! Jest dobrze tak jak jest!

Doktor słuchał milczący...

— Pani nie jesteś chorą — odparł namyśliwszy się — ale na drodze do choroby, która się może stać niebezpieczną. Zmiana położenia, praca nad siły, przejście z wygód

do mniej regularnego życia... osłabiły ją... potrzeba spoczynku, uspokojenia ducha, wzmocnienia materyalnego... Co pani jada?

Lenora się zarumieniła.

— Uczę się być ubogą — zawołała — jem chleb, czasem piję kawę, dużo wody... bułkę.. niekiedy trochę mięsa.

Stary słuchał posępny, nie wiedząc co odpowiedzieć. Jako lekarz stał wobec położenia i okoliczności utrudniających misyę, nie dozwalających od razu rozstrzygnąć zawikłanego zadania.

— Ale to właśnie i praca nad siły rodzi chorobę! — zawołał — siedzenie! zamknięcie!

— A cóż robią ludzie jak ja ubodzy i na pracę skazani?

— Oni są po większej części nawykli do niej i do niedostatku.

— A ci, których wśród dostatku spotka nędza i narzuca się im praca?

— Ci tak chorują jak pani — rzekł lekarz — często nawet, nie będę tego pani ukrywał, nagła zmiana wywołuje nietylko chorobę, sprowadza śmierć.

— O! śmierć! — odezwała się ruszając ramionami — śmierć nie jest straszna; co istotnie trwoży, to bezsilność i choroba... Załamała ręce.

— Mówże pani ze mną szczerze — po chwili wstając z krzesła i poczynając się przechadzać począł doktor. — Wiesz pani dobrze, jak święte i wielkie są obowiązki nasze, chciałbym je choć w części spełnić. Nie kryj pani przedemną nic. Chcesz sobie sama wystarczyć i pewni

chwytasz się pracy niewłaściwej, gdy z jej talentami, nauką mogłabyś łatwo...

— Przepraszam cię doktorze... chcę być samotną.., nie chcę stosunków ze światem żadnych, ani żadnych dlań zaciągać obowiązków.

Lekarz zamilkł.

— Ja się więc pani nie na wiele przydam — rzekł — popełnisz pani przez jakąś dumę rodzaj dobrowolnego samobójstwa. Co to pomoże, jeźli jej powiem: karm się mięsem, używaj ruchu i bądź wesołą.

— Ostatnie jest najlepsze — uśmiechając się przerwała Lenora — admirowałam zawsze panów, zalecających pacyentom, ażeby się nie kłopotali niczem i unikali zmartwień, powinniście o to prosić pana Boga!

— Lekarstwa innego do zapisania nie mam nad beefsteck... wino czerwone, zdrowy stół, świeże powietrze i ruch...

Lenora westchnęła — To się równa wyrokowi na chorobę...

— Pani kochana — rzekł śmielej lekarz, siadając za stół znowu — powiedz mi szczerze swą historyę, objaśń położenie.

— Znasz je pan! widzisz ubogą sierotę bez żadnych zasobów, zmuszoną do pracy, zepsutą pieszczotami i wygodami, dumną, złą, upartą i bardzo biedną.

Wstał stary zniecierpliwiony, biorąc za kapelusz.

— Zostały pani z dawnego jej położenia znakomite stosunki...

— Nikomu nic winną być nie chcę...

Doktor ruszył ramionami.

— Cóż znowu! — zawołał prawie gniewnie — co za niedarowane dziwactwa!

Na te słowa powstała nagle Lenora zarumieniwszy się, ale po chwili padła na siedzenie, bo się na nogach utrzymać nie mogła. Lekarz podbiegłszy posadził ją, widząc większe niż się domyślał osłabienie.

— Nazywasz to pan dziwactwem — odezwała się — sąd jest za surowy. Odzywać się do ludzkiej pomocy może tylko ten, kto ma do niej jakieś prawa. Ja nie mam żadnych, ja żadnych nie roszczę, ja sobie samej chcę być winna przyszłość, jeźli ją mam jaką.

— Jest to choroba dumy — łagodniej dodał lekarz.

— Ale choroby są w naturze człowieka, i ta moja gnieździ się we krwi... inną jak jestem być nie mogę.

Zmarszczyła brew, coś dzikiego patrzało z jej ślicznych rysów, którym osłabienie i wychudzenie nadawało wyraz jeszcze więcej uderzający.

— Pani kochana, po cóżeś mnie tu wezwała, abym był świadkiem chyba i z bolem ztąd odszedł... Cóż ja ci mogę poradzić, jeźli się chcesz zabić?

— Nie, zabić się nie chcę — odpowiedziała słabym głosem — choć życie dla mnie jest niezrozumiałe, choć nie pojmuję, na com się urodziła, rozumiem iż nie przyszłam na świat bez celu, dla igraszki... Czuję więc obowiązek wypić czarę do dna...

Samobójstwo w jakikolwiek sposób jest świętokradzkiem porwaniem się przeciwko wyrokom bożym.

— Dla czegoż nie chcesz pani pojąć zarazem, że jeźli życie ludzkie ma cel, nie może go mieć wzięte pojedyńczo, zrozumieć je można tylko w związku ze społeczeństwem...

A zatem od tej spójni się dla dumy odrywać, nie chcieć stosunków z ludźmi, jest także sprzeciwieniem się bożym wyrokom.

— Sofista jesteś doktorze — odparła głosem słabym... I spuściła głowę, i po kobiécemu płacz ją porwał, jęknęła dodając — Nie mogę! nie mogę.

— Co pani nie możesz?

— Nic! nic! już milczę! nerwy mam podrażnione — rzekła nagle opanuwując się — nic!

Doktor człek zacny, w którym długoletnia praktyka ludzkich niedoli zamiast serce przygłuszyć, rozwinęła uczucie i wyrobiła miłosierdzie, nie mógł tak chorej porzucić.

— Jeszcze pytanie — rzekł — Mówisz mi pani, że nie masz nic... że chcesz żyć z pracy!

— Tak jest...

— Z jakiej?

— Z pracy rąk... szyję... haftuję...

Lekarz ruszył ramionami.

— Ale to marnowanie sił! to potrafi lada dziéwczę bez wykształcenia. Znasz pani muzykę, języki, literaturę, rysunek... z tem przecie z głodu się nie umiera.

— Tak, ale z tem trzeba iść w świat żebrać zajęcia, spijać upokorzenie, i narażać się na najfałszywszy stosunek... Jestem nawykła do swobody, trzeba się uczyć służbistości i uległości... Ja tego nie mogę... ja przedewszystkiem nie mam siły wnijść w ten świat, w którym żyłam na stopie niepodległości i równości, jako służebnica zapłacona.

— To duma, a brak siły moralnej, siły ducha — rzekł surowo lekarz — to uznanie słabości.

— Co chcesz! prawda, alem słaba! — kryjąc oczy ręką zawołała Lenora — nie mogę. Drugiego dnia wybuchnęłoby ze mnie oburzenie... duch buntowniczy, który we mnie mieszka. Pieszczona, zepsuta, dobrocią na stos się dam zaprowadzić, siłą ani na tron!

Doktor zamilkł.

— Dosyć — rzekł — tego gadania, pani się męczysz bezpotrzebnie... na dziś egzamen skończony. Od lekarza możesz śmiało przyjąć obiad, który ci przyszlę... bo go zapisuję jako receptę...

Zaczerwieniła się Lenora i załamała ręce.

— Na miłość Boga! nie czyń tego, otrujesz mnie — zawołała z ogniem w oczach... ja mam za co kupić kawałek mięsa... nie czyń ze mnie łaską żywionej żebraczki!

— Dobrze! dobrze, nic nie przyszlę — pospiesznie rzekł doktor — ale jeźli znajdę robotę w domu mogącą się odbywać, stosowniejszą dla pani...

— Wymodloną? przez miłosierdzie! doktorze! — krzyknęła Lenora.

— Nie proszoną, ale o którą pani się będą prosić. Cóż to znowu za szaleństwo! — dodał groźno.

— Zobaczemy... zobaczemy...

Podała mu rękę... zatrzymała chwilę dłoń doktora, podniosła oczy łzawe i szepnęła.

— Doktorze! upokorzona ucieknę... skryję się... oszczędzaj chorobę duszy mojej, choćbyś ją potępiał... Mów sobie, żem chora i zasługuję na litość i poszanowanie.

Stary nie powiedział słowa, uścisnął jej rękę i wyszedł krokiem powolnym zamyślony głęboko, jak ten, który dotknął rany nieuleczonej i nie wie, co z nią pocznie.

Drzwi się za nim zamknęły... a w korytarzu cisza była znowu, i z samotnej izdebki żaden głos nie dochodził. Kaśka ośmielona zapukała, puszczono ją, poszeptała coś i uszczęśliwiona wyszła... czując się tem zaufaniem tajemniczej panienki podniesioną. Nie chciała już tego dnia nawet gadać z kucharką.

W kilka dni potem Kasia chwaliła się prześliczną chustką, która zdaniem wszystkich znawców, zgromadzonych w kuchence państwa Melchiorostwa, mogła być warta jakie sto złotych może, kto wie? nawetwięcej. Pochodziła ona z narzuconego jej gwałtem daru panny Lenory, z czem się nie taiła. Wchodziła teraz do jej pokoiku i wychodziła swobodnie, kręcila się, była dumną i szczęśliwą, ale co do szczegółów tyczących się panienki nader oszczędną. Nic z niej wydobyć nie było można, oprócz że Lenora chorą była nieco, i że osoba ta niezmiernej dobroci i grzeczności całe serce Kasi chwyciła...

— A już to panna! to panna! — mówiła ona — to zaraz znać, że to nie lada jakie, ale pewnie dobrego domu dziecko... takie delikatne i ludzkie... Żeby to się poskarzyło... żeby zażądało czego, jeszcze się jej narzucać trzeba, a chciałaby tylko dawać a dawać, żeby człeku najmniejszą pracę wynagrodzić.

Jednego dnia Kasia stała we drzwiach, gdy nieznajomy mężczyzna zbliżył się zaglądając do nich... Młody był i piękny, ale wyraz jego twarzy nie podobał się Kasi.

— Panna nie wie, czy tu mieszka panna Lenora Zara? — zapytał.

— A tu — albo co?

— Chciałbym się z nią widzieć...

— Ja nie wiem, bo chora — rzekła Kasia.— Młody pan dobył z pugilaresiku z kości słoniowej, herbem rzeźbionym ozdobnego, bilet, na którym stał jakiś rogaty znak w kącie, podał go Kasi i prosił, aby podała go pannie Lenorze z żądaniem widzenia się.

Kasia wśliznęła się...

Lenora siedziała z tą bezwładnością zamyśloną, z jaką przy mechanicznej pracy siedzi człowiek nie nawykły do niej; głos Kasi obudził ją jakby z uspienia.

Na widok podsuniętego biletu, tylko okiem nań rzuciwszy, zaczerwieniona porwała się, ręce się jej zatrzęsły i głos ledwie z ust mógł dobyć.

— Nie mogę — zawołała — jestem chora, ani dziś, ani poźniej — nigdy, powiedz temu panu... Nigdy!

I padła na kanapkę, a po chwili za Kasią pobiegła drzwi zaryglować.

Młodzieniec stał zamyślony u progu... Zrazu zdawał się nie dobrze rozumieć... Kasia mu powtarzała — Proszę pana, panna Lenora przeprasza (to dodała własną inicyatywą), że się widzieć nie może, ani teraz, ani — nigdy.

Nieznany pan podniósł głowę... milczał.

— Wyraźnie mówiła, proszę pana, ani teraz — ani nigdy.

Popatrzał na Kasię i jakby znajdował niewłaściwem dłużej z nią rozprawiać, skrzywił się, kiwnął głową i zwolna odszedł. Szedł zadumany, jakby sądził, że go napowrót zawołają. Kasia patrzała za nim na schodach, widziała, jak mu się ramiona ruszały, kapelusz trząsł, jak fatalnie jakoś machał laską, mykał się po schodach i znikł.

Kasia już miała odchodzić, gdy kapelusz zjawił się na nowo, laska także, ramiona i podniesiona głowa zdawała się jej szukać.

— Panienko! — zawołał wskazując, aby ku niemu zeszła. Służąca pochyliła się nieco — A co?

Wyciągnął papierek z uśmiechem jakimś niemiłym.

— Puść mnie waćpanna! ja się wytłumaczę.

— Co? co?— z oburzeniem odparła cofając się sługa— ot to także...

Mężczyzna postrzegł, że z tego nic nie będzie, skrzywił się i znowu zbiegł na dół. Ta próba przekupstwa smutne o nim dała wyobrażenie służącej, ale nic wspomniała o niej pannie Lenorze, ani żadnemu ze znajomych.

— Proszę ja kogo! — mruczała tylko nie mogąc się uspokoić — to łotra kawał! — myślał, że za pieniądze sobie kupi wejście... O! już pewnie z niczem dobrem nie przyszedł! Dopilnuję ja, żeby mi się tu nie pokazywał... a jeźli zechce gwałtem się cisnąć, tak go miotłą zamaluję, że popamięta! Patrzcie no go! mądrala!

W parę dni przyszedł doktor znowu, tym razem nie wzywany, ale musiał dobrze do drzwi pukać, nim go wpuszczono. Zastał Lenorę nad robotą, bladą, z oczyma zaczerwienionemi, ale na pozór spokojną i przejednaną ze swym losem. Zdawała się silniejszą.

— Przyszedłem się dowiedzieć, jakże pani jest?—rzekł stając w środku pokoiku i rozglądając się po nim uważniej niż pierwszą razą.

Izdebka była od ulicy, nieźle oświecona, mała, czysta, w jednym kącie jej łóżeczko pokryte kapą ciemną, stoliczek z książkami, w drugim szafeczka, komódka i wielki stół do roboty. Stosy nót i książek leżały pozwiązywane sznurami na podłodze, bo ich nie było gdzie rozmieścić. Przed kanapką stół cały był zarzucony bielizną i koronkami do naprawy. Lenora machinalnie trzymała w rękach jeszcze swą robotę.

— Jakże pani jest? — spytał doktor.

— Lepiej mi, dziękuję konsyliarzowi, zupełnie nawet dobrze — odpowiedziała ze spokojem udanym — naturalnie z każdem położeniem nowem ciało i dusza człowieka oswoić się musi... Przebyłam znać przesilenie i czuję się... dobrze! zupełnie dobrze!

Spojrzała na niego, kiwał głową niedowierzająco.

— A więc? — spytał.

— Więc zostanę jak jestem... mój kochany konsyliarzu — dodała cicho— ale ponieważ byłeś łaskaw mnie odwiedzić, pozwól się prosić...

— O co tylko każecie!

— O jednę rzecz, która was nie wiele kosztować będzie.

— No, no, bez wstępów.

— Dajcie mi słowo, że o mnie nie wspomniecie nikomu! nikomu!

Doktor milczał, ona jakby czekała, a nie doczekawszy się odpowiedzi, dodała zaraz:

— Mam na was maleńkie posądzenie.

— Na mnie? ciekawym?

— Widzieliście się gdzieś z panem Alfredem.

Doktor milczał.

— Powiedzieliście o mnie, nauczyliście go adresu, i zrobił mi tę niewysłowioną przykrość, że chciał mnie odwiedzić.

— A wy...

— A ja byłam zmuszoną go nie przyjąć i nie przyjmę nigdy, i jeżli się uprze pukać do drzwi moich... no, to ze stratą dla siebie wyniosę się tam, gdzie mnie nie będzie mógł znaleźć.

— Przepraszam kochaną panię — odezwał się doktor po chwili milczenia — mogę dać słowo uczciwego człowieka — że pana Alfreda nie widziałem, i że mu o mieszkaniu pani nie mówiłem wcale.

— A któż mu to mógł powiedzieć?

— No, nie wiem, ale nie ja. Ponieważ mnie pani posądziłaś niesłusznie, mam prawo się czemś pomścić i będę panię dręczył.

Jeszcze raz powtarzam, uchwyciłaś się pani najnie-

praktyczniejszej w świecie idei żyć z tego, co najmniej umiesz i co najgorzej płaci. Jestto, jakby jubiler został dobrowolnie kowalem. Jeźli miłość własna wasza cierpi na tem, że cię znano w innem położeniu, jedź gdzie indziej, ale nie mórz się głodem dla fantazyi.

Przepraszam — dodał doktor — panna jesteś młoda, mówię jak ojciec.

— Ja, jak od ojca przyjmuję i jak przed ojcem się dospowiadam do końca.

Rzuciła robotę na stolik, założyła ręce, poczęła mówić głosem słabym, który co chwila rósł, stawał się patetyczniejszym, bardziej przejmującym.

— Nie mogę iść szukać chleba tam... gdzie niedawno byłam równą... gdzie mnie sadzano na pierwszem miejscu... nie dla fałszywego wstydu, ale dla tego, by mnie palcami nie pokazywano. Mogłabym, masz szłuszność... oddalić się, ale wiesz doktorze, co to oddalenie od miejsc pełnych pamiątek dla sieroty, co niema nikogo na świecie... Nie miałabym siły na to. Moje wspomnienia są mi rodziną, przeszłością, ojczyzną... tu, mogę pójść na grób przybranej matki mojej, tu mi się zdaje, że ją jeszcze mam, tum ja nie sama... nie zupełnie sierota... Wypędzona ztąd, umarłabym z tęsknoty...

— Zatem — rzekł doktor, siląc się na okazanie chłodnym, aby jej wzruszenia nie zwiększać — zatem co lepiej? z tęsknoty umierać czy z głodu?

Cichuteneczko szepnęła Lenora:

— Z głodu! doktorze.

— Nie ma co mówić! ceruj pani bieliznę...

Wstał z krzesełka... Lenora z uśmiechem rezygnacyi

podała mu rączkę, a doktor zatrzymał ją już, aby puls wybadać, i po chwili dopiero puścił.

— Doktorze — powtórzyła — ani słówka o mnie.

— Bardzo dobrze! stanie się jak pani chcesz, ale jeźli pan Alfred już wie jej mieszkanie...

— Nie spodziewam się, aby tu przyszedł po raz drugi.

— Ja przeciwnie.

— Nie znasz pan pana Alfreda, bledniejąc i drząc odparła Lenora — były to odwiedziny dla przyzwoitości, nieuniknione, nie wróci więcej, bo wie, że go nie przyjmę nigdy.

Po wnijściu doktora drzwi zostały otwarte, i w chwili, gdy tych słów domawiała, z przerażeniem usłyszała pukanie, a po niem natychmiast ukazał się w progu mężczyzna młody, słusznego wzrostu, ten sam właśnie, o którym była mowa.

Światło od okna padało wprost na jego twarz pięknych rysów, ale dziwnie przykrego, zimnego i dumnego razem, nielitościwego wyrazu. Na widok jego Lenora porwała się z kanapki, dając znak doktorowi, aby został, i drżącą ręką wskazała na drzwi.

— Przepraszam pana — rzekła — ja jestem chora i nie przyjmuję nikogo.

Pan Alfred stał z miną kwaśną.

— Powtarzam panu — dodała ukazując drzwi — jestem u siebie, nie przyjmuję nikogo.

— Nawet mnie? — rzekł sucho mężczyzna.

— Nikogo! nikogo! — z nerwowym wybuchem podnosząc głos wołała Lenora — a jeźli jeszcze raz zechcesz pan niepokoić mnie, będę zmuszoną zmienić mieszkanie, uciec z miasta.

Pan Alfred się począł uśmiechać, spoglądając na milczącego doktora, ruszył ramionami.

— Biorę kochanego konsyliarza za świadka, że przychodziłem, żem chciał ofiarować moje usługi... że je stanowczo odrzucono...

— Żadnej pomocy od nikogo nie potrzebuję — dumnie i stanowczo zawołała panna Lenora.

— Słyszę, podziwiam — uśmiechając się, dodał pan Alfred — ale...

— Proszę pana wyjść... Widzisz pan doktora, który przyszedł mi radzić... czy to nie starczy?

— Słowo tylko, jedno słówko — zimno odpowiedział pan Alfred — wszystko to dobre, ale potem... potwarz na nas rzucą, że my nie spełniliśmy, cośmy byli powinni... Świadkiem niech będzie doktor.

Lenora gwałtownie odwróciła się jakby z rozpaczą od pana Alfreda.

— Powiedzże mu, konsyliarzu, że ja nie mogę nie tylko mówić, ale słuchać... że to mnie zabija.—Doktor naprawdę przeląkłszy się eksaltacyi, z jaką te wyrazy wymówione zostały, skłonił się, podszedł do mężczyzny i ująwszy go pod rękę, prawie gwałtem wyprowadził go z pokoju.

Zeszli ze schodów w milczeniu, ale po fizyonomii Alfreda znać było, że potrzebował się wygniewać i wygadać.

— Kochany konsyliarzu — rzekł, gdy stanęli w bramie — mimowolnym byłeś świadkiem niemiłej sceny między mną a panną Lenorą. Idzie mi wielce o zdanie twe i sąd w tej sprawie, uczyń mi tę łaskę i racz zajść do mnie, abym mógł i siebie i rodzinę ciotki mej, pani wojewodzinej, wytłumaczyć...

— Ale cóż ja mam za prawo się w to mieszać?

— Ja pana proszę... ja chcę, byś ludzi złéj woli mógł objaśnić...

— Wolałbym wcale o niczem nie wiedzieć — rzekł skłopotany doktor — czasu mam mało.

— Pół godzinki... opowiem wszystko w krótkości.

Pochwycony pod rękę, pociągniony niemal gwałtem doktor, rad nierad zmuszony został pójść za panem Alfredem do mieszkania, które on tymczasowo w hotelu angielskim zajmował.

Apartament młodego panicza zwiastował bardzo zamożnego człowieka... Służący w herbowej liberyi zjawił się zaraz w progu.

Alfred przykazał mu, aby nie wpuszczał nikogo... podał doskonałe sygara gościowi, i przysunąwszy fotel rozpoczął w te słowa opowiadanie z chłodem, w którym źle ukrywane taiło się podrażnienie.

„Muszę rozpocząć niestety tę smutną historyę heroiny od jej pierwszych początków. Ciotka moja, wojewodzina, jak zapewne konsyliarzowi wiadomo, była w pierwszem swem małżeństwie bezdzietną; już nie w pierwszej młodości wyszła za drugiego swego męża, który jej staraniem kreowany był w r. 1831 wojewodą. Człowiek to był niemajętny, wcale dobry, nie bez zalet i talentów, ale słaby i winien wszystko żonie, pełnił jej wolę, całe życie pod pantoflem spoczywając. Wojewodzinę wszyscy znali aniołem dobroci, byłą w istocie dobrą, jak są egoiści, którzy z całym światem chcą być w zgodzie, aby im nic ulubionego, pieszczonego spokoju nie przerywało. Wojewodzina pod tym pozorem dobroci, dobroczynności, łagodności kryła

samowolność, egoizm, dziwactwa najosobliwsze. Niegdyś bardzo piękna i uwielbiana, na starość słodyczą i pochlebstwem jednała sobie serca, potrzebując od nich kadzideł, woni i słodyczy.

Zresztą była miłą, uprzejmą... dla wszystkich równie uczynną, najbardziej dla tych, których się obawiać mogła.

— Surowym pan jesteś — szepnął doktor.

— Jestem sprawiedliwy, sucho odparł pan Alfred. Jeszcze za życia męża, nie mając dzieci a wiecznie potrzebując, aby ją ktoś w rękę całował i pieścił i do nóg jej padał, wojewodzina wzięła na wychowanie sierotkę... na prawdę nikt nie wie dobrze zkąd, jakiego rodu... nie mogę przysiądz, żeby to nie było żydowskie lub cygańskie dziecko nawet... słowem podrzutka jakiegoś... przywiązała się do niego do szaleństwa... bo dzieciak mądry udawał czy w istocie kochał ją namiętnie!

„Cóż dziwnego! wzięto to z pod płotu ze śmieciska, a wychuchano jak pańskie dziecko, wykołysano w koronkach; nie było dla kochanki tej nic za drogiego, ani sukienki, ani nauczyciele, ani fantazyjki jej... Zabawki sprowadzano z Londynu... bony z Paryża,.. a że dziecina jeszcze była ładna, dowcipna, utalentowana, bystra... wojewodzina bawiła się nią zupełnie, jak to się stare panie bawią pieskami, nie pomnąc, że pieskom potem, nawykłym do pieszczot, źle na świecie być może.

„Familia wojewodzinej sprzeciwiać się temu nie mogła... Majątek miała ogromny, a narazić się jej, było to wykluczyć się samemu od spodziewanego spadku. Wszyscy więc nie tylko padali przed wychowanką, pochwalali fantazyę staruszki... ale starali się przez pannę Lenorę łaskę

jej pozyskać. Lena była panią wszechwładną majątku, domu, serca wojewodzinej. Ale cóż było na to poradzić... Musieliśmy milczeć.

„Wiedzieliśmy, że w testamencie choćby chciała, znacznego jej legatu nie zrobi, a w ostatku spodziewaliśmy się zrobiony nawet unieważnić. W ostatnich latach przed śmiercią, w miarę jak słabła wojewodzina, władza wychowanki stawała się coraz większą... a jednej chwili bez niej staruszka się obejść nie mogła.

„Nie mogę nic powiedzieć przeciwko pannie Lenorze, nie zepsuło ją to na pozór, ale wykołysało w niej dumę i miłość własną niezmierną.

„Jako siostrzeniec wojewodzinej bywałem bardzo często w jej domu; byłem młody, Lenora była i jest piękną; ciocia widziała mnie rada czule się zbliżającym do niej, byłem więc grzeczny, ale nic więcej, tylko grzeczny. Czy wzięła to opacznie i wyobraziła sobie coś więcej niż było, o tem nie wiem. Ciocia zagadywała mnie wiele razy, starała się wybadać; chwaliłem Lenę... ale miałem się na ostrożności, nie chcąc ani drażnić staruszki, ani się kompromitować.

„Że mnie ciągnięto i życzono sobie, to nie ulega wątpliwości.., a że ja z lada przybłędą nie mogłem się żenić ani pomyśleć, to pewna. Myśl taka mogła się tylko zrodzić w głowie zdziecinniałej staruszki i rozpieszczonego, zepsutego stworzenia.“

Ruszył ramiony pan Alfred spoglądając na doktora, który palił sygaro i zapatrzył się w okno.

„To wstęp do tej historyi—mówił dalej pan Alfred.— Powtarzam, że nie ujmuję bynajmniej pannie Lenorze wy-

sokich zalet... jest to osoba, mogąca na królewskich wystąpić salonach... Wojewodzina ją do śmieszności ubóstwiała.

„Już pod koniec życia, kiedy staruszka była chora i z krzesła się nie ruszała... a my coraz bardziej naturalnie trwożyliśmy się o ten nieszczęsny testament, wysłała mnie matka do cioci nieboszczki, aby ją ująć w jakikolwiek sposób, słysząc że się zbierała na zrobienie tego aktu stanowczego. Szło nam o to, aby nie przekazała majątku drugiej siostry dzieciom. Pojechałem...

„Drugiego czy trzeciego dnia pobytu, staruszka, jakem się spodziewał, oddaliwszy od siebie cały dwór, przywołać mnie kazała. Była to chwila stanowcza, jak dziś pamiętam rozmowę.

— Fredku mój — rzekła staruszka kładnąc mi wychudłą rękę na dłoni — ja się coś źle czuję, podobno mi już nie długo na tym świecie przyjdzie z wami pozostać! Co się wówczas stanie z moją drogą córką, z moim aniołem, z moją Lenorcią. Tyś jej zawsze okazywał wiele współczucia, wiele dla niej sympatyi, ja w tobie pokładam nadzieję, że ty swój los z jej losem połączysz. Jest godną ciebie... wychowałam ją jak królewskie dziécię... śliczna, rozumna, utalentowana... miła, dobra... Któż zważa dziś na pochodzenie... Ona była jakby mojem własnem dziécięciem... Alfredku... uspokój mnie...

„Cóż miałem uczynić, kochany konsyliarzu... co? powiedz? Miałżem powiedzieć jej — nie chcę! nie mogę? Musiałem zbyć kobiecinę dwuznacznikiem, aby jej nie martwić, w duszy przyrzekając sobie, że będę się starał pannie Lenorze to wynagrodzić.

„Ożenić się mimo jej ślicznych oczów nie mogłem, cioci tego powiedzieć nie było podobna, odrzekłem więc ni to ni owo. Dałem słowo tak jak ci tu mówię:

— Niech ciocia będzie o los panny Lenory spokojną!

„I pocałowałem staruszkę w rękę, stara pocałowała mnie w głowę, i na tem się skończyło. Na tej podstawie staruszka zrobiła testament zapisując nam cały majątek, a Lenorze parę kroć stotysięcy tylko.

— A więc był zapis dla niej! — zawołał doktor.

— Którego ona nie przyjęła — odparł pan Alfred — dlatego, że jej się pewnie zdawało, iż cały majątek jej się należy wraz ze mną. Parę kroć stotysięcy było za wiele dla niej, to pewna, alebyśmy byli jej pensyę zapewnili... Tymczasem ciocia zmarła...

„Do ostatniej godziny byliśmy przy niej, to prawda, że umierając jeszcze rękę panny Lenory i moję razem ściskała w stygnących już dłoniach. Nie chciałem jej martwić i sprzeciwiać się, myślałem że dziewczyna ma przecie tyle rozsądku, iż zrozumie tę komedyę przymusową. Ale nie, jej się śniło, że ja się z nią ożenię, wbiła to sobie w głowę, a gdy mama po śmierci cioci dała jej do zrozumienia, kim ona jest i jakie dla niej właściwe stanowisko... zabrawszy tylko, co miała sobie przez nieboszczkę darowanem, nie chcąc od nas nic więcej, wyleciała zagniewana. Oto masz, kochany konsyliarzu, całą historyę w ogólnych rysach. Powiedz mi, com ja tu winien? Mógłżem postąpić inaczej! Nie jestem bez czucia, bez serca, czuję, że coś dla niej zrobić należy przez samę pamięć dla nieboszczki... ale przyznam ci się, że ani tych zapisanych dwóchkroć, ani takiego głupiego ożenienia... wymagać po nas nie może...

„Cała rzecz — ciągnął pan Alfred — rozpieszczone to, zepsute, dumne... a zapomniało, że czem jest winna cioci... że walałaby się gdzieś po karczmach może, gdyby nie ona. Alboż to małe dobrodziejstwo talenta, które z naszej łaski posiada, wykształcenie, ton dobry... może pójść gdzie za guwernantkę... ma los i chleb w ręku. Z tego co ciocia jej dawała, garderoby, fraszek... niceśmy jej nie odebrali, choć były rzeczy bardzo kosztowne, pamiątkowe... zapakowała co chciała, wywiezła... Jeden fortepian Erarda mama zatrzymała dla salonu, choć niby jej był, bo nawet nazwisko stało wypisane... No! ja tego nie pochwalam... ale proszę doktora? mama mogła to uczynić! Należał do salonu..“

Doktor palił cygaro nie dając najmniejszego znaku ani zgody ani przeciwieństwa, słuchał martwo i tak, jakby już naprzód wiedział, co mu ten pan powie, zdając się tylko z upragnieniem czekać końca.

Pan Alfred tryumfująco skończył z uśmiechem człowieka, który pewien jest, że przekonał, i spodziewa się głośnej aprobaty. Zdziwił się, nie mogąc z ust doktora doczekać ani słowa.

Po długim przestanku doktor westchnął, wziął kapelusz powoli, skłonił się i chciał odchodzić.

— No... ale jakże... szczerze? mów! cóż sądzisz, jak miałem postąpić? — naglił Alfred...

— Jak pan miałeś postąpić, nie wiem — rzekł doktor chłodno — ale to pewna, że ja na jego miejscu byłbym ani staruszki ani panny nie zwodził.

— No tak! a spadek poszedłby na drugą linię! — zawołał Alfred ręce łamiąc—wiesz konsyliarzu, że to przecie parę milionów.

Doktor nic nie odpowiedział i znowu się wybierał.

— Czekaj, słowo! — dodał młodzieniec, chwytając go.— Znasz ją, wiesz teraz interesa, bądź pośrednikiem. Damy jej pensyi dożywotnej parę tysięcy, i niech nam da pokój... Co?

— Mogę was zapewnić, że gdybyście jej cały spadek po wojewodzinie oddać chcieli, to go nie weźmie.

Alfred się cofnął.

— Ja to ofiaruję z litości, obowiązku nie mam...

— Właśnie tej litości ona nie zechce od was. Ale szanowny panie, pozwól sobie powiedzieć, że gdyby ona mniej była bezinteresowną, a znalazł się prawnik śmiały, wyprocesowałby z was łatwo całe dwakroć stotysięcy.

— Nie — rzekł zimno Alfred — ja byłem w czasie pisania testamentu i dopilnowałem się. Zapis jest nieformalny.

— Jakto? w jednym testamencie dar dla was ważny, a dla niej nieformalny? — z oburzeniem ironicznie spytał doktor.

Pan Alfred bynajmniej się nie zmieszał.

— Nie jesteś prawnikiem, doktorze — odpowiedział — co innego jest zapis dla familii, czem innem dać osobie obcej. Powinna go była inną uczynić formą.

Zwycięsko się uśmiechnął.

Lekarz spojrzał i nie odpowiadając ani słowa, tym razem na dobre pożegnał pana Alfreda i oddalił się. Po wyjściu jego młody panicz... zapalił nowe sygaro... siadł w fotelu i zamyślił się.

— Ha! no! niechce nas znać! nie chce nic — to nic! mniejsza o to! — zawołał konkludując — to mi wszystko jedno!

Chociaż pan Alfred mówił przed sobą, że mu to zupełnie było jedno, iż go panna Lenora znać nie chciała, nazajutrz wszakże przeszedłszy się po świecie, podrażniony kilku szyderskiemi pytaniami i pewnym tonem, z jakim go po towarzystwach spotykano, musiał nieco zmienić przekonanie, gdyż z wieczora postanowił dostać się jeszcze do Lenory i rozmówić z nią koniecznie.

Zamknięte i wyraźnie zakazane mu drzwi jej, nie zdawały się dlań przeszkodą nie do przemożenia, raz bowiem już ten próg mimo woli pani przestąpił, nie wątpił, że i powtórzyć to potrafi.

Był pewny prawie, że doktor będzie znowu u swej pacyentki, postanowił z tego podobnie jak pierwszym razem korzystać. Znając bardzo dobrze miasto, zasiadł w niedalekiej cukierni czatując na konsyliarza, którego karetka w istocie zatrzymała się przed pałacem Zamojskich. Pan Alfred przepuściwszy doktora przodem i dawszy mu wnijść na piętro, wsunął się za nim... A że rozmowy swej z panną Lenorą nie chciał go mieć świadkiem, skłonił się do wyczekiwania w korytarzu na spodziewane rychłe wyjście konsyliarza. Wszystko to cale niezgrabnie było ukartowane, a jednak, jak wiele śmiałych pomysłów, udało się nieźle. W chwili gdy doktor wychodził nie patrząc na przyciemniony korytarz, pan Alfred po za nim niezaryglowane

drzwi otworzył, szybko je za sobą zamknął i stanął przed zdziwioną tem zuchwalstwem Lenorą.

Wyraz jej twarzy malował dostatecznie oburzenie, które nią całą wstrzęsło na widok śmiałka, co się stawił z dumą i zuchwalstwem narzucając... Nie znalazła wyrazów w pierwszej chwili na ustach... i ręka tylko konwulsyjnie podniesiona drzwi mu wskazała.

— Przepraszam panię — gniewnie zawołał pan Alfred — czy się pani podoba czy nie, rozmówić się raz musimy. Winnaś to pani jeźli nie mnie, to tej rodzinie, której obowiązana jesteś za wszystko... to pamięci mej ciotki...

Milcząca Lenora ruszyła ramionami, bała się ust otworzyć może, by zanadto nie powiedzieć.

— Tak jest — kończył pan Alfred krocząc ku środkowi pokoju — wymagam rozmowy stanowczej.

— Słucham pana.

— Raz rozrachunek między nami musi być skończony... Pani winnaś mej rodzinie byt, wychowanie, talenta, opiekę... i odwdzięczasz jej za to rzucając na nię swem postępowaniem cień... potwarz... posądzenie.

Lenora się podniosła z brwią straszliwie zmarszczoną.

— Aniołby nie wytrwał... nie przeniósł cierpliwie tego, co mi pan śmiesz mówić. Wam, rodzinie waszej nie winnam nic, wszystko zmarłej mej świętej opiekunce... z wami nic mnie nie wiąże, i nie chcę, by mnie cokolwiek łączyło. Otrząsłam proch z nóg mych rzucając dom, który się stał waszym.

— Za cóż te gniewy? za co? — podchwycił Alfred — czy za zawiedzione nadzieje, któremi ja nigdy pani nie karmiłem! Dla osłodzenia cioci ostatnich chwil musiałem potakiwać, nigdy nic nie przyrzekając...

Wielkim dzikim śmiechem otwarły się usta Lenory, i ręce, uderzając je o siebie, załamała.

— Jakto? pan myślisz, pan posądzasz mnie, że jam kiedykolwiek, na jednę sekundę, na chwileczkę dała się uwieść tej komedyi, że jej nie rozumiałam? A to wyborne? Pan nie wiesz, że miałabym się za najnieszczęśliwszą istotę na ziemi, gdyby mnie był los do was przykuł. Raczej śmierć! Jam także dla tej nieszczęśliwej opiekunki, dobrodziejki mej, tego anioła musiała się skłonić do posłuszeństwa pozornego jej woli, aby o los mój spokojną usnęła. Ztamtąd, z niebios widzi ona moję ofiarę... spełnioną z rezygnacyą, mimo całego wstrętu mego do fałszu, którym ja także karmić ją musiałam. I pan pomyśleć mogłeś, że ja!!—Roześmiała się dziko... Pan Alfred obrażony stał kręcąc kapeluszem.

— Na miłość Boga, ja do was, panie Alfredzie, najmniejszego nie mam żalu... waszę grę od pierwszej chwili widziałam jasno, rozumiałam doskonale i pomagałam jej dla spokoju staruszki...

— Przypuszczam, że tak było, jak pani mówisz—odparł sucho Alfred — za cóż gniewy? dąsania...

— Ani gniewu ani dąsania, tylko pozwólcie, że żadnych stosunków mieć nie mogę i nie chcę z rodziną pańską... Ja, jak wy mówiliście nieraz, jestem sierotą z pod płota wziętą, co prawda... wy należycie do innego świata...

Ukłoniła mu się odchodząc do okna, on stał zły...

— Jam wam wszystko winna, wy mnie nic? a zatem po cóż mnie dręczycie? powiedźcie com dłużna? i jak mam wypłacić?

— Tem przynajmniej, abyś pani ku nam nienawiści nie miała — rzekł Alfred.

— Tej nie mam cale... zaręczam, inne uczucie zostawiliście w mem sercu. Uwolńcież mnie od tortury! błagam. Czego pan chcesz?

Alfred zmieszał się i nie wiedział już co mówić.

— Zgody — rzekł...

— Ani kłótni ani zgody być nie może, gdzie społeczne stanowiska są tak różne, iż stosunku nawet nie dopuszczają.

Położyła rękę na czole wskazując, że głowa ją paliła, odeszła znowu do okna. Alfred stał jeszcze... myślał i zdobył się nareszcie na przemówienie.

— Z powodu pani — rzekł — towarzystwo całe rade, że coś do nas znalazło... Koso poczyna na mamę i na mnie spoglądać. Krążą niedorzeczne plotki... Jeszcze raz powtarzam pani, iż będąc naszej rodzinie winną tyle... obowiązaną jesteś...

Lenora zrzuciła z siebie okrycie, jakby ją piekło, i podbiegła ku niemu.

— Com ja wam winna? — zawołała — co? żeście mnie jak psa dla zabawki wzięli, wychowali, wypieścili, aby go potem nogą wypchnąć, gdy został niepotrzebnym?

Czym was prosiła o to, abyście mi dali wychowanie, nałogi, obyczaje, które dla mego stanu są ciężarem, byście lalkę zrobioną do salonu w balowej jej sukience, z rękami odwykłemi od pracy, wyrzucili na chłód i wicher ulicy! Tak! tak! winnam wam nienawiść, winnam pogardę... nic więcej. Nie uszanowaliście we mnie istoty ludzkiej, zrobiliście z niej igraszkę!

Uboga, żebraczka, sponiewierana byłabym szczęśliwszą, miałabym choć przybraną rodzinę żebraków jak ja, jak ja sponiewieranych ludzi, dziś nie mam — żadnej.

Alfred słuchając tego wybuchu, cofnął się o krok.

— A! to tak! — rzekł — jeźli tak, nie mam tu co robić!

— Dawnoś to pan powinien był zrozumieć. Dla mej matki, dobrodziejki, opiekunki mam cześć, mam miłość najwyższą, ona pojmowała inaczej swe macierzyństwo dla mnie. Dla was ja byłam istotą obcą, narzędziem, podrzutkiem... którego pozbyć się jak najprędzej pragnęliście. Jeszcze zwłoki mej matki nie ostygły, a już chcieliście wygnać mnie z domu, chcieliście zabronić mi iść za jej pogrzebem! Wypędziliście... jak...

— To wszystko exageracya — rzekł pan Alfred łykając wyrazy — naturalnie było niepodobieństwem dozwolić, abyś pani szła z familią za jej trumną, ale nikt jej nie bronił asystować pogrzebowi.

Lenora z gwałtownego wzruszenia nie mogąc już odpowiedzieć, zaszła się od płaczu, i pochylona na kanapę jęczała, wołając. A! któż mnie od tego człowieka uwolni.

— Ale ja idę! idę sam! — zawołał coraz gniewniej pan Alfred — myślałem, że przecież rozsądnie będziemy mogli pomówić, bez tych tragedyi! Nie jesteśmy wcale od tego, ażeby coś dla pani uczynić. Mama z chęcią jej ofiaruje dożywotnią pensyę.

— Na miłość, na rany Chrystusa, uwolń mnie pan od siebie i od tych ofiar upadlających! Wolę umrzeć z głodu, niż szeląg przyjąć od was... a dzięki Bogu mam młodość, mam siły — mogę pracować i nie potrzebuję nic... nic... nic!

Była chwila milczenia. Pan Alfred wybierał się jakby do wyjścia, a jednak wynijść nie umiał... coś go przyku-

wało do tego progu... niepokój jakiś nie dozwalał mu porzucić tak tej, której podał był niegdyś dłoń u łoża konającej jakby na pielgrzymkę życia...

— Niechże się pani raczy uspokoić — rzekł — bardzo przepraszam i odchodzę... a gdybym kiedykolwiek mógł być w czem użytecznym, niech pani wierzy...

Nie odebrawszy ani słowa odpowiedzi zatrzymał się jeszcze, stał chwilę, a na ostatek trzaskając drzwiami wyszedł. Za progiem stanął, chcąc zapewne uspokoić się przed wyjściem na ulicę... obciągnął suknie na sobie, poprawił włosy... włożył kapelusz, spojrzał na zegarek, ruszył ramionami i powoli schodzić zaczął ze schodów.

Pomiędzy nim a Lenorą, między jego chłodnym spokojem a jej rozpaczą do szału dochodzącą, sprzeczność była rażącą, jednakże na twarzy tego człowieka praktycznego, rozsądnego, biorącego rzeczy zimno i przyzwoicie, malowało się coś, co zdradzało, że wrażenie sceny patetycznej, jaką przebył, dopiero teraz czuć mu się dawało.

Stanął wśród trotuaru podnosząc laskę do góry i rzekł skrzywiony:

— Mama jest zbyt surową, jabym jej zresztą dał procent od tych przeklętych dwóchkroć, i byłby spokój, ale z mamą! Ma może słuszność... cóż z tego... ludzie będą paplać... to nie miłe! Lepiejby się wykupić!

Następnych dni nie było najmniejszego słychu o panu Alfredzie. Spełniwszy, co mu jego sumienie przyzwoitego człowieka nakazywało, ustąpił. Widziano tylko zajeżdżającą karetę przed pałac Zamojskichi i od niej wysłanego na drugie piętro lokaja, który za pośrednictwem Kasi bilet wizytowy jakiejś pani dosyć otyłej i poważnej przed-

stawił Lenorze.... a ta przeprosić kazała, iż będąc chorą przyjąć jej nie może. Po otrzymaniu tej odpowiedzi osoba siedząca w karecie spuściła okno tak gwałtownie, iż się potłukło... twarz zaczerwieniona dała się widzieć przez otwór wraz z najeżonym piórami kapeluszem... kareta odjechała...

Matka pana Alfreda, której księżycowe oblicze mieliśmy szczęście oglądać na chwilę (ona to bowiem była...), nieszczęśliwa ofiara, zmuszona poniżyć się aż do osobistego przybycia do tego podrzutka, rozkazała jechać do doktora. Gdy mu tę znakomitą oznajmiono klientkę, powszechnie używającą tytułu hrabiny, a w towarzystwie wyższem zwaną niegrzecznie bardzo — Pyzą — doktor wyszedł natychmiast do przedpokoju, był bowiem po staremu dla wszystkich bez różnicy kobiét grzeczny.

Hrabina zdyszana, czerwona, zmęczona schodami, wtoczyła się z obłokami na czole, wachlarzem się chłodząc, i siadłszy na kanapie, na honorowem miejscu, zwrócona do doktora długo do słowa przyjść nie mogła. Jakby na dobitkę, dla zwiększenia złego humoru pani, ulubiona papuga doktora, siedząca w klatce na otwartym balkonie, poczęła wrzeszczéć przeraźliwie:

— Bon jour! — na wszystkie możliwe tony, aż ją chustką przykryć musiano...

Hrabina czuła, jaki honor wyrządziła doktorowi, przybywając sama do niego, a nie posyłając doń do siebie; była więc pewną, iż konsyliarz zrozumie, jaką jej winien jest wdzięczność.

— Mój konsyliarzu — odezwała się — byłeś zawsze przyjacielem dobrym naszej całej rodziny... przyjechałam

do ciebie wiedząc, że na cię rachować mogę... Zróbże mi też tą grzeczność i zburcz tę waryatkę Lenorę. Co ta dziewczyna sobie myśli! Wielkie jakieś tony heroiny nieszczęśliwej sobie daje! Co to to jest! Wy wiecie, la populace, ulica, demagogi, wszystko to, coby nas rade w łyżce wody utopiło... z każdego pozornego skandalu korzysta... Rozbębnią, sfałszują to... Bóg wie co zrobią. Alfred się znalazł niezręcznie...

Ale wystaw sobie, że ja sama tylko co przed chwilą chciałam u niej być, pour lui faire entendre raison... a ta głupia dziewczynisko pod pozorem choroby mnie nie przyjęła... Ja wiem, że nie chora, że kaprysi!

— Przepraszam panią hrabinę, ona istotnie chora jest; i dziś nawet w łóżku — dodał doktor.

— A to wszystko z dumy obrażonej! — zawołała hrabina... Otóż skutki dobrodziejstw naszych! Wziąć sierotę na wychowanie, dać edukacyę, a potem cierpieć od niewdzięcznej i widzieć się szkalowanymi!

Westchnęła pani hrabina wachlując się. Doktor milczał.

— Kochany konsyliarzu — rzekła przybyła — weźże to na siebie... proszę cię... daj jej dobrą burę i przyprowadź do rozumu.

— Ale o cóż to idzie? — łagodnie ozwał się lekarz— ja przyznaję się, że niedobrze jakoś rozumiem... co mi pani hrabina poleca?

— Powiedz jej, niech nie gra tej roli pokrzywdzonej sieroty! Do czego to podobne, proszę cię! Wojewodzina nieboszczka moja siostra, wy wiecie, jakie to było dobre, serdeczne aż do zbytku, a słabe — wydała na nią pewnie

parę kroć sto tysięcy... Wychowanie tej dziewczyny to była jej mania... Pozwoliliśmy jej zabrać z domu, co tylko miała od nieboszczki, nie wchodząc w to, że może pozabierała precyoza... Nabrała tego mnóstwo... i jeszcze niekontenta! i jeszcze się krzywi!

— Pani hrabina daruje — odezwał się konsyliarz — a ten legat, który jej uczyniła nieboszczka?

— Ale to była fikcya! Wojewodzina w ostatnich chwilach była słabomyślną, sama nie wiedziała co robiła! Proszę cię... podrzutkowi jakiemuś dwakroć stotysięcy!... Żebym ci dała pojęcie, jak już nieboszczka dziwaczyła, to ci powiem, że chciała mego Alfredka żenić z nią! A jednak, aby jej dać spokojnie umrzéć biedaczce, i na tośmy niby zezwolili! Jużcić nie idzie zatem, aby Alfred się z wychrzcianką jakąś czy cyganką żenił, i żebym ja jej dała te dwakroć. Ona sama dobrze zrozumiała, że do tego nie ma najmniejszego prawa, kiedy się zaraz zrzekła.

— Przepraszam—łagodnie znowu szepnął doktor—znając mało ten skład okoliczności, ja nie dobrze to zapewne rozumiem... Więc ten sam testament, którym wojewodzina pani dobrodziejce zapisała majątek, jest ważny, a ten legat....

— Ale kochany konsyliarzu, jak prawdziwie nie chcesz wniknąć w istotę rzeczy..! Zapisać siostrze majątek miała prawo i obowiązek, ale czynić podrzutkowi legatu... takiego, nigdy w świecie...

— Ah! — rzekł doktor niby zupełnie przekonany...

— I prosiłabym cię jeszcze, kochany konsyliarzu — dorzuciła—namów ją, niech sobie ztąd jedzie... Tu ją wszyscy znali przy wojewodzinie na niewłaściwem stanowisku. Cho-

działa w tyftykowych szalach! Po cóż teraz narażać siebie na nieprzyjemność, mnie i nas na złe języki... Mówią, że na złość chodzi ze dzbankiem sama po wodę... komedye!

— O tem już z nią mówiłem — rzekł doktor – ale gdzież się podzieje?

— Gdzie chce! ktoś to tam weźmie za guwernantkę! Albo niech jedzie do Petersburga, to się jeszcze jaki jenerał moskiewski ożenić gotów... Co ona tu będzie robić...

Hrabina przekonana najmocniej, iż doktora zupełnie przeciągnęła na swą stronę, odpocząwszy miała rozpocząć rozmowę o czem innem, aby nieprzyjemne wrażenie usunąć, gdy konsyliarz rzekł powoli:

— W tej chwili panna Lenora jest chorą w istocie... pojmuje pani, że muszę pacyentkę oszczędzać. Jestem tego przekonania także, iż oddalić się powinna. Zresztą ona ze światem nie ma żadnych stosunków, więc dla państwa też nieprzyjemności żadnej ściągnąć nie może ani jej postępowanie ani obecność. Nie widuje nikogo, i mogę ręczyć, że z jej ust słowo się jedno użalenia nie wyrwało.

— Alfredek mi wszystkiego pewno nie powiedział — przerwała hrabina — ale z jego humoru wniosłam, że musiał z nią mieć scenę. Wystaw sobie, że głupia nabiła sobie głowę, iż on istotnie w niej zakochany i może się ożeni!

Zaczęła się śmiać, a twarz i fale wezbrane całej tej kolosalnej mięsnej struktury trzęsły się od wzruszenia.

— Alfredek w tem, powiem ci — mówiła dalej hrabina —dał dowód takiego taktu jak rzadko... Oczewiście młody, ona ładna, czasem tam pożartował... ale wiem, że się nigdy nie posunął za daleko! Inny na jego miejscu, mój Boże! nic robiłby pewnie z panienką rozromansowaną ceremonii.

Niech podziękuje, że trafiła na przyzwoitego chłopca. Musieliśmy cierpiéć te obrzydliwe zalecanki dla zdziecinniałej wojewodziny, która umierając ich ręce łączyła... ale... proszę cię! Alfred ani myślał! ani myślał!

— Tego jestem pewny — przerwał doktor — że panna Lenora także nie łudziła się.

— No! no!... — odparła hrabina. — Alfred ładny chłopak... a to głowa przewrócona, powiadam ci... ale z takim taktem młodego nie widziałam jak on...

— Pani hrabina zajeżdżała do pałacu Zamojskich? — spytał gospodarz.

— Ale zajeżdżałam, słowo ci daję; dziwisz się! i masz czemu... Ja, gdy rzecz wymaga ofiary z mej strony, umiem ją uczynić. Chciałam głupią dziewczynę zbuzować i sprowadzić na poczucie właściwego stanowiska... ale — nie raczyła mnie przyjąć!

— Jest chora! istotnie chora...

— Ze złości! głupia! — zawołała hrabina. — Powiedz jej konsyliarzu, że radzę, niech wyjeżdża... niech mi się na oczy nie nawija... niech mnie nie zmusza do kroków ostatecznych... bo będę w konieczności, mimo dobrego serca, obejść się surowo i pojadę do moich znajomych na Zamek uprosić, aby jej kazano wyjechać.

Usłyszawszy to doktor pobladł, ale że był człowiek niezmiernie wytrawny i cierpliwy, nie pokazał po sobie oburzenia, które uczuł.

— Dobrze dobrze — odezwał się — proszę wszystko uważać za skończone... Wcale te gwałtowne środki niebędą potrzebne... Ona się nie ukazuje i nie pokaże nigdzie, a nie widuje nikogo — Cóż pani znowu szkodzi...

— Ale konsyliarzu, to mi agasuje nerwy — zawołała hrabina—ja jej tu mieć nie chcę. Dam jej coś na wyjazd.

— Ona nie potrzebuje...

— To tem lepiej; powiedz jej, aby sobie jechała i niech tej śmiesznej historyi, którą odziedziczyliśmy z łaski biednej wojewodziny, raz koniec będzie.

Z dumnym uśmiechem podała rękę doktorowi w przekonaniu, iż ją pocałuje; zdziwiła się poczuwszy lekkie tylko uściśnienie, i majestatycznie powstała, aby odjechać. Głębokie westchnienie dowodziło, jak czuła spełnioną ofiarę.

— Adieu, kochany konsyliarzu — dodała — widzę ślicznie mieszkasz, co za apartamenta!

W tem podziwieniu i pochwale było coś jakby sarkazm ukryty, ale konsyliarz, choć się go domyślał, nie dał poznać po sobie wcale, skłonił się milczący. Hrabina spojrzała jeszcze na salon i meble.

— Proszę cię, co to jest za zmiana — szepnęła — dawniej najarystokratyczniejsze domy ledwie tak były pysznie umeblowane, dziś wszędzie się ten zbytek spotyka.

— To prawda — odparł konsyliarz odprowadzając ją do drzwi, czasy się zmieniły wielce, obyczaje... wszystko... i my biedacy jesteśmy zmuszeni do nich się stosować. Cóż pani hrabina chce... człowiek jest niewolnikiem zwyczajów...

— A tak! a tak! i wszyscy się rujnują! I proszę cię konsyliarzu, zacierają się wszelkie różnice klas społecznych. A! inaczej dawniej bywało... dożyliśmy tego...

Nie dokończyła, bo papuga, którą służący odkrył widząc wychodzącą panią, poczęła wołać za nią:

— Adieu! adieu...

Doktor wyprowadził ją aż na schody... i tak zakończyła się ta wizyta... która we wspomnieniach hrabiny liczyć się miała do nadzwyczajnych poświęceń z jej strony dla dobra familii.

To też powróciwszy do domu, długo tej przejażdżki wydychać nie mogła, mówiła o niej cały wieczor. Alfredek musiał ze czcią dla jej poświęcenia trzy razy w rękę ją pocałować; a w przekonaniu pani hrabiny ta wyprawa na nieprzyjaciela miała być tak skuteczną, iż się zupełnie troszczyć nawet przestała „Czarną perełką“, którą przezwała ironicznie w sposób tak trywialny, iż go nam przyzwoitość powtórzyć nie dozwala.

Z tego przezwiska śmiała się jak z rzeczy bardzo dowcipnej, a Alfred, który mamy słuchał, ile razy je powtórzyła, zanosił się także od śmiechu.

Zamknięta w swej izdebce, biedna Lenora, którą dotąd znamy tylko niemal z tego, co nieprzyjaźni jej o niej sądzili, spokojnie z wypłakanemi oczyma całe dnie siadywała nad robotą. Jesień była poźna, dnie krótkie, mrok przychodził w ulicy prędko, a nim się nastawiło lampkę i dla niej właściwą dobrało pracę, pozostawała chwila nie wypoczynku ale tęsknoty i wspomnień. Robota wypadała z rąk, a dawniejszego żywota dźwięki przylatywały bijąc o serce osamotnione i ściśnięte.

W jednej z takich to godzin przejścia i dumania, Kasia idąc lampę zapalać, czego zwykle dopełniała, aby powalania rąk około knota i oleju swej panience oszczędzić — postrzegła w kurytarzu nieopodal ode drzwi stojącego młodego człowieka, który w pierwszej chwili jakoś się jej nie podobał. Zdawał się na coś czekać, coś chciéć szpiegować, chciéć czegoś pytać.

Dzień był już prawie zimowo chłodny — w sieniach przeciąg przykry, na dworze nie lepiej, a oczekujący młody chłopak mimo to nader był letnio ubrany i skromnie. Surdut miał szczelnie zapięty, pod którym widać było postać kształtną ale wychudłą z wklęsłemi nieco piersiami. Twarz także blado była żółta, posępna, zmizerowana, a oczy niebieskie jakby we łzach pływały. Zdawał się strwożony i niepewien co począć. Dziewczyna zmierzyła go oczyma,

a jako instynktowa znawczyni ludzi— z obawy i nieufności prędko przeszła do sympatyczniejszego usposobienia. Młody chłopak niby się przechadzał po kurytarzu, ale poznać było łatwo, że ta przechadzka przymusowa... nie była bez celu. Kasia popatrzywszy nań byłaby chętnie się z nim rozmówiła, ale zaczepić jej nie śmiał. Dopiero gdy wyszła z lampką, przystąpił do niej grzecznie.

— Przepraszam panienkę — czy... czy nie mógłbym się dowiedzieć o mieszkanie panny... Zary... panny Lenory Zary?

Dziewczyna wstrzymała się potrząsając głową.

— Ale ona — rzekła cicho — nie przyjmuje nikogo!

— Czy chora?

— Była niezdrowa, to prawda, przychodził lekarz... teraz ma się lepiej.... a jednakowo przyjmować nikogo nie lubi...

— Zapewne musi mieć do tego powody, ja też nie chcę się naprzykrzać, ale... gdyby panna była tylko łaskawa oznajmić jej, że tu ktoś jest, co się przyszedł... dowiedzieć o zdrowie.

— A jakże się pan nazywa?

— Niech panna powie tylko, że Zbigniew.

— Jak? jak?

Chłopak powtórzył imię... Dziewczyna postawiła lampę, weszła do pokoju, ale wprędce bardzo otworzyły się drzwi, sama Lenora pokazała się w progu i obie wyciągając ręce krzyknęła:

— Pan tutaj, panie Zbigniewie!.. Chodźże! chodź! pustelnica nie przyjmuje nikogo, ale was!..

Nieśmiało, strwożony młody chłopak próg przestąpił; pomieszany był tak, że słowo trudno mu było wymówić.

— A! pani — zawołał — jakże ja jestem szczęśliwy... że znalazłem cię nareście... ale jak razem boleśnie mi tak znaleźć panią...

— O! — uśmiechnęła się Lenora wpatrując się o mroku w biednego gościa postawę i rysy, których dobrze rozeznać było trudno — to co mnie spotkało, spodziewanem było zawsze... Jam widmo tej przyszłości miała przed oczyma zawsze... Nic w tem tak strasznego...

Pojmuję wszakże — dodała — że na was, coście mnie ostatnim razem widzieli w innem, całe odmiennem położeniu... czyni to wrażenie...

Kasia może z ciekawości pospieszyła z lampką. Przy jej świetle oczy Zbigniewa zwróciły się na Lenorę, a ona też wpatrywać się poczęła w niego z pełnym współczucia wyrazem... Dostrzegła pewnie wynędznienia i choroby śladów na miłej, łagodnej jego twarzy... opasanych brunatną pręgą oczach, piersi zaklęsłej, ku której machinalnie chodziła ręka niespokojna, jakby ją uścisnąć chciała, i zbladłych wargach, prawie od barwy twarzy nie dających się odróżnić.

On oglądał się po izdebce ubogiej, po sprzęcie i rozrzuconej robocie, przez które łatwo życie odgadnąć było można; potem oczy pełne politowania zwrócił na nią i mimowoli ręce mu spadły załamane.

— Pani tu mieszkasz! sama jedna!

— Z Bogiem — dodała spokojnie Lenora — z pracą, ze wspomieniami drogiej mojej matki, tych mi nikt odebrać nie może. Wierz mi panie Zbigniewie, życiu nie wyrzucam nic, ani opatrzności, dała mi sierocie najlepszą matkę, dała mi uśmiech szczęścia w młodości, kilkanaście lat swo-

body, aby umysł i serce dojrzało; miałażbym prawo więcej wymagać i na to, co dziś jest, się uskarżać?

Zapłaczę czasem... mimowoli, ale potem uspokojona w duchu, Bogu dziękuję i godzę się z tem, co jest!

— Ale cóż jest? co jest? — zapytał gorąco Zbigniew— ja nic nie wiem... Kilka dni temu, jak przybyłem do Warszawy, wypadkiem najdziwaczniejszym dowiedziałem się o śmierci pani wojewodziny, potem dopiero coś głucho, że pani opuściłaś ten dom, który był jakby twoim. Z trwogą biegłem tu...

— Siądź panie Zbigniewie — rzekła siadając sama wzruszona Lenora i usiłując układaniem porozrzucanej roboty nadać sobie mniej zdradzającą uczucie postawę — siądź,.. nie użalaj się zbytnio... powiem ci co się stało. Nikomu nie było tajnem, ani tobie, że wojewodzina z łaski mnie przytuliła, że w tym domu byłam jej dzieckiem tylko przez miłość jej dla mnie. Stało się więc, że gdy to serce anielskie bić przestało... obca... zostałam wyrzuconą z domu w chwili, gdy chłodne jej członki na cmentarz wieziono. Mogłażem się od ludzi, którym odebrałam mimowoli serce jej, spodziewać się, by mnie kochali? Kazano mi pójść w świat i poszłam...

— Jakto? tak?... — przerwał Zbigniew — bez zapewnienia jej losu?

— Ja sama wyrzekłam się dobrodziejstwa, które mi zmarła matka przybrana wyświadczyć chciała z za mogiły. Pojmujesz pan, że mi to moja duma sieroty nakazywała.

— I jakże pani, co byłaś nawykłą do zbytku, do wygód, do tego, by skinienia twego słuchano, do pochlebstw nawet i uległości rodziny... możesz...

Lenora uśmiechnęła się.

— Właśnie mi tego darować nie mogli, że musieli być dla mnie grzeczni, i że może za życia nieboszczki jak równą sobie przyjmowali. O! panie Zbigniewie — dodała — czyż sądzisz, że ja wśród tego życia zbytku, wygód, szczęścia, nie miałam ciągle na myśli tego miecza damoklesowego, zwieszonego nad głową moją? Czułam ja, że mi to odpokutować los każe, gotowałam się do ubóstwa i pracy w duchu. Teraz przeszły dnie goryczy pierwsze — rana się zasklepia powoli... Widzisz, żyję i uśmiecham się... ale cóż z tobą? co się z tobą działo i dzieje?

— Ze mną! — z podziwieniem podchwycił Zbigniew—ze mną! Ale pocóż i mówić o mnie! Jam się urodził na walkę i biedę...

— A ja? — spytała Lenora.

— A! pani stworzoną byłaś do szczęścia i godną go używać — gorąco zawołał Zbigniew — pani w niem nie zapominałaś o biednych... miałaś współczucie i litość, pani...

— A! a! dajże pan pokój pochlebstwom! — przerwała smutnie — ja się pytam, co się z wami dzieje?

— Ze mną? — znowu z podziwieniem powtórzył przybyły — los mój się nie zmienił. Miałem miejsce... straciłem je... szukam nowego...

— Dla czegożeś je pan utracił?

Zbigniew zarumienił się.

— Ale mów pan otwarcie, jak przed dobrym, poufałym towarzyszem.

— Ją także spodziewałem się, że mnie to spotka—cicho rzekł przybyły. — Widzi pani, czasy są takie... moje położenie... Jestem dzieckiem ubogich rodziców, podejrzywają naturalnie, że biedny muszę jako młody marzyć i... myśleć inaczej niż oni, przyuczani od dzieciństwa brać rzeczy na zimno i stawiać najwyżej interes własny... Jednem słowem bano się, bym nie zamącił czemkolwiek ich spokojności, i... pozbyto się mnie.

— Musiałeś się pan dać poznać ze swych opinii! Może dzieci...

— Może być, że dzieci powtórzyły jakie niefortunne słówko moje z historyi, której ich uczyłem... a ono się nie podobało... To prawda — mówił Zbigniew — że zakazano mi szczepić patryotycznych wyobrażeń, a ja nie umiałem dość panować nad sobą i brać słów na wagę... Musiano coś przeciwko mnie pochwycić... i...

— Zostałeś pan odprawiony...

— Tak pani — rzekł skromnie Zbigniew — ale to najmniejsza rzecz.

— Cóż myślisz począć?

— Ja?—zakłopotany spuszczając oczy odparł Zbigniew— jeszcze nie wiem. Dostałem się do Warszawy, staram zatrudnienia, nie mam żadnego...

— Ale pan przynajmniej—przyglądając się skromnemu nader strojowi zawołała Leonora — coś sobie zaoszczędziłeś.

— Tak! tak! pani... trochę... Mam coś... Utrzymuję matkę... na jakiś czas starczy nam... a potem się coś znajdzie... Ja chciałem — zagadując dorzucił—powiedzieć tylko

pani, że jestem wolny, tobym może mógł w czem usłużyć, dopomódz, a tak byłbym szczęśliwy...

— Mój panie Zbigniewie—odezwała się opierając twarz na dłoni Lenora — masz słuszność, tylko dwie niedole mogą być sobie pomocne. Ja jednak dotąd sama starczę na moję. A pan? gdzież matka?

— Matka jest w Warszawie... cicho dodał Zbigniew — trochę mi chora...

Zamilkł. Lenora wpatrywała się w niego z zajęciem żywem.

— Tak — rzekła — dwie niedole mogą jak dwa złamane drzewa podpierać się wzajem, aby nie padły... ale na to potrzeba szczerości obustronnej. Pan mi nie wszystko mówisz o sobie...

— A cóżbym mógł więcej powiedzieć? Istotnie... to cała historya moja. Daleko bardziej zajmująca byłaby jej własna.

— Całą wam powiedziałam, i cała widzicie w tej izdebce.

— Jakto? i krewni... i ten pan Alfred... który?... przerywanie mówił przybyły — dozwolili, żebyś pani?... pan Alfred?

Widocznie więcej miał na ustach, niżeli chciał powiedzieć.

— Pan Alfred — pospiesznie poczęła Leonora — czyż myślisz, że ja choć na jednę sekundę łudziłam się?

— Ale pani byłaś mu... zaręczoną!

Lenora rozśmiała się.

— Miałażem zatruć dni ostatnie mej dobrodziejki, która tego pragnęła, wystawując sobie szczęściem, co dla mnie byłoby najokropniejszym losem! Znałam pana Alfreda do

skonale i nie zawiodłam się na wrażeniu, które na mnie uczynił od pierwszej chwili. Biedna moja wojewodzina, cały świat wystawiała sobie tak dobrym jak była sama, kochała Alfreda i zaślepiała się dla niego... miałażem ją wywieść z błędu czerniąc przed nią jej ulubionego siostrzeńca?... Za tyle ofiar z jej strony... mogłam i ja uczynić jednę z siebie.

— I pan Alfred, który mógł być najszczęśliwszym z ludzi na ziemi—wybuchnął młodzieniec rumieniąc się sam, gdy usłyszał własne słowa — pan Alfred...

Twarz Lenory zapłonęła... oczy jej błysły, wejrzeniem nakazała mu milczenie.

— Panie Zbigniewie! bez pochlebstw!

— A! to mi się wyrwało z duszy... daruj pani...

— Nie... nie... chciałeś pan mi osłodzić moje wdowieństwo przez litość — przerwała Lenora z przymuszonym śmiechem — a ja wam zaręczam, że nic a nic stratą pana Alfreda nie jestem zdesperowaną...

— O! temu wierzę! ale nie pojmuję, że on... on...

— On ma wiele rozsądku... mój panie — zawołała Lenora — jakże ów dziedzic milionów i włości mógł nawet pomyśleć o dziecięciu znalezionem... pod karczmą.

Pan wiesz historyę moję — dodała — jam się jej nauczyła od starej Wawrowej, która opowiadała zawsze potem, że mnie z pod płotu pierwsza w brudnych, do łachmanów podobnych pieluszkach przyniosła do dworu.

Zamilkła biedna kobieta... próżno usiłując przybrać weselszą twarz.

— Wszyscy wiedzieli — dodała po chwili — żem była dzieckiem żebraczem, jakimś wypadkiem zostawionem pod

ścianą w czasie jarmarku. Mógłże pan Alfred choćby z przybraną przez wojewodzinę sierotą niewidomego pochodzenia... pomyśleć nawet się żenić?

Zbigniew milczał...

— A nużby się potem znaleźli krewni lub rodzice? Ot! wystawże sobie pan hrabinę w tym przypadku, gdyby synowa pokazała się cyganką, jak bardzo być może? boć ja mam rysy, płeć, naturę cygańską! nieprawdaż?

— Pani? — zapytał zmieszany Zbigniew — pani jesteś piękną jak posąg grecki...

— A pan nudny jak bakałarz — stukając ręką w stół przerwała Lenora — któż ubogiej dziewczynie mówi takie pochlebstwa.

— I pani masz siłę śmiać się i żartować ze swego losu, gdy mnie na łzy się zbiera? — szepnął Zbigniew.

— Ale czegoż płakać i do czego łzy pomogą? — przerwała — na co się zdało tragicznie brać życie, gdy można patrzeć na nie chłodno? Dosyć jest w niem pierwiastku tragicznego z natury wrzuconego, nie należy go rozwijać...

Zbigniew po chwilce wstał, spostrzegł się, że i rozmowa i odwiedziny były za długie może... Nieśmiała jego postać wyrażała i chęć pozostania i obawę.

— Siadaj pan jeszcze — przemówiła Lenora — spowiadaj się, co teraz robisz? bo wiem, że bez pracy nie możesz żyć.

— Zajęcia nie mam żadnego... Siedzę część dnia przy słabej matce, a resztę biegam szukając właśnie pracy, o którą trudno... Nie mam ani stosunków, ani przyjaciół... a do wyszarzanej sukni przylegają łatwo podejrzenia...

— Czy pozwolisz, ażebym doktora S... prosiła o wyszukanie panu miejsca...

— A! pani! myśl o sobie, pozwól mi służyć, a mnie zostaw na łaskę i niełaskę losu... Protekcyi zużywać na moję korzyść się nie godzi...

— Dla siebie ja jej nie zużytkuję—przerwała Lenora—postanowiłam się obejść bez niej i o własnej sile podołać zadaniu... postanowiłam i muszę...

— Czy mi pani pozwolisz czasem się dowiedzieć? — nieśmiało spytał Zbigniew.

— Zawsze kiedy zechcesz tylko — zawołała Leonora. — Drzwi moje są zamknięte dla ludzi nie mego świata — ale wy, wy jesteście mi przecie bezłomnym kolegą. Szczęśliwsi tylko jesteście, bo macie matkę... rodzinę, węzeł, co was żyjących łączy z światem... a ja — nie mam nikogo.

— A! mój Boże — zrywając się z siedzenia jakby pod nieprzezwyciężonem wrażeniem słów jej i widoku, który miał przed sobą, zawołał Zbigniew — cóż za ironia losu! Po takiem szczęściu jak wasze... istocie jak wy, którąby najszczęśliwsza i najświetniejsza rodzina chlubić się mogła... być rzuconą w tę samotność... nagle... bez przejścia... a mój Boże! to mi się nie mieści w głowie, to mi rozsądza serce... Pomnisz pani, gdym odjeżdżając raz ostatni żegnał cię w tym ganku klematysami obwieszonym, ostawionym kwiatami, królującą w pałacu, otoczoną ludźmi, co odgadywali twe rozkazy... uśmiechniętą do pogodnego wieczora wiosny... Któżby był naówczas odgadł, że cię znajdę dziś samą jedną... bez sługi, w izdebce ciasnej... A! nie! to chyba sen...

— Nie, to najpospolitsza w świecie rzeczywistość — odezwała się Lenora — to życie w całej sile swych praw, które są nieubłagane.

— Z tego wszystkiego wiesz pan czego mi żal? — dorzuciła cicho Lenora.

— Mogęż zgadnąć?

— Cyganka... lubiłam muzykę... namiętnie — teraz cisza grobowa, nie słyszę jej, nie gram... w duszy mi tylko spiewa... Czasem tęsknota porwie taka za pieśnią, że się jak dziecko rozpłaczę... porwę moje nuty, rozłożę na kolanach i chodzę po nich oczyma... dałabym chleb mój obiadowy...

— Jakto chleb! — krzyknął Zbigniew — chleb?

Lenora się zarumieniła.

— A! cóż to mnie pan łapiesz za słowa!... figura retoryczna!

— A dla czegoż pani nie zabrałaś swego fortepianu?

— Bo niestety! powiedziano mi, że nie był mój! Erard u mnie!

— Ależ pani miała drugi w swoim pokoju...

— Ten się komuś podobał... nie mówmy o tem — przerwała głosem zmienionym... Daremne żale. Mieli słuszność, cóżbym ja robiła z fortepianem? próżny koszt! gdzie go postawić? Kłopot i ciężar! odrywałby mnie kusiciel od pracy... a tak... a tak... siedzę, szyję i muszę mieć rozum...

— Aleby można nająć tanio... — rzekł nieśmiało Zbigniew — ja mam u jednego z przyjaciół...

— Kłamiesz pan — przerwała Lenora żywo — rumienisz się i zmyślasz... Nająwszy, gdzie go postawię... a postawiwszy jakże będę grać, chyba żeby być od sąsiadów przeklinaną...

— Ale toby było szczęściem dla nich słyszeć panią.

— Już nie mówmy o tem... nie mówmy o tem — przerwała gorączkowo Lenora — dość! Rzeczywistości trzeba śmiało w oczy zaglądać, a nigdy jej nie przebierać za coś innego, czem nie jest.

Zbigniew wstał milczący... ona mu podała rękę.

— Męstwa panie Zbigniewie — rzekła — kiedyś przyjdź do mnie, ażebyś mnie do matki zaprowadził. W niedzielę? pójdziemy razem... nieprawdaż?

— Panibyś raczyła?

— Ja potrzebuję kogoś... chcę mieć, przemówić do tych, co mnie zrozumieją... Poznaj nas, panie Zbigniewie...

Młodzieniec stał czegoś zmieszany i szczęśliwy razem, widać było, że z serca synowskiego był jej wdzięczen; a coś go wstrzymywało od przyjęcia tej ofiary. Żywo schylił się do pocałowania jej ręki, na której łzę może zostawił, i nieodpowiedziawszy nic wybiegł z pokoju.

I ona też nic już nie rzekła... przeprowadziła go oczyma... spuściła głowę...

— Któż wie? — szepnęła do siebie — może Bóg zesłał mi go na obrońcę? może w nim będę mieć brata? Dwie niedole! dwie niedole! — powtórzyła i w szept a marzenie rozsnuły się myśli... a oczy zaświeciły łzami... Żywo jednak otarła je, chwyciła robotę, przysunęła lampę, zmusiła się do pracy i znowu machinalnie igła poczęła biegać po płótnie.

Doktor siedział po obiedzie w fotelu z książką i sygarem, rzadkiej chwili spoczynku używając na pół roztargniony jakiemiś myślami, dla których często rozpoczęte rzucał czytanie, gdy służący oznajmił mu, że młody jakiś jegomość (sługa w ten sposób oznaczać był zwykł osoby, których stanu nie mógł odgadnąć) bardzo się dopraszał chwilowej rozmowy.

Domyślał się jakiegoś biednego pacyenta... Wejście Zbigniewa i spojrzenie nań nie wywiodło go z tego błędu; twarz blada, oko zgasłe potwierdziły raczej przypuszczenie. Ubiór ubogi zdradzał dolę nie bardzo szczęśliwą. Z tem większem współczuciem doktor wstał na przyjęcie biedaka, i wskazał mu krzesło. Była chwila milczenia, wśród której lekarz, nawykły do czytania w ludzkich twarzach, badał nieznajomego troskliwie.

— Co panu jest? — spytał wreszcie, widząc zakłopotanie jego.

— Mnie! ah! szanowny panie — odezwał się gość — przebaczysz mi, ale ja nie przyszedłem radzić się dla siebie. Ja... muszę być zdrów. Mam do pana konsyliarza prośbę.

— Słucham, mów pan otwarcie...

— Kilka lat temu — odezwał się Zbigniew — miałem szczęście poznać w domu pani wojewodziny, u której nie-

gdyś ojciec mój był w obowiązkach, pannę Lenorę Zara.

— A! — zawołał żywo doktor — pan ją znasz?

— I wiele jej i wojewodzinie nieboszczce wdzięczen jestem. To wyznanie wytłumaczy mnie, dla czego ośmielam się trudzić go sprawą, która właściwie do mnie nie należy. Znam pana konsyliarza z jego szlachetnego serca; wiem, że byłeś przyjacielem wojewodziny, że litujesz się nad losem biednej sieroty... Czy wolno mi spytać pana dobrodzieja, los jej jest mu dobrze znanym czy nie?

— Zdaje mi się, że położenie jej rozumiem, i że się nie łudzę — rzekł doktor — radbym jej dopomódz i wyrwać ją z fałszywego położenia, zgubnego dla zdrowia i dla duszy... bo sprowadzającego zwątpienie; ale cóż na to poradzić, jeźli się ona przy swojej idei ręcznej pracy upiera?

— Ja, obcy choć życzliwy, młody, nie mając prawa przemówić dobitniej, a w potrzebie walczyć z nią i zwyciężyć, zapewne nicbym nie potrafił, ale pan swą powagą...

— Ale ona słuchać nie chce!

— Pana usłucha...

— Cóż myślisz, że radzićby jej należało?—zapytał lekarz.

— Mnie się zdaje, że dla każdego człowieka powołaniem powinno być to, czemu oddał serce... ona jest namiętnie muzykalną, zna doskonale i miłuje muzykę:—dla czegożby z niej nie miała uczynić powołania.

Lekarz się uśmiechnął smętnie.

— Rada w zasadzie bardzo dobra — rzekł — ale pan jesteś młody i nie wiesz, co to życie artysty, co karyera nauczycielki i wirtuozki. Muzyka dziś jest tak rozpowszechnioną, a wydoskonalenie w niej tak pospolite, iż trudno

na ten towar znaleźć kupca... a iluż to upokorzeniami okupić trzeba uznanie. Dla Lenory prawie niemożliwem jest a przynajmniej bardzo przykrem być może, w salonach, w których na stopie przyjaciółki była przyjmowaną, przyjść z teką nauczycielki. Dla niej zresztą to nic; ale ci, co ją znali dawniej, a nie znali tylko powierzchownie, zechcąż ją wziąć?

— A koncerta? — spytał Zbigniew.

— Koncerta? — uśmiechnął się doktor — koncertom będą szkodzić i przeszkadzać wirtuozi współzawodnicy, a i na najświetniejsze prosić potrzeba... Chybaby poszli dla ciekawości widzenia kobiety, co padła...

— I nie zabiła się w upadku — dodał żywo Zbigniew.

— Wszystko, co pan życzliwie napomykasz o pannie Lenorze, ja myślałem, projektowałem, proponowałem jej... wszystko się okazało niepraktycznem...

— A więc to wyrok śmierci na tę istotę wyższą duchem, umysłem, wykształceniem, sercem, którą igła zabije powoli... którą sama tęsknota po utraconych artystycznych wrażeniach... powoli wyniszczy...

Przepraszam konsyliarza... wiele jestem winien pannie Lenorze z tych czasów, gdy matka moja nie miała przytułku, a ja kawałka chleba. Dziś ja i ona biedni jesteśmy, ale nas dwoje... my mniej cierpimy, chcielibyśmy spłacić dług święty... Ona od nas nie przyjmie nic... nic! Ja wiem, że największą prywacyą dla niej jest pozbawienie fortepianu; lecz czy nie możnaby choć pobieżnie skłamać, aby go jej... narzucić... Jabym najął... a konsyliarz mógłbyś... być łaskaw i coś... i jakoś... i tak to obrócić, aby to nie było posądzeniem nawet, że pochodzi odemnie.

Konsyliarz spojrzał na biedaka, który wcale nie wyglądał na mogącego robić podarki, i podał mu rękę wzruszony.

— Proszę pana — dodał żywo Zbigniew — ci ludzie, co jej są wszystko winni, bo wojewodzina, gdyby nie ona, byłaby z pewnością inaczej rozporządziła majątkiem, ci ludzie jej własność, nędzny fortepian, który ona tak lubiła, odebrali sierocie! czy to się godzi?

Doktor chłodno z wielką seryą odparł.

— Potrzebny był im jako sprzęt w salonie, zajmujący jego kąt nie zastawiony, a choć na nim nikt nie gra... miło się pochwalić, że to Erard... czy Pleyel...

— Nie chcę pana nudzić... ale mi idzie dla niej o fortepian... ja go znajdę, pan zmyśl, że dajesz od siebie...

— Przepraszam cię, kochany panie, ale ja ojcu umiérającemu, jest temu lat trzydzieści, dałem słowo, że nigdy nawet dla dobrej pobudki nie skłamię; nie mogę złamać świętej przysięgi... ale... mogę dać sam fortepian...

Zbigniew się zafrasował.

— Proszę pana, to zupełnie co innego! możeby tak było przyjemnie odsłużyć jej dobroć dla mej matki...

— Zrobisz to drugą razą.

— Zresztą — rzekł żywo Zbigniew — prawda i to, że cały mój projekt i pańska dobra wola rozbija się o nieprzezwyciężoną trudność... Nie ma go gdzie postawić...

Doktor rzekł lakonicznie: — Znajdzie się...

Młodzieniec chwycił jego ręce z uczuciem, ścisnął i w ramię począł całować. — A! panie nie zawiodłem się, jesteś równie dobrym jak rozumnym.

— O! o! pochlebca... pfe! — rozśmiał się stary — a widząc, że chce wyjść, zatrzymał go gwałtem.

— Gdzie matka wasza mieszka?

— Moja matka? albo...

— Wspomniałeś o matce, a bodaj i o tem, że nie bardzo zdrowa; chcę ją odwiedzić.

— Moję matkę? — powtórzył Zbigniew.

— Tak, tak, i powinszować jej poczciwego syna... Ale gdzież mieszkanie?

— Na Dziekance... ale w takim... tymczasowym, ubogim kątku...

— To nic nie szkodzi, jam więcej nawykł do kątków, niż do salonów.

Zbigniew zmuszony wybąknął numer.

— Za jednym zamachem — dodał konsyliarz — powiedz mi pan, czy sambyś mojej rady nie potrzebował? Nie bardzo mi się zdrów wydajesz...

Zbigniew się uśmiechnął... — O! proszę konsyliarza, zdrowiuteńki!

— A! no, to dobrze... podał mu rękę, rozstali się... Zbigniew pobiegł do matki... a doktor pomyślawszy wziął za kapelusz i poszedł pieszo do pani Laury...

Jesteśmy zmuszeni powiedzieć dwa słowa o pani Laurze, uprzedzając naprzód łatwowiernych czytelników, iż to imię jest tylko pseudonymem znanej bardzo w owych czasach w Warszawie osoby. Pani Laura była wdową od bardzo dawna; syna jedynaka ożeniwszy szczęśliwie i oddawszy mu majątek, sama z pensyą od niego osiadła w stolicy, którą lubiła, o której mówiła zawsze, że gdzieindziej żyćby nie mogła. W lecie jeździła do wód regularnie, na zimę powracała. Zdaje się, że towarzystwo bez niej, równie jak ona bez niego byłyby się nie obeszły.

Pani Laura najczynniejsze w niem stanowiła kółko. Należała do Towarzystwa dobroczynności, do Ochronek, do kwest, do loteryi fantowych, do wszystkich zabaw i smutków, wiedziała o wszystkiem, zajmowała się każdą rzeczą. Mała, ruchawa, dosyć brzydka, nie bardzo młoda, pomimo to stroiła się wykwintnie, lubiła skandaliki i ploteczki, złośliwą była nadzwyczaj, a w istocie cała jej ruchawość pochodziła z tego, że z życiem nie wiedzieć co było zrobić... a zająć je czemś stało się koniecznością. Jak się nadzwyczajna pobożność godziła z wielu innemi skłonnościami, które do siedmiu grzechów głównych się kwalifikują, o tem tylko wiedział dyrektor sumienia, człowiek wyrozumiały bardzo. Są kompensaty, które wiele grzeszków nawet głównych dozwalają puszczać płazem. Pani Laura w gruncie była dobrą, ale tylko dla dobrych i biednych, dla złych zaś i dla nadętych nieubłaganą... Tym nie okazywała litości najmniejszej... i z zajadłością ich ścigała. Między innymi hrabina Pyza, mama Alfreda, była jej bête noire. O ile kochała nieoszacowaną wojewodzinę, o tyle nienawidziła siostrę. Postępowanie z Lenorą było jej dobrze znane, ale o losie sieroty dotąd próżno dowiedzieć się usiłowała: nikt jej nie umiał powiedzieć nic nadto, że odarta ze wszystkiego w świat gdzieś poszła.

Doktor wczoraj dopiero wpadł na trop tych usposobień i postanowił zręcznie z nich korzystać, ile możności sam się nie mieszając do niczego.

Obrachował tak dobrze godzinę, że zastał panią Laurę w domu, właśnie numerującą fanty na jakąś loteryę dobroczynną. Cały stół był zarzucony niemi, a w części dywan i posadzka. Porwała się depcząc haftowane poduszki

i patarafki kupami leżące, i pobiegła naprzeciw doktora, którego lubiła bardzo.

— O mój Boże, cóż za cud — zawołała z żywością, której wiek nie mógł poskromić — co za cud! wy, u mnie! Czy nie jestem chora!

Chwyciła się za bok, za głowę, poczęła śmiać, i posadziła przez roztargnienie konsyliarza na bębnie dziecinnym, który spadł z wielkim hałasem na ziemię.

— A! Przepraszam... siadaj! co słychać!

— Chyba ja panią o to spytam... bo mnie dochodzą tylko wieści o febrach i reumatyzmach, a to nie ciekawe.

— Jak to nie ciekawe? — zaśmiała się pani — ależ w głębi wszystkich febr i reumatyzmów są zawsze... utajone grzeszki ludzkie... tylko je trzeba umieć z nich dobyć...

W tejże chwili korzystając z bytności doktora, wpakowała mu dziesięć biletów na loteryą. Doktor zapłacił je śmiejąc się i schował do kieszeni.

— Słuchaj, doktorku kochany, jesteś nieoszacowany — zawołała całując go w ramię — ale nie myśl, że mnie obałamucisz... Powiedz od razu, z czem przyszedłeś... bo że nie darmo, jak Boga kocham... ręczę... Już masz namotany jakiś dobry uczynek, do którego ja służyć będę za narzędzie. Przysięgam.

Doktor się rozśmiał, ale postanowił się nie wydać z tajemnicą.

— Widzisz pani — odrzekł — że tym razem byłabyś popełniła krzywoprzysięztwo, bom przyszedł tylko w niewinnym zamiarze rozpytania pani o... jednę biedną istotę, ku której pewnie czujesz jak ja sympatyą. Co się stało

z tą sierotą, która była na wychowaniu u wojewodziny?

— Z Lenorką? z moją najdroższą Zarką? — podchwyciła rzucając się po kanapie i giestykulując rękami Laura — z Lenorką? Wystaw sobie, ta Pyza nadęta i godny jej synalek, nie puściwszy jej za trumną inaczej iść, jak ze sługami... wypędzili...

— Ale musieli jej choć wypłacić zapis wojewodziny.

— Tak! tak! dobryś! albo on głupi! zapis był nieważny... nie dostała nic, a że dziewczyna dumna, sama się go dobrowolnie zrzekła...

Doktor pokiwał głową, Laura popatrzała nań.

— Słuchaj stary — zawołała nagle — co ty mnie durzysz! co ty mnie, mnie, mnie... (uderzyła ręką w piersi) chcesz obałamucić! Ty już wiesz o niej i coś dla niej chcesz wyrobić. Mów otwarcie, bo się klnę, że mnie nie oszukasz.

Konsyliarz minę zrobił dziwną, ale ruszywszy ramionami rzekł cicho...

— Czy to prawda, że jej własny fortepian Erarda i pianino... pod jakimś pozorem skonfiskowali?

Laura rękami uderzyła rozgłośnie.

— A! to łotry! proszę ciebie! to łotry! toż ta dziewczyna bez fortepianu umrze...

— A przynajmniej śmiertelnie będzie tęsknić — szepnął konsyliarz.

— Ty wiesz, że tak jest?

— Zdaje mi się, mówią — dodał doktor.

— Ale mów do licha jasno, zawsze te tajemnice, a ja ich nie cierpię... czy tak jest?

— No, to tak jest... a pani rzecz na to zaradzić—rzekł wstając stary.

— A! czekajże, nie puszczę! czekaj... ani mi się ruszaj z miejsca, póki się nie wygadamy o tem. Wiesz gdzie się podziała Lenorka?

— Wiem, ale dałem słowo, że nie powiem.

— No, więc jest w Warszawie, o to mi szło—zawołała Laura—a ja jutro bez ciebie o tem będę wiedziała.

— Fortepian choć jeden trzeba odzyskać - rzekł konsyliarz — to okrucieństwo i grabież...

Laura zamyśliła się, spojrzała na zegarek.

— Doktorze! ty mnie znasz—poczęła zsuwając fanty—ja nie umiem czekać, nie cierpię odkładać... ja jeszcze dziś do Pyzy pojadę...

— Zmiłuj się pani... ależ się namyśleć trzeba...

— Daj mi pokój!— machając rękami, jakby odpędzała, zakrzyknęła Laura — ja już wiem, co zrobię... ale sza!! Winnam ci prawdziwą wdzięczność, bo zrobić przykrość i dogryźć Pyzie i jej synkowi, to c'est un festin des Dieux!

Pocałowala tłuste paluszki swoje i podniosła je do góry.

— Fortepian! co to fortepian, a choćby i oba... gdyby im można więcej co wydrzeć...

— Ale Lenora nic w świecie od nich nie przyjmie.

— To głupia!! — szparko przerwała Laura — to jej się należało wszystko, jej! Była istotnie córką najlepszą dla staruszki, która jakkolwiek poczciwa i anielskiej dobroci, pod koniec życia okrutnie się stała ciężką. Gdyby nie ona, straciliby majątek, gdyby nie ona, straciliby jej

serce... I to wdzięczność. Ale w tej Pyzie oprócz dumy i głupstwa nic się nie mieści, a Fredek godnym jest jej synalkiem. Jedźże sobie teraz doktorze, ja mam mój plan, biorę szal, Stefusia ze mną pójdzie, oddam jej wizytę. Mieszka właśnie w dawnych apartamentach wojewodziny... to mi się doskonale składa!

— Hej! Stefko! — zawołała... Wbiegła panienka żwawa jak ona, ładna bruneteczka, i pospieszyła ku niej. Znać była nawykła do lakonicznych wyrażeń swej opiekunki...

— Szal... kapelusz... ubierz się... dwadzieścia pięć biletów... idziemy zaraz... Chustka... turecka... włóż kapelusz z woalikiem...

Doktor już się wysunął.

— Jutro ci dam znać! zobaczysz! Czy oddadzą ci kozacy grabież? tego nie wiem... ale że im dopiekę...

Ręką zakręciła jakby student mszczący się na głowie nieprzyjaciela...

— O! że dopiekę... to dopiekę...

Ścisnęła doktora za rękę.

— Ty jesteś poczciwy człowiek — rzekła prędko — kocham cię! poszłabym za ciebie i uszczęśliwiłabym cię, gdybyś chciał!

Skłonił się konsyliarz, uśmiechając.

— Nie jestem godzien.

— Filut! a żebym miała mniej dwudziestu laty? Hej! żebyś mnie zobaczył, jak wyglądałam! Oj! skusiłbyś się...

— Patrz — poprowadziła go do portretu wiszącego na ścianie, wyobrażającego piękną brunetkę, bardzo do Stefki podobną — A co? — spytała...

— Obawiałbym się! — szepnął doktor.

Laura uderzyła go po ramieniu.

— Nicpotem jesteś! — pogroziła mu na nosie — To twoje szczęście, że serce dobre, ale filut...!!

Doktor nie był jeszcze zszedł ze schodów, gdy już pani Laura wdziała kapelusz, szal, rękawiczki, wymusztrowała Stefkę i schodziła co żywo... starając się fizyognomii nadać wyraz spokojny, co jej nigdy łatwo nie przychodziło.

W kwadrans potem pytała u szwajcara, czy hrabina w domu, kazała się meldować i z pogodną, uśmiechniętą twarzą tryumfalnie weszła do złocistego salonu, w którego kącie głównym stał milczący ów Erard... Hrabina, Pyzą zwana, siedziała w fotelu z powieścią Arsena Houssaye w ręku i lornetką na nosie. Tusza nie pozwoliła jej wstać rychło, a żwawa Laura podbiegła ku niej, aby tej fatygi oszczędzić.

— Niechże kochana hrabina nie rusza się, proszę bardzo! Ja tylko na chwileczkę przerywam miły jej spoczynek i lekturę... zawsze z mymi interesikami ubogich... Znając dobre jej, szlachetne serce... przychodzę z biletami na loteryą. Chére Comtesse! pani Zamojska wzięła pięćdziesiąt... to już i kochana pani choć...

— Ale wezmę ile każesz — zawołała hrabina — proszę cie...

— Ogłosim imiona dobroczynnych dam w Kuryerku i Gazecie...

— Proszę cię... to mi jedno... ale wezmę. Wiele? Pięćdziesiąt mówisz?

— Entre nous! — szepnęła na ucho Laura — gdyby kto mógł wziąć więcej, byłabym rada... bo Zamojska skąpa.

— No... to... no to... sześćdziesiąt! — wyjęknęła rumieniąc się Pyza.

— Vous étes un ange!—całując ją w ramię prędko odparła Laura — Stefciu, dawajże bilety...

Gdy panna Stefania dobywała biletów, których nie miała więcej nad dwadzieścia pięć, Laura poczęła się rozglądać po salonie.

— Jak sobie hrabina to urządziła z gustem! jak wytwornie!

— Prawda, że nie brzydko?

— Ale cudnie!

— Gdybyś widziała inne pokoje!

Hrabina usiłowała powstać, oparła się na obu poręczach, zaczerwieniła i nareszcie dźwignęła. Ot chodź, to ci pokażę.

— A! bardzo, bardzo jestem wdzięczną!

W najróżowszym humorze pani domu uśmiechnięta poprowadziła swych gości, ukazując im splendory swoich apartamentów, a nawet przytykające do nich nieskończone jeszcze pokoje Alfreda, który tymczasowo stał w hotelu... czekając aż matka mu apartament kawalerski wedle swej myśli uzupełni. Z innych też względów hotel mu lepiej jakoś dogadzał.

W przyszłym saloniku Alfreda stał Pleyel panny Lenory.

— A cóż to to? wszak fortepianik tej sierotki Lenorki! nie musiała go mieć jak zabrać?

Hrabina się zmieszała nieco.

— Biedna dziewczyna! — dodała żywo Laura — co też to o niej i z powodu niej wyplatają!

— Cóż? cóż proszę cię!

— At! zachciałaś moja hrabino... potwarze! plotki... Ludziom tylko w to graj, żeby mieli co wziąć na języki. Okrutniem się za was ścierała... bo proszę cię, kochana hrabino... zapisy tam jakieś to naturalnie nieważne, ale wiem to doskonale, że to, co było jej własnością, oddaliście jej święcie.

— Ale do ostatniego gałganka...

— A że nie miała gdzie zabrać naraz dwóch fortepianów, nie wasza wina przecie. Dosyć, że zabrała swego Erarda... bo ten, co w salonie, oczywiście nowy. Ale są tacy źli ludzie, co przez zawiść dla was rozgadali, że wyście jej oba fortepiany skonfiskowali! Ja się przysięgałam, że to nie może być...

Hrabina z róży przeszła do koloru starego buraka... usta się jej poczęły trząść... stanęła...

— I któż to mówił? — zapytała gniewna.

— Ale u margrabiostwa pletli, komentowali, użalali się, a że wiadomo było wszystkim, iż wojewodzina jej na imieniny dała Erarda... a z pensyjki swej ona sobie sama kupiła Pleyela... więc gardłowali! Ja przysiądz chciałam, że to nie może być!

Hrabina powoli zaczynała do siebie przychodzić, westchnęła jak machina parowa przybiegając do stacyi.

— A! już to, powiadam ci, moja Lauro — nie ma nieszczęścia, jak przybłędę w dom puścić! Otóż to wdzięczność potem dla familii, co ją wychowała, co ją, z pozwoleniem, z gnoju podniosła...

— Nie, to nie ona pewnie mówiła, boby kłamać nie mogła... ale źli ludzie... ale plotkarze...

— Bo to proszę cię, wszystko zazdrość tych dorobkowiczów, co to z niczego wyszło... i radeby familie stare widzieć w nędzy. Że nam pan Bóg jakoś dopomógł, to nas prześladują, nękają, spotwarzają. Już im o fortepianach zachciało się pleść!

— Ale jakże! z tych fortepianów zrobiono całą historyą. Sierota była do tych pamiątek przywiązaną, i one naturalnie dla niej w jej położeniu stanowiły wiele. I co za złośliwość, bo ja mówiłam zaraz, że to wprost niepodobieństwo!

Hrabina tylko głową i ramionami ruszała.

— Cóż to my nie jesteśmy w stanie sobie kupić, czy tam Edwarda, czy tam tego Lejela? — zawołała Pyza — to są powiadam ci — łajdaki. Ja jej dałam pozabierać klejnoty! Wiadomo przecie, że wojewodzina miała kanak brylantowy, i nigdzie go nie podziała, tylko pewnie u niej w kuferku... No! a poszła sobie nierewidowana! A pierścionków, a zegarków, a bransoletek... to tego kupy... powiadam ci... ale to są łajdaki... to zawiść! I ta marmuzelka! oj to także ziółko! — dodała hrabina.

— Ale gdzież się ona podziała? — spyłała Laura.

— Albo ja tam wiem! pójdzie to zkąd przyszło... bo to z takiego rodu i krwi, że nic dobrego być nie mogło. Wszak powiadam ci, Alfredka bałamuciła, że gdyby inny nie on, co ma sumienie i tych amorów garderobnych nie cierpi, to byłaby pięknie wyszła...

Zasapana, zdyszana, zakaszlała się hrabina i potrzebowała wrócić do fotelu. W salonie znowu Laura spojrzała na Erarda.

— Ja bo pamiętam tego Erarda jej... wcale był inny... mniejszy...

Hrabina nie odpowiedziała nic, ale się trzęsła z oburzenia.

— Moja droga — dodała — bo ja wiem, że ty mi sprzyjasz... co więcej gadali u tych margrabiostwa?

— Ja nic nie słyszałam, oprócz fałszywej historyi fortepianów, i muszę oddać sprawiedliwość przytomnym, że się niemal wszyscy oburzyli. Nikt temu naturalnie wierzyć nie chciał; bo któżby taki, jak ty hrabino, przy waszych milionach i fortunie, chciał się tam żywić takiemi przywłaszczeniami...

Hrabina czerwieniła się i nie mówiła już nic.

Laura parę jeszcze razy zapuściła żądło w ranę... i poczęła się żegnać z taką czułością, uszanowaniem i przymileniem, tak prosząc kochanej hrabiny, aby się nie ruszała z fotelu, iż Pyza, mimo gniewu, rozstała się z nią wielce czule.

W połowie schodów Laura rozśmiała się do swej towarzyszki.

— Jeżeli ją dziś apopleksya nie ubije, tego starego muchomora... to będzie cud... Uważałaś jak czerwieniła się, a białe plamy jej na twarz występowały. Istny muchomór!...

W kwadrans po wyjściu Laury, napiwszy się proszków burzących, wypocząwszy, hrabina posłała po Alfreda, aby natychmiast przychodził.

Posłuszny syn, chociaż grał w lansknechta, porzucił zajęcie miłe, przyjaciół, niedopalone sygaro, i pobiegł. Wchodząc do salonu, postrzegł po twarzy matki, iż ją coś wzruszyło w niedobry sposób.

— Cóż to mamie? widzę proszki!

— A! powiadam ci! nie mogę jeszcze przyjść do siebie... Była u mnie ta poczciwa Laura... bo to kobieta, która mi dobrze życzy... przychodziła znowu z jakąś loteryą dobroczynną... wyciągnęła mi kilkadziesiąt rubli...

— Czyż to mamę tak zniecierpliwiło?

— Ale, gdzieżtam! Słuchajże! zaczęła mi opowiadać rozmowę u magrabiostwa i płotki, które po mieście chodzą... Wystaw sobie, co zrobili! co te łajdaki zrobili za tragedyą z tych dwóch fortepianów! Miałam święte prawo je zabrać! Tymczasem krzyczą na grabież, na krzywdę sieroty... że jeden był jej na imieniny darowany, a drugi ona sobie sama kupiła. Pytam z jakich pieniędzy? z tych, co wydarła u mojej siostry... Ale niech ich diabli biorą, odesłać! odesłać, choćby na ulicy postawić oba... kupić innego Edwarda... a oddać...

— Mama pozwoli powiedzieć, że jabym nie zważał na gadanie. Hermann mi mówił, że za Erarda ciocia zapłaciła mu tysiąc dwieście rubli... a za Pleyela pięć tysięcy złotych... Jabym nie oddał.

— Ale nie chcę... nie chcę... niech ją i fortepiany kaduk porwie! — przerwała hrabina. — Żebyś słyszał, co gadają... Niechcę... grabież... rabunek... sieroce mienie...

— A no, jeśli tak moja mamo, to jeszcze jej trzeba będzie i dwakroć zapłacić, żeby im gęby pozatykać...

— Ona sama się zrzekła...

— To i fortepianów tak samo...

— Nie! nie! ja na nie patrzeć nic mogę. Dziś, jutro mi je odeślij, jeśli nie ma gdzie postawić... na ulicy... na

ulicy... niech wszyscy widzą... Już mam tej twojej Lenorki po póty. — Pokazała na gardło. — Dość tego!

Alfred ramionami ruszył.

— Jak mama chce — rzekł — ale jabym nic nie dał, dosyć nabrała...

— No, już mi krwi nie burz, mówiąc o tem... Ja ci ręczę, że kanak wojewodziny, co znikł... a od nieboszczki matki jeszcze słyszałam, że był siedm czy ośm tysięcy czerwonych złotych zapłacony i to jeszcze tanio...

— Pewnie, że jest u niej—zimno odezwał się Alfred — ale na miejscu mamy, mając prawo, zrobiłbym rewizyą i możnaby go odzyskać... jeźli jeszcze nie sprzedany...

— Nie chcę i kanaka i fortepianów i nic... Krzywdę moję niech Bóg sądzi!—wzdychając patetycznie zawołała hrabina.

Alfred przechadzał się po pokoju.

— Ja zawsze — rzekł po chwili — przewidywałem, co nas z tą jejmościanką czeka. Musieliśmy dyssymulować... szczędząc wojewodzinę... teraz za to pokutujemy.

Hrabina westchnęła.

— Myślisz, że ja nie próbowałam siostrę zreflektować? Ale to było zaślepienie, to były czary, że mnie nieraz grzeszne myśli przychodziły... Trzęsła się, słysząc ją nadchodzącą... żyć bez niej nie mogła, a pochlebnica jak pies u nóg jej leżała... i nazywała tylko matusiu! mateczko! mamo! bo inaczej nie było wolno... i ty pod koniec świadkiem ich sam byłeś nieraz. Wojewodzina oszalała... Żeby nie ten projekt małżeństwa, ręczę ci, że byłaby Julka sprowadziła, i ją wyswatała za życia... Szczęście, żeśmy się z taktem znaleźli i tej plamy uniknęli... a drugie szczęście, że ty miałeś rozum i nie stał się skandał... bo choćbyś

ty nic nie był winien, przy takich narzucaniach się... ale zawsze pletliby, żeś sierotę skrzywdził...

— Hm! — szepnął Alfred cicho — był tam ktoś inny.

— Był? proszęż cię! toć trzeba o tem gadać głośno... niech ludzie wiedzą, co to za synogarliczka... — Aleś ty mi nigdy nic o tem nie wspominał...

— Nie było o czem mówić — sucho odparł Alfred.

— Któż to taki?

— Swój swego szuka... syn jakiegoś oficyalisty, którego panna niby przez litość dla matki protegowała. Wiem, że formalnie zajmowała się dokończeniem jego wychowania, że z nim wieczorami chodziła sama jedna na przechadzki... że u wojewodziny nieustannie coś dla niego wyciągała.

— I tam... coś, myślisz, było między nimi?

— Romansik czuły... pokątny... — mówił Alfred — wszyscy o tem wiedzieli, oprócz wojewodziny, która niczego się nie domyślała, bo ją miała za świętą.

— A to żmija chyba — przerwała hrabina — wygrzana na naszem łonie... I proszę cię Alfredzie, co za nikczemny charakter, boś mi mówił, że udawała, iż się w tobie kochała, zawracała oczy, wabiła, ciągnęła, a natura cygańska ciągnęła ją do lasa!

Alfred nie mógł naprawdę potwierdzić teraz dawnych swych relacyi, gdyż za życia wojewodziny Lenora tyle tylko dlań była grzeczną, ile ściśle potrzeba było, aby uspokoić wojewodzinę... Zamilkł ponuro... Hrabina zmęczona dyszała tylko. Fortepiany wyprawiono nazajutrz.

Doktor zapisawszy sobie numer domu, w którym wdowa mieszkała, nazajutrz około południa nie zapomniał wstąpić na Dziekankę. Oswojony z wewnętrzną ekonomiką starych domów Warszawy z łatwością trafił do tego mieszkania, które się znajdowało w dziedzińcu i należało do najbiedniejszych. Wdowa zajmowała dwie izdebki ciemne z małą sionką przepierzoną na dwoje, tak że w połowie jej ciasna jeszcze mieściła się kuchenka.

Z imienia syna jej Zbigniewa, jużby baczny postrzegacz obyczajów domyśleć się mógł charakteru matki, która tę szumno-brzmiącą i romantyczną nazwę narzuciła dziécięciu, na ubóstwo i walki niegłośne przeznaczonemu. I nie omyliłby się...

Matka Zbigniewa, niegdyś wychowanica i garderobiana możnego domu, nosząca nazwisko szlacheckie, piękna za młodu, wyuczona przy panienkach trochę francuzczyzny, wypieszczona przez męża, była jedną z tych nieszczęśliwych istot, którym się zdaje przez całe życie, że los je najniesłuszniej pokrzywdził, że opatrzność była im dłużną wiele... że nie są na swem miejscu...

Taką była istotnie nieszczęśliwa, dobra, zacna ale ostatecznie śmieszna pani Amelia Matuska.

Za życia męża mieszkając na folwarku, gdy on ekonomował, zamiast kur pilnować, ubierała swoje izdebki,

siebie, dziecko, czytała romanse francuzkie, unosiła się nad naturą... zajmowała polityką i grała rolę wielkiej pani, którą wypadki nieszczęśliwe na stan nieznośny skazały.

Życie jej całe było zwichnięte, nędzy broniła się nie pracą ale łzami i lamentem; z losem pogodzić się nie mogła nigdy, z utratą wdzięków oswoić... Trzymała na loteryi w przekonaniu, że pan Bóg tylko czekał zręczności, żeby jej wynagrodzić chwilowe zapomnienie, marzyła o sukcesyi jakiejś, o cudach, a pół dnia kładąc kabałę często zapominała, że trzeba było dopilnować obiadu.

Wychowanie syna nieco tych nieszczęśliwych usposobień było wynikiem... Zbigniew pieszczony stracił energią zawczasu, więcej umiał rzeczy miłych niż potrzebnych, i byłby może stał się tak nieszczęśliwą jak matka 'istotą, gdyby nie wpływ Lenory, która go wzięła w opiekę, w której się on zakochał namiętnie... a ona inne mu zadań życia dając pojęcie podniosła go i pokierowała nim wlewając nowego ducha...

Pani Amelia, ubóstwiając syna, taki los mu gotowała jak sobie... Szczęściem w porę jeszcze chłopak posłyszał z ust wdzięcznych prawdy, które do jego przekonania trafiły. Zostało w nim coś z matki, ale nowa nauczycielka pchnęła go na lepszą drogę...

Z takiem usposobieniem, jak matka Zbigniewa, rzuconą być w życie nędzy, pracy i w cień a kąt społeczeństwa, jest niewypowiedzianą męczarnią. Biedna kobiéta trawiła dnie we łzach, nocy na westchnieniach. Mieszkanie jej zdradzało najlepiej charakter, przy największym niedostatku bezsilne staranie o jakąś niemożliwą, nieszczęśliwą elegancyą, okruchy lepszych nieco czasów... wszystkie zmy-

ślenia, na jakie zdobyć się może ubóstwo, które ukryć się i zamaskować pragnie.

Coś bardziej tragicznego a razem więcej do smutnego śmiechu pobudzającego wymyśleć trudno.

Pierwszy pokój, do którego wszedł doktor, miał widoczną pretensyą być salonikiem. Stół okrywała kolorowa niegdyś serweta, stał na nim jakiś otłuczony wazonik ze zwiędłym bukietem; na kulawej szafeczce ponastawiano umiejętnie obłamanej porcelany tak, aby jej kalectwo zamaskować dla patrzącego... W oknach były firanki perkalowe ale pąsowe i z frenzlami, trochę kwiatów w wazonach.

Wśród tego biednego ciemnego saloniku siedziała wdowa, blada, z twarzą wyniszczoną, w odzieży starej i zużytej, ale skrojonej i poprzybieranej tak, aby robiła złudzenie modnego kroju i formy, w chustce wyszarzanej, w rękawiczkach, bez których się ruszyć nie mogła.

Na widok nieznajomego przybrała ton i postawę teatralną wielkiej pani, zesznurowała usta i posunęła się ku doktorowi, cała w ruchach wymuszonych a dla patrzącego bolesnych.

Jeden rzut oka starczył staremu do objęcia sytuacyi, do zrozumienia tej niedoli nad wszelki wyraz boleśniejszej. Jak strój tak mowa pani Matuskiej chciały dowodzić i lepszego niegdyś bytu i staranniejszego wychowania.

— Jestem doktor S. — rzekł przybyły — miałem przyjemność poznać syna pani, a że i o nim chciałem się z panią rozmówić i spytać o jej zdrowie, zaszedłem sam się zaprezentować.

— Nieskończone dzięki winnam konsyliarzowi — odparła wskazując krzesło kobiéta, sama zajmując pompatycznie

na kanapie miejsce.—W istocie moje zdrowie tylu przeciwnych losów razami skołatane w najopłakańszym jest stanie. Widzisz nas pan w smutnem nader położeniu, które litość serc szlachetnych obudzać powinno... Nie byłam zrodzoną do tej doli, którą mi ręka zawistnych przeznaczeń zgotowała... ale umiem cierpieć... Jestem z domu Zamierzychowska...

Doktor niewiele zrozumiał, co rodzina Zamierzychowskich mogła mieć za znaczenie, ale głowę skłonił z uszanowaniem.

— Tak jest, jestem z domu Zamierzychowska, odebrałam wychowanie u mych krewnych, bogatych...

— Pani dobrodziejko — z przestrachem spoglądając na zegarek odezwał się doktor w obawie szczegółowej biografii — czy nie mógłbym wiedzieć, co pani cierpi?

— A! panie! — załamując ręce, rzekła Matuska — co ja cierpię, to się w słowa ująć nie daje... Cierpię duchowo i cierpię cieleśnie... palpitacye serca... nerwowe okropne boleści, bezsenność... osłabienie, kurcze... śmiech serdeczny często..

Doktor wziął za puls. Wycieńczenie i osłabienie było wielkie, stan chorej istotnie dość groźny... ale nań niestety nie lekarstwo, tylko spokój i szczęście mogły być ratunkiem. Po kilku zapytaniach wiedział konsyliarz, że chcąc ją dźwignąć, trzeba było naprzód los lepszy zapewnić.

— Powiedz mi pani, czem syn się jej zajmuje?

— Mój aniol! Zbigniewek, ach! panie — łamiąc ręce krzyknęła z bolesnym wyrazem — zdaje się, że odziedziczył po mnie mą rolę... Jest to najpiękniejszych zdolności młodzian, pełen talentów, uczuć wzniosłych, mogę powie-

dzieć śmiało jeniusz... a jednak zapoznany! Nie pozostało mu nic, tylko bakalarstwo, nędzne bakalarstwo... a teraz nawet pokutuje za to, iż zdrowemi, patryotycznemi zasadami chciał karmić powierzone mu młode pokolenie... i nie ma zajęcia. Ci arystokraci wypowiedzieli mu wśród roku! Tyrani!

Doktor się zamyślił.

— Jestto w istocie zawód — rzekł — w którym trudno dogodzić i sumieniu własnemu i wymaganiom często zaślepionych rodziców... ale przy zdolnościach pana Zbigniewa czyby on nie mógł jeszcze rozpocząć nową naukę i usposobić się do nowego zawodu?

— Do jakiego? — spytała wdowa.

— Jako doktor naturalnie pierwszą myśl mam, iżby się mógł na medyka wykształcić...

— Panie! to dziécię pełne uczucia... czyżby on wytrzymał... trupy... rany... okropne widowisko znikomości ludzkiej...

Konsyliarz się uśmiechnął.

— Wytrzymałby — odpowiedział — powinien mieć na to dosyć charakteru, jeśli jest usposobiony, radzę i życzę... Pomogę mu może do uzyskania stypendyum... Powiedz mu pani, że ja myśl tę przyniosłem, i że pragnąc przyjść w pomoc im, mocno ją popieram.

— Ale serce macierzyńskie!

— Właśnie ono powinno dla jego własnej i dla przyszłości pani skłonić go do uchwycenia się tego projektu.

Wdowa zakryła oczy chustką.

— Niestety! — wyjęknęła — losy są okrutne... Powiem mu to, ale pozwolisz, szlachetny nasz dobroczyńco, aby mój anioł sam przyszedł jeszcze rady twej zasięgnąć.

— Owszem, proszę o to, bardzo mi będzie miło. Co do pani — dodał konsyliarz — jeźli można zmienić mieszkanie na suchsze i cieplejsze, a pokarmy starać się by były posilne, nadewszystko zaś uspokoić się na duszy, nabrać męstwa... otuchy...

— Jest że słaba niewiasta do pokonania gromów losu zdolną! — odparła pani Matuska.

W ten sposób ciągnęła się rozmowa wykrzyknikami, gdy szczęściem anioł Zbigniew nadszedł, a ujrzawszy doktora, nieco zmieszany, rzucił się mu za dobroć jego dziękować.

— Zbisiu mój złoty!— biorąc go w objęcia odezwała się pani Matuska— ten mąż pełen dobroci i wzniosłych uczuć przyniósł nam promień pociechy... dziękuj mu... i mów z nim, gdyż mnie głębokie wzruszenie nie dozwala; i przebaczy mi konsyliarz, iż ukryć muszę łzy moje przed dnia natrętnego światłem...

To mówiąc i skłoniwszy się nieco, wysunęła się biedna kobieta do drugiego pokoiku. Zbigniew z synowską czułością całując ją po rękach, odprowadził do drzwi i spiesznie do doktora powrócił.

— Daruj pan — zawołał — biedna matka moja podrażniona jest, słaba, i trudno jej o czemkolwiek mówić bez zbytniego wzruszenia. Jesteśmy biedni—dodał cicho— bardzo biedni... Załamał ręce...

— I dlatego heroicznego trzeba szukać lekarstwa, aby wyjść z tego położenia — rzekł doktor. — Moją radą jest, abyś waćpan wziął się do medycyny, ja dla pana uzyskam stypendyum, pięć lat gorliwej pracy da ci niezależność.

Zbigniew uścisnął go wzruszony.

— A! panie! a cóż przez pięć lat nauki stanie się z nią? Pokazał na drzwi. — Ja muszę na chleb zarabiać...

— Na to wszystko po troszę da się poradzić; przyjdź do mnie, pomówimy. Nie rozpaczaj, nie trwoż się i staraj matkę ukoić... Jesteś poczciwym synem... ludzie i opatrzność ci pomogą...

A teraz — szepnął doktor — mam ci zwiastować dobrą nowinę, za którą ci się też nagroda należy, boś się przyczynił do spełnienia gorących życzeń panny Lenory. Hrabina obydwa fortepiany zwróciła właścicielce... było z tem trochę kłopotu... Pleyela dziś odkupił Hermann, najęto drugi pokój i w nim stanął Erard... Przyszedłszy więc do swej dawnej protektorki usłyszysz muzykę.

Zaczerwieniony z radości, rozczulony do łez, zapomniawszy o winnem uszanowaniu, Zbigniew począł doktora ściskać i całować.

— A! pan jesteś nieocenionym dobroczyńcą ludzkości! pan jesteś...

— Dajże mi pokój... ja jestem doktor i nie mam czasu, zatem muszę spieszyć... Bądźcie państwo zdrowi i dobrej myśli. Pożegnaj matkę odemnie.

Na te słowa teatralnie otwarły się drzwi drugiej izdebki, pani Matuska wyszła wlokąc za sobą ogon sukni, i drżącą dłoń podała doktorowi, drugą kładąc na sercu.

— Wdzięczność ku tobie, panie, nigdy w niem nie wygaśnie! Żegnaj mi dobroczyńco ludzkości i chlubo!

Nie będziemy malować tej chwili, gdy niespodzianie dwa fortepiany przywieziono przed pałac, i Lenora struchlała na ich widok, nie wiedząc co pocznie z nimi. Szczęściem doktor czatował poczciwy, aby ją wywieść z kłopotu, i energicznie się zajął pomieszczeniem. Lenora Erarda sprzedać nie mogła, bo to był dar tej matki przybranej, którą kochała teraz jak ubóstwioną istotę, mieszkającą w niebiesiech, po której każda pamiątka była relikwią... Pleyela pozbyła się chętnie i łatwo, a doktor ułatwił przynajęcie drugiego pokoju, w którym go postawiono.

Ten dla kogo muzyka stała się nałogiem, potrzebą, pokarmem ducha, pojmie pierwszą chwilę roskoszy, jaką zbliżenie do Erarda napoiło Lenorę. Ale ten śliczny, śpiewny fortepian, niestety przypominał jej czasy, których przypomnienie łzami oblać musiała. Z trwogą i poszanowaniem zbliżyła się do niego, nie śmiała dotknąć... potem uderzyła w klawisze, rozpłakała się, uciekła. Każda z tych melodyi wyuczonych niegdyś, których staruszka z rozrzewnieniem słuchała, uprzytomniała stracone szczęście, żywo przywracała czasy niepowrotne... i rozdzierała serce... trzeba było walczyć z sobą... aby zwyciężyć żałobę przypomnień a odżyć ich pokarmem... Nie jeden dzień upłynął na próbach, łzach i gorączkowych porywach... aż wieczorem na-

reszcie przemógłszy się Lenora, dała pochwycić potędze muzyki, której była spragnioną... płacząc rozogniła się dźwiękami, które dla niej nowy urok miały teraz, po długiem odłączeniu... i zapomniawszy o świecie całym poczęła grać namiętnie, szalenie aż do takiego znużenia, że gdy naostatek dłoniom drżącym sił zabrakło, rzuciła się złamana na łóżko i nie mogąc sukni zrzucić przetrwała na niem do rana, w marzeniach i gorączkowej extazie.

Są organizacye, dla których muzyka wedle dowcipnego wyrażenia francuzkiego pisarza jest najkosztowniejszym z hałasów, ale są inne posiadające szósty zmysł harmonii, dla których ona pokarmem, ciałem myśli nie mogących inaczej się uprzytomnić, światem całym niedostępnym mowie, nie dającym się odtworzyć barwą, ni linią, ni słowem... ni światłem, ni żadnym z języków, którymi mówi stworzenie o niestworzonem... o nieśmiertelnem. Dla tych istot równie ona nieodbitą do życia w pełni jak słońce, powietrze, jak pieśń, jak chleb, jak idea Boga... jak wiara w nieśmiertelność.

Można ubolewać nad nieczującymi muzyki i pozbawionymi jej zmysłu, można równie boleć nad tymi, co mają jedną więcej potrzebą duszy, jednym więcej serca nałogiem... ale się nie godzi szydersko uśmiechnąć ani z kalectwa jednych, ani z drugich exaltacyi.

Lenora należała do tych nieszczęśliwych, co słuchając pieśni mogą zapomnieć o chlebie. I w pierwszych dniach mimo walki z ideą obowiązków, mimo planów pracy... robota została zapomnianą... igła odrzuconą... potrafiła nawet o jutrze nie myśleć...

Grała zapamiętale... Każdy z tych zeszytów znanych, kochanych był nieprzezwyciężoną pokusą. W chwili takiego upajania się, drugiego czy trzeciego dnia zapukano tak silnie do drzwi, iż wreszcie pobiegła usłyszawszy otworzyć.

Ledwie się one odemknęły... wpadająca jak piorun mała osóbka rzuciła się jej na szyję.

— Lenorka! droga Lenorka! moja droga sierotka!!

Tak pani Laura witała tę, której największą życia dała osłodę...

— Cóż się z tobą dzieje? mój Boże... nie mogłam dotąd dopytać schronienia twojego? Czemuś się kryła? dla czego nie dałaś mi znać? nie chciałaś uwierzyć w serce moje! A! zatobym cię połajać powinna!

— Pani droga — odpowiedziała zmieszana Perełka — tysiąc się przyczyn składało na to, bym musiała zamknąć się w ciszy i samotności. Smutek, którym się dzielić z nikim nie miałam prawa, zwątpienie o sercach ludzi, moje ubóstwo i duma... i pewien rodzaj rozpaczy.

— A! rozumiem przez połowę — zawołała Laura już poczynając rozglądać się po pokoju — ta niegodna Pyza, ten Alfredek! ta cała familijka... ich nieprzebaczone postępowanie... Wierz mi jednak, miałaś za sobą wszystkich... oburzeni byliśmy... wszyscy ci życzą dobrze, gotowi podać ręce...

— A ja chciałam własnym tylko przyszłość być winna.

— Tak! tak! ale nie igiełce! ja wszystko wiem— przerwała Laura — co za dziwactwo, tobie zostać szwaczką, kiedy masz w tych rączkach skarby, które dotknięciem palca stworzyć ci łatwo...

— A pani! nadtoś łaskawa.

— Nie! nie! zobaczysz! teraz ja cię nie puszczam, nie dam żyć w kątku! Będziesz jak byłaś heroiną naszych salonów, choćby w perkalowej sukience... Ja ci nie pozwolę żywą się zagrzebać... a Pyza pęknie ze złości.

Trudno w istocie zgadnąć, czy zacna pani Laura pomagać chciała sierocie przez miłość dla niej, czy przez nienawiść dla hrabiny. Ona sama analizy tego uczucia zmieszanego z dwóch dokonaćby nie potrafiła. To tylko pewna, że najmocniejsze miała postanowienie, swymi wpływami naprawić losu omyłkę i przywrócić Lenorze jej stanowisko w towarzystwie.

Wpadła rozpatrując się ciekawie po kątach do drugiego pokoiku, zobaczyła roboty porozpoczynane, izdebkę ubogą, ślady życia samotnego i pustelniczego, dzbanek z wodą, bułkę chleba i garnuszek od mleka, i fajerkę, na której grzała je sobie Lenora.

— O! tego nie ścierpimy — poczęła wołać gorąco — tybyś się tu głodem zamorzyła, gdy twoje talenta, twoja główka, twoja piękność, twoje wychowanie dają ci wszelką łatwość zdobyć sobie pozycyą niezależną i świetną.

— Jak? — spytała Lenora.

— To moja rzecz! Jutro mieć będziesz uczennic, ile zechcesz, staniesz się lwicą... będą się dobijać o ciebie. Ja ci ręczę... ale musisz mnie słuchać...

— Siądź kochana pani — odezwała się na to Lenora— i posłuchaj mnie z trochą cierpliwości. Ten świat, na który mnie ciągniesz, znam, bom na nim była, bom się wśród niego wychowała. Wiele na nim serc poczciwych, ale zepsutych więcej jeszcze. Co ja zyszczę, wpraszając się tam, gdzie właściwie prawa nie mam się znajdować? Pozostanę

zawsze tam cudzą, zawsze gościem, i czuć będę, żem z łaski przyjętą.

— Dla czego — pospiesznie zaprzeczyła Laura — w towarzystwie lepszem... wychowanie jest wszystkiem. Nikt ci pochodzenia za złe mieć nie będzie. Czasy nie potemu. Zresztą wszędzie potrafisz być sobą i na miejscu. Schodząc w te sfery, w których cię jeszcze mniej zrozumieją niż my, na dobrowolne narażasz się męczarnie; z nami możesz być narażoną na walkę, ale któraż z nas żyje bez niej? I co znaczy walka, gdzie zwycięztwo pewne...

— Zostaw mnie pani w mojej izdebce—błagała Lenora.

— Zawsze kiedy zechcesz wrócić do niej i pozostać w niej będziesz mogła — ofuknęła Laura — a dla fantazyi ginąć z głodu byłoby niedarowanem samobójstwem... Bądź co bądź jesteś u mnie dziś wieczorem na herbacie.

Lenora zadrzała i pobladła.

— A! pani! nie wymagaj!

— Co za tchórzostwo! nie pozwolę na to! nie mogę, nie powinnam... Musisz... i musisz grać i będziesz wesołą, ażeby tym ludziom pokazać, że się bez nich doskonale obejść potrafisz...

— Tak mi już było spokojnie—dodała Lenora—po cóż?

— Po to, ażeby pokazać, że nie opłakujesz utraty położenia, bo je sobie sama wyrobić potrafisz.

Spojrzała na nią bystro, potem zaczęła ściskać, całować, szeptać, śmiać się, nie dozwoliła mówić, nie słuchała zarzutów i... zwyciężyła. Lenora zgodziła się ukazać u niej, chociaż nie łudziła się tem wcale, iż teraz nanowo wchodząc w świat, z którego pogardliwie wypchniętą została, wiele mieć może do zniesienia.

Zaledwie to przyrzeczenie od niej otrzymała Laura, wyściskawszy ją nanowo, już poprawiała szal i ubierała się, bo pilno jej było swoję herbatę tak urządzić, aby jak najwięcej miała rozgłosu. Znano zręczność pani Laury w poprowadzeniu podobnych interesów; teraz już ściskając i umawiając się ostatecznie o godzinę, o strój, (bo wszystko chciała sama rozporządzić) myślą była gdzieindziej i program swój wykończała...

Drzwi się zamknęły; Zara została sama i usiadła zamyślona... z bijącem sercem... Nie bez wpływu była na nią żywość Laury, jej męztwo i wymowa; mówiła sobie, że powinna walczyć i nie dać łatwego nieprzyjaciołom zwycięztwa; czerpała odwagę w poniżeniu chwilowem... Nie tyle pragnęła tryumfu nad ludźmi, którzy ją pragnęli widzieć zabitą i odrzuconą... jak raczej usprawiedliwić swą przybraną matkę, na której pamięć spadało podejrzenie słabości śmiesznej lub dziwactwa.

— Stanie się wola boża — rzekła w duchu — ale dla szczęścia mojego nie będzie żadną zdobyczą powrót do ludzi, między którymi a mną istnieje nieprzebyta nigdy granica... Sierota, cyganka, lwicą będę dla nich... rodzajem ciekawego zwierzątka, które jak Munito, pomimo że źwierzę, umie rachować i zgaduje dni miesiąca...

Na te rozmysły smętne wszedł Zbigniew z trwogą młodzieńca, który ubóstwianej istoty próg przestępuje... Biedny chłopak blady był, zmęczony... smutny także. Lenora spojrzała nań ze współczuciem, podała mu rękę i usiłowała przybrać weselszą twarz, aby z tego wiekuistego kwilenia go wywieść, do jakiego był nawykły przy matce.

— Byłeś pan zwiastunem nowej ery dla mnie — zawołała — pan mi dobrem sercem wyprorokowałeś powrót straconego fortepianu... a teraz nawet zwiastuję mu, że dziś jestem wieczor na świetnej herbacie i... z pustelnicy na wietrznicę się przerabiam.

Zbigniew zbladł, nie uszło to jej oka.

— Dokądże? kto?

Ale wśród rozpoczętego pytania zamilkł, pomiarkowawszy, iż się wydać może z uczuciem pewnej zazdrości, którego doznał słysząc o zmianie życia i wyjściu z samotności. Zakochany nie wątpił, iż wszyscy w Lenorze kochać się muszą... gryzł się już tem, że uleci mu w strefy, do których on nie będzie mieć przystępu.

Dom pani Laury był dobrze znanym w Warszawie, nawet tym, co jak Zkigniew ani do niego ani do żadnego innego nie mieli przystępu... Wiedział on, że się tam najróżnorodniejsze ale świetne i wybrane gromadziło towarzystwo, że obok arystokracyi rodu, grosza, miała zaszczytne w niem miejsce, arystokracya nauki, talentu i pracy. Obok tych świetnych gwiazd biedny Zbigniew sam sobie wydawał się pyłem i nicością.

Spojrzał słuchając tłumaczenie Lenory z tak błagającem o litość wejrzeniem, iż go zrozumiała.

W sercu jej było dlań wiele współczucia, przyjaźni... ale czy się zrodziło coś więcej nad nie do tej chwili, ani ona nie wiedziała, ani my odgadnąć możemy. Był to jej protegowany, jej druh i sługa... ale jak Zbigniew nie śmiał nawet myślą sięgnąć do serca, tak ona nie spytała się nigdy siebie, czy mu je oddała... Coś braterskiego było

w tym związku na pozór chłodnym a silniejszym od wielu wybuchów płomiennych...

Po krótkiej rozmowie Zbigniewowi tak się smutno zrobiło, iż musiał ją pożegnać, aby pójść tę boleść w samotności przecierpieć.

Laura tymczasem biegała po znajomych, a że jej kalibru gosposiom zwykło się szczęścić, bo one fortunę za czupryne chwycić umieją, spotykała tego dnia właśnie tych, których znaleźć pragnęła; nawijali się jej pożądani... zastała w domu swe znajome panie z obozu przeciwnego hrabinej i podintrygowała tak, że któraś z przyjaciółek podjęła się namówić hrabinę samą, by na herbatę (był to dzień zwykły przyjęcia pani Laury) przybyła.

Wcześnie uśmiechała się temu spotkaniu pani Laura; wprawdzie miało ono zdecydować otwartą wojnę między Pyzą a nią, ale tę prędzej poźniej rozpocząć i prowadzić stawało się koniecznem. Szło jej też o to, aby męzkiej młodzieży miała dosyć; trafiła na pana Zygmunta Haraburdę na wystawie obrazu jakiegoś, w ulicy zaprosiła pana Romana Junoszę Zarybskiego, jakiemuś kuzynkowi dalekiemu, który służył do szczególnych poleceń, kazała zwerbować jeszcze kilka gwiazd tegorocznego zodyaku. Zacierała ręce, śmiała się, biegała, dysponowała ciastka, słała po owoce, Stefcię pędzała po domu, aby nic do herbaty nie zabrakło, wcześnie nawet przysposobiła cygara dla mężczyzn, bo sama paliła, i u niej obok salonu był f u m o i r każdego wieczora.

Wedle umowy Lenora przybyła wcześnie bardzo, aby uniknąć zbyt widocznego i kłopotliwego wchodzenia na salon. Pani Laura jeszcze się przystrajała i perfumowała

przed zwierciadłem, gdyż niezmiernie była staranną około siebie i bardzo racyonalnie tem troskliwszą się stawała, im okropniej brzydła. Słysząc nadchodzącą odwróciła się i krzyknęła z radości.

Lenora w istocie tego wieczora była do oczarowania piękną, a urok, który ją otaczał, tem silniej działał, że cała postać, twarz, wyraz uderzały oryginalnem czemś, niewidzianem, odrębnem... Wśród stu można ją było wyróżnić jakby innego świata dziécię... rysy, oko, wejrzenie, płeć ciemna, włosy czarno-sine... kibić giętka i sprężysta odznaczały ją wśród północnych niezabudek. Malarz myślał o Judycie patrząc na nią... śniły się Włochy w jej oku... wschód z podaniami o boginiach nad-gangesowych otaczał aureolą jej czoło... trudno było odgadnąć, kto ona, zkąd, ale każdy czuł, że to gość z innego jakiegoś świata.

Mimo sieroctwa, mimo teraźniejszego odrzucenia, energia i duma stanowiły wyraz tego oblicza bronzowego. Chód miała królowej, wejrzenie nieulęknione... Ubrana w czarną suknię aksamitną, bez żadnych ozdób i błyskotek, wyglądała zachwycająco, jak dyament w czarnej emalii oprawie.

— Poszaleją! wszystkim głowy pozawraca— zakrzyknęła Laura— a jakżeś się filozoficznie ubrała... bo filozofią to naszą strój do położenia i wypadku zastosować. Jesteś imponująca! jesteś czarną perełką... prawdziwie...

Laura lubiła ściskać, uścisnęła więc gościa, potem poczęła szukać kluczów, chustki zgubionej... zawołała Stefcię... połajała służącego... rozlała wódkę kolońską, wywróciła krzesło, i wyszły do pustego salonu.

Ale razem prawie z ukazaniem się ich poczęli napływać goście, panie, panowie... wchodzili jedni za drugimi, każdy stawał i każdego ta postać nowa lub dawno niewidziana uderzała. Gospodyni polityką było udawać, że Lenora jest tu jak w domu, i niby na nią nie zważać... Wiele z pań i wielu panów przyszło z Perłą odnowić znajomość wcale grzecznie. Lenora siliła się, aby pozostać i okazać chłodną, nie zmieszaną, naturalną, choć serce zrazu biło mocno.

Jakie było zdziwienie pana Zygmunta, gdy swą Rebekę czy Rachelę ujrzał niespodzianie w salonie i aksamicie, on, co ją widział raz pierwszy ze dzbankiem wody w ręku? Jakie było zdumienie pana Romana Junoszy Zarybskiego, gdy ujrzał tu sąsiadkę z drugiego piętra i dawną znajomę?

Na ucho opowiadano sobie jej historyą, a choć postać na młodzieńcu czyniła wrażenie, ostudziło go to, co usłyszał. Pan Roman nie mógł ani się zbliżyć, ani okazać zajęcia osobie... która herbu nie miała... a co gorzej, na którą padało podejrzenie, iż mogła być żydówką lub cyganką. W tym względzie bowiem różniły się zdania, oparte na charakterystyce fizyognomii, którą inni znawcy typów porównywali do najpiękniejszego ze sfinksów starożytnych.

Piękna Lenora, o której historyi wiele osób wiedziało, a nieświadomych pospiesznie z nią na ucho obeznawała gospodyni, robiła ogromne wrażenie... uwielbienia, politowania, współczucia, ciekawości. Artysta nie mógł się napatrzeć... ludzie mierzący wartość człowieka jego salonową formą, nie mogli się wydziwić jej dystynkcyi, obejściu się, francuzczyźnie i arystokratycznej rączce i nóżce. Pani Laura

płomień tych uwielbień podsycała jak mogła i umiała; a posiadała w tych sprawach niepoślednią zręczność. W miarę zajęcia piękną Lenorą niechęć dla hrabiny i jej rodziny rosła i potężniała. Ci nawet, co możeby z sierotą postąpili tak samo jak ona, oburzali się na nieludzkie obejście i krzywdę...

Wszystko to razem odbiło się w duszy wygnanki i otoczyło ją cieplejszą atmosferą, odżywiło. Choć nie słyszała nic, a oznaki sympatyi były pełne umiarkowania i przyzwoitości, nie mogła nie odgadnąć usposobień ogólnych dla siebie. Jest coś w każdym z nas, co mu oznajmia mimowoli, czy go życzliwość lub niechęć otacza.

Proszono ją grać, usiadła natchniona, a że miała znakomity talent improwizatorski, poprzedziła jedną z pieśni bez słów Mendelssohna przegrywką, w której ukształcenie jej muzykalne powszechne wywołało podziwienie.

Grała potem Chopina, grała Schumana, i wszyscy słuchali przejęci i zdumieni...

— To znakomita artystka! — wołano w tłumie...

— Artystka to nic — szeptała pani Laura z kolei po uszach przyjaciółek i przyjaciół, ale ona jest poetką jak Deotyma, maluje jak Jericho Baumann, deklamuje jak Palińska... i szyje jak najlepsza szwaczka, a pilnuje chorych jak siostra miłosierdzia. Nie dziwię się, że wojewodzina przepadała za nią, bo to istotnie istota fenomenalna.

— Jednakże właściwie — spytał z przyciskiem pan Roman Junosza Zarybski, który dla dystynkcyi ułożył sobie *pince-nez* na nos — właściwie kto ona jest?

— Pan nie znasz jej historyi?

— Owszem pani, słyszałem koniec, ale dla wszystkich nas jest tajemnicą początek.

— Zdaje mi się — odparła wzdychając Laura — że ten i dla niej nawet jest zagadką... Nigdy od wojewodzinej nic pewnego się o tem dowiedzieć nie było można, wiadomo tylko, że małem dzieckiem wziętą została na wychowanie.

— Rysy wschodnie! — zadecydował pan Roman.

— Tak! — przerwał Zygmunt Haraburda — ale wschód szeroki i typy obfite a różnorodne... a prawdziwie trudno powiedzieć, do jakiego ona należy.

— A! niech sobie będzie czem chce — przerwała gospodyni — wiem, że to fenomen ze wszech względów.

Zapał dla sieroty był najmocniej podniecony, Lenora stała jeszcze otoczona wielbicielami płci obu przy fortepianie, gdy drzwi otworzyły się szeroko (i nie bez przyczyny), a przez nie wtoczyła się w kanarkowej atłasowej sukni hrabina...

Laura pospieszyła uśmiechnięta z oznakami najżywszej radości naprzeciw niej... tryumfatorsko wsuwała się do salonu wielka pani, za nią syn w ubraniu nieposzlakowanej świeżości; ale o mało nie odrętwieli oboje, gdy wzrokiem zatoczywszy postrzegli Lenorę, która się nawet nie zwróciła ku nim, koło osób wieńcem ją otaczających i postawę sieroty tak dumną, swobodną, wesołą, jak gdyby jeszcze żyła wojewodzina, a ona... spodziewała się być panią Alfredową!

Hrabina Pyza chwilę, mgnienie oka, zdawała się namyślać, spojrzeli na siebie z synem, zarumienili się oboje, ale cofnąć się było to skompromitować się, potępić, okazać grubiaństwo... Wzrokiem nie bazyliszka ale rozgniewanej

gęsi rzuciła hrabina na Laurę, chociaż czuła, że jej nic wymawiać nie mogła, bo przyszła nieproszona, a potem zwolna posunęła się ku kanapie. Hrabina dla rozmiarów swych zwykła była miejsce to zajmować zawsze, które i dumie jej dogadzało, tym razem wszakże nie wiem, przypadkiem czy umyślnie kanapa była zajęta, i wązki fotel nizki pozostał dla hrabinej, co ją samo już w najgorszy w świecie humor wprawić mogło. Im bardziej hrabina się zapérzała, tem Laura stawała natarczywiej grzeczną, nadskakującą... i udawała, że nic nie rozumie.

Alfred nakrochmalony, z zaciętemi ustami całą strategią swą zasadził na tem, ażeby nie widzieć nic i nie słyszeć tego, co niemiłem być mogło. W tejże prawie chwili jak na złość ktoś z gości (bo Laura dworowała przy Pyzie domęczając ją grzecznościami) poprosił o mazurek Chopina, fortepian się odezwał, i mimowoli oczy na grającą zwrócić musiały.

— Niech sobie hrabina wystawi moje zdziwienie — szepnęła okrutna Laura na ucho — gdy mi dziś na herbatę, bo to mój dzień, przybyła niespodzianie Lenorka! Tak to miło gospodyni domu mieć gościa, co muzyką i talentem wszystkich zajmuje.

Hrabina chrząknęła patrząc w drugą stronę.

— Ona jest nieoszacowana — kończyła gosposia — i nie dziwię się wojewodzinie, że do niej takę miała słabość. Moje towarzystwo od czasu jak weszła całe nią zajęte... otaczają, pytają... szczęśliwa, bo ma współczucie wszystkich.

Hrabinie zasychało w ustach, roztargniona ledwie ostatnie dosłyszała wyrazy... A tu namówione panie z kolei przychodziły jej ciągle mówić o piękności Lenory, o jej

talentach, o ułożeniu... Że tego dnia nie dostała hrabina żółtaczki, winna to wątrobie, która za to jedno do muzeum się kwalifikowała.

Alfred był zimno zły, ale nauczony wytrzymywać przyzwoicie afronty doznane, udawał niedobrze wesołego, uśmiechał się i mówił o czem innem.

Roman, który miał zaszczyt być mu znanym, a dobijał się honoru spoufalenia, zbliżył się niedobrze świadomy okoliczności wszystkich, niezręcznie chwaląc przed nim Lenorę.

Hrabia ogłuchł zupełnie.

— Proszę hrabiego, my tu zakłady robimy o pochodzenie panny Zara... czybyś hrabia nie mógł rozwiązać zagadki i objaśnić nas?

Alfred piorunująco popatrzył na pytającego i rzekł szydersko:

— Zdaje mi się, że pan Bóg jeden wie słowo tej zagadki.

— Cudnie piękna! — wołano zewsząd.

— Ale jakże gra Chopina!

Rozumie się, że umiejętna gosposia chórem pochwał kierowała tak, by żadna z nich dla uszów hrabiny i jej syna straconą nie była.

Mama i on byliby natychmiast mieli się do odwrotu, przyzwoitość wszakże placu nieprzyjacielowi oddać nie pozwalała. Skinieniem ręki tak tłuściuchnej, że skinienie wydawało się zdala patrzącym groźbą podniesionego kułaka, hrabina powołała syna; ten schylił się jej do ucha, a ona szepnęła mu —

— Nous restons aussi longtems que possible...

Alfred zrozumiał to.

W istocie postanowienie było rozpaczliwe, gdyż hrabina miała do wycierpienia tyle, iż nazajutrz prawie myślano o krwi puszczeniu, ale honor wychodzić nie dozwalał. Trzeba było wśród saloniku nie zbyt wielkiego, osób w większej części będących w spisku manewrować tak, ażeby się nie widziało, nie słuchało, nie zważało na świszczące nad uchem wystrzały.

Lice hrabiny mieniło się w najrozmaitsze kameleońskie tony, białe, żółte, różowe, sine, oczy chwilami zdawały krwią nabiegać, ręce z wachlarzem trzęsły konwulsyjnie, ale dobry żołnierz dotrwać musi na stanowisku. Alfred dosyć zręcznie zakrywał matkę i grał obojętnego, ale jednę rękawiczkę podarł i butem na posadzce wyświdrował znak niezgluzowany.

Lenora nie widziała niby hrabiny i jej syna, a przynajmniej jakby ich nie znała wcale, postępowała sobie bez przesady, ze swobodą zupełną. Mówiła, śmiała się, siadała do fortepianu i wstawała, nie spoglądała na tych państwa... i jedynym może oznakiem nieuniknionego wzruszenia było nieco gorączkowe ożywienie, nieco podniecona żywość.

Oczy wszystkich widzów tej sceny niemej, która niby niedostrzeżoną być miała dla świadków, zwracały się z niewysłowionem zajęciem to na heroinę, to na jej prześladowców stojących pod pręgierzem... Hrabina chciała się śmiać a mało nie płakała, w duchu powtarzała sobie ciągle jak litanią:

— Jeśli jej daruję, niech zginę... to był spisek... ja jej dam! ja jej dam!

Ale jak było dowieść spisku tam, gdzie zaproszenia nie było?

Pani Laura rolę swoję zupełnie niewinnej gospodyni odegrała ze zdolnością nadzwyczajną, zdawała się dziecięcej naiwności i dobroci... Z polityki jej wypadało jak najmniej znowu zbliżać się do Lenory... przemówiła do niej zaledwie... za to około hrabiny kręciła się, pod stos, na którym płonęła, podrzucając głównie.

Były na tym wieczorze osoby, którym się on wydał krótki, jak mgnienie oka, i inne, dla których był wiekowo długi... ale nareszcie najgoręcej zajmujący się tém widowiskiem spojrzawszy na zegarki, zrozumieli, że godzina odwrotu się zbliża. Nikt nie chciał wychodzić pierwszy, spektatorowie czekali jakiegoś końca, nie chcieli stracić nic z dramatu.:. który jutro mógł być opowiadanym po stolicy.

Hrabina dosiadywała uparcie, Lenora nie myślała o wyjściu, wdawszy się w bardzo ożywioną rozmowę... panie to brały za chustki, to zwolna je rzucały, w nadziei, że ktoś je wyprzedzi. Niektórzy z mężczyzn oczarowani przez Lenorę zapomnieli o czasu rozmiarach.

W liczbie tych, na których rzuciła mimowolnie urok, był i Roman i Zygmunt... to nic jeszcze, ale co najdziwniej był prawdziwy hrabia, jeden z najmajętniejszych panów, i jeden z najświetniej wychowanych ludzi, hrabia Henryk, pospolicie lordem zwany. Młodość spędzona w Londynie, fizyognomia a l'anglaise, cześć dla instytucyj W. Brytanii... pewna sztywność właściwa dzieciom Albionu... słusznie mu ten przydomek zjednały.

Lord Henryk był pięknym bardzo, choć nieco na pozór za pedancko zimnym młodzieńcem; miał wszystkie wady

prototypu, wiele jego przymiotów, a z polskich tradycyj wielką tylko charakteru szlachetność i głębokie przekonanie, że należał do z łaski bożej naznaczonych narodowi wodzów i mistrzów. Widać w nim było, że się czuł uciosanym z tego materyału, z którego królów dawniej robiono.

Znany z tej wyłączności swej lord, że rzadko do... nieurodzonych mówić nawet raczył, zdziwił wszystkich swem zajęciem sierotą. Naprzód przez pół wieczora stał w kole otaczającem ją, z palcem w kieszeni od kamizelki, z oczyma wlepionemi w boginią, nie mówiąc ani słóweczka. Słuchał. Ci, co go znali, dziwili się wytrwałości na stanowisku, nie milczeniu, bo lord rzadko mówił i ożywiał się, ale rzadziej jeszcze przedmiot jaki uznawał godnym tak długiego i wytrwałego badania; kilka razy ktoś do niego coś zagadał, potrząsał tylko głową, nie odpowiadając nic— słuchał. Trwało to dobrą godzinę. Jeźli grupa, w której była Lenora, przesunęła się nieco na inne miejsce, jeźli ona się przeszła, Lord posuwał się za nią, stawał z palcem w kamizelce, i jak posąg nieruchomy — słuchał. Po niejakim czasie krokiem statuy komandora w Don Juanie posunął się do Laury, i pochylił się nieco ku niej.

— Pani mnie zechce zaprezentować pannie Lenorze Zara.

— O! z największą przyjemnością.

Sierota mówiła z dwiema panienkami o czemś obojętnem, gdy wobec wszystkich nader uroczyście został jej przedstawiony Lord. Obyczajem swym nie kłaniając się, schylił tylko głowę, podniósł ją, i jako urzędownie już znajomy rozpoczął rozmowę od zapytania, czy umie po angielsku...

Lenora, która miała guwernantkę angielkę, mówiła tym językiem z łatwością; lord rozpoczął więc z wielką przyjemnością... najczystszą angielszczyzną rozmowę swobodną i poważną. Poczęli chodzić po salonie wobec świadków i mówili tak z sobą dobrą godzinę. Wywarło to wrażenie niezmierne, bo lord rzadko z paniami mówić raczył, a dłużej z jedną z nich pogadanki nie przypominano sobie. Przy tem na twarzy jego malowało się takie rozpromienienie i zadowolenie, jakby dopiero teraz znalazł to, czego całe życie szukał.

Ta scena dobiła hrabinę i Alfreda. Alfred miał cześć wielką dla lorda, hrabina nienawidząc jego rodziny, zmuszoną była ją szanować... słabo się jej zrobiło... wstała... Alfred chwycił kapelusz. Laura odprowadziła ich do progu sieni, śmiejąc się, żartując, dziękując, trzpiocąc, choć pochód ten był prawdziwym konduktem. Szanowna Pyza wyszła tak straszliwie zmęczona odbytem męczeństwem, że w powozie syn z razu o nią był niespokojny... słowa przemówić nie mogła...

W salonie rozmowa z lordem przedłużała się.

— Dla czego pani tak mało bywasz w towarzystwach? ja ją tu pierwszy raz spotykam — rzekł anglik.

— Czy hrabia wiesz, kto ja jestem? — spytała śmiało Lenora. — Powiedziano moje nazwisko, ale ono nic nie mówi. Mój los mnie tłumaczy. Należę do tych istot d e c l a s s é e s, które powierzchownie należą do świata waszego, a w istocie są wydziedziczone i obce wszystkim... Jestem sierotą, pochodzenie moje nieznane... Wśród towarzystwa, jak dzisiejsze, goszczę przypadkiem jak ptak burzą zagnany... jutro odlecieć potrzeba.

— To szkoda — westchnął lord — nie ma arystokratyczniejszego narodu nad angielski... w nim arystokracya jest, można rzec, instytucyą narodową, a przecież tam wyjątkowe istoty, jak pani, mają prawo do największych dystynkcyj.

— Dziękuję hrabiemu, ale ja się nie czuję wyjątkiem, raczej bardzo pospolitem stworzeniem, któremu nieszczęście dało siły... Opatrzność zsyła je odrzuconym, aby się czem bronić mieli.

Lord westchnął, popatrzał.

— Wiesz pani — rzekł — ja jestem śmiesznie otwarty, proszę to policzyć na karb ekscentryczności narodu, którego jestem wychowańcem; z tą otwartością nieco dziwną muszę jej wyznać, że od pobytu w Anglii nie spotkałem tu nikogo, czyjaby rozmowa większą mi sprawiła przyjemność; przepraszam jeźlim znudził... ale gdzież panią spotkać można?

Lenora pobładła, stanęła.

— Rzadko gdzie — rzekła — nie bywam prawie nigdzie. Od śmierci wojewodziny jestem pustelnicą.

Lord się skłonił, tym samym krokiem, którym chodził po salonie, poszedł do gospodyni i siadł przy niej.

— Zkądże pani ten fenomen wydobyła — rzekł bawiąc się rzemykiem, który mu służył za dewizkę od zegarka.

— A prawda, że fenomen! — uszczęśliwiona zawołała Laura — to moja najdroższa sierotka. A prawda, że śliczna, że miła, że utalentowana.

— Co za takt! co za przedziwna maniera... jaka powaga — rzekł lord — Ale godziż się, by osoba tak znakomita, zakopana marniała?

Laura popatrzyła nań z uśmiechem.

— Wystawże sobie hrabio, że z tą znakomitą, jak ją słusznie zowiesz osobą, hrabina i jej syn obeszli się jak najnielitościwiej po śmierci opiekunki, że ją pozbawili legatu... wypchnęli z domu, choć staruszka ją była zaręczyła z Alfredem... Teraz żyje z pracy rąk...

Lord ruszył ramionami... wyrwało mu się... Shoking.

— Żeby nie ja... ale nie chcę się chwalić— dokończyła Laura. — Dowiedziałam się o mieszkaniu, wyrwałam ją gwałtem z niego, i przyznam się, żem bardzo rada, iż los sprowadził tu za karę hrabinę, aby była świadkiem jej tryumfu...

— Bardzo znakomita osoba! — powtarzał lord — bardzo dystyngowana, mogłaby śmiało na salonach królowej Wiktoryi figurować. Dziwne są losy ludzi... a tyle naszych panien... No...

Wstał, podał rękę gospodyni, i zwolna, skłoniwszy się po drodze z wielkiem uszanowaniem Lenorze, która mu dosyć chłodno ukłon oddała... odszedł.

Laura poleciała do swej perełki.

— Kochanie! podbiłaś prowincyą, która jeszcze nigdy podbitą nie była... tryumfuj... ale mnie podziękuj. Hrabina dostanie febry lub żółtaczki... a ty! ha? któż wie...

I uścisnęła ją najczulej...

Nieboszczka wojewodzina, której była wychowanicą Lenora, mieszkała część roku w Warszawie, drugą na wsi, a rezydencya jej, którą teraz odziedziczyli siostra z synem swym... była jedną z najpiękniejszych w kraju. Winna ona była położeniu swemu za rzekami, w pośród odwiecznych lasów to, że rzadko jej klęski wojny dosięgnąć mogły, i że uchowała się zdobiąc i przerabiając od XVI. w. do naszych czasów.

Niewiele takich dworów spotyka się w Królestwie... zamki leżą w ruinach, pałace stoją pustkami, drewniane dwory poobalały się i popaliły, mało ostało się murowanych, bo też ich niewiele było. Miano u nas to powszechne przekonanie, że drewniane, dobrze opatrzone budowy, są najzdrowsze do mieszkania; szlachcic i pan najczęściej stawił sobie, jeźli nie mógł z modrzewia, to z najpiękniejszych sosen i dębów dwór, co często przetrwać miał wieki.

Gdzieniegdzie tylko murowano z kamienia i cegły; taki był właśnie ów teraz pałacem zwany dwór ogromny, niekształtny, ale teraz przyozdobiony i podobny do angielskiego c o t t a g é e magnata, dwór w Muranowie. Otaczały go szpalery, ulice lipowe, drzewa odwieczne, rzeka... wyglądał na zaczarowane gniazdo spokoju i ciszy.

I był też takim za czasów wojewodziny, kobiéty dobrej aż do słabości, a kochającej ten kąt rodzinny nad wyraz

wszelki. Ale po jej śmierci stał się pustką i grobem. Starzy słudzy chodzili płacząc i truchlejąc nad swym losem, bo choć im testamentem zapewniła umierając staruszka dożywocia, i domy i pensye, ale znali hrabinę i wiedzieli, czego się spodziewać po niej byli powinni. Zesłani plenipotenci hrabiny przetrząsali wszystko, badali jak najsurowiej sługi i dożywotników. Przestrach zwiększył się jeszcze gdy jednego dnia niespodzianie powóz zaszedł przed dwór i dowiedziano się, że hrabia Alfred nadjechał.

Po co? Odgadywano łatwo, że myślał tu zapewne nowy zaprowadzać porządek. Ludziom, co jeszcze od czasów świętej pani, jak zwano wojewodzinę, zachowywali tu wszystko z poszanowaniem bałwochwalczem, jakby nieboszczka jeszcze tu powrócić miała, pewnie zarówno żal było siebie samych i tych pamiątek przeszłości, które fantazya nowych dziedziców, choćby dla okazania swej potęgi, pewnie już zamierzała zburzyć. Tak się domyślano!

Ciekawość była niezmierna, popłoch wielki... oczekiwano trwożliwie skutków, boć hrabia Alfred darmoby nie przyjechał.

Następnego dnia nie zaszło nic nowego, oprócz że powoływano ludzi dworskich, a jaśnie pan rozpytywał ich o najrozmaitsze wypadki przeszłości, o wojewodzinę, jej życie, sposób gospodarowania, rządzenia się, użytkowania z dochodów.

Ta indagacya dla wszystkich była niesłychanie ciężką, gdyż ani jeden ze sług starych nie czuł się powołanym do pokochania nowego dziedzica kosztem nieboszki i

oskarzania jej, czego on właśnie zdawał się sobie życzyć i wywoływać pytaniami. Z kolei przeszli tak przez badanie prawie wszyscy znajdujący się w Muranowie; każdy wychodził uznojony, zmieszany, rachując się trwożliwie z sumieniem, czyli co zanadto lub niezgrabnie nie wygadał niepotrzebnego.

Po innych przyszła kolej na staruszeczkę, rówieśnicę wojewodziny, jej sługę od lat dziecięcych, można powiedzieć przyjaciółkę, pannę Łowczankę Adalbertę. Miała ona jeszcze za życia swej pani najformalniej sobie zapisany dworek z ogrodem na dziedzictwo i pewną sumkę na Muranowie, z której procentu się utrzymywała. Panna Łowczanka liczyła sobie lat siedmdziesiąt kilka, chociaż może była starszą; zdziecinniała była zupełnie, teraźniejszości nie pojmowała i nie pamiętała, wypadki tylko młodości żywo jej były przytomne, i chwilami o nich z zadziwiającą drobnostkowością rozpowiadała. Od śmierci wojewodziny wiele straciła na zdrowiu i siłach... a całe dnie prawie opłakiwała ją prosząc Boga, aby się z nią co rychlej połączyć mogła.

Hrabia Alfred zrazu chciał ją kazać prosić do siebie, ale się przekonał, że staruszce po zimnie kazać iść do siebie, było okrucieństwem i niemożliwością. Zrzuciwszy więc trochę pychy z serca, sam poszedł do jej dworku. Smutno tam było jak w grobie, staruszka w mocno napalonej izdebce siedziała ostawiona poduszkami w fotelu, z nogami na stołeczku i nieodstępną siostrzeniczką, która jej to tabakierkę, to chustkę, to okulary, to książkę, to wodę nieustannie podawać i odbierać musiała. Silny zapach rumianku rozchodził się po pokoiku... Przy piecu

spały dwa ogromne koty. Mnóstwo pamiątek po drogiej pani otaczało staruszkę, która płakała ciągle, szukając zręczności, by mówić o niej ciągle.

Nim pan Alfred nadszedł jeszcze, wbiegł kamerdyner, pan Franciszek, szybko oznajmując go.

— Panno Łowczanko dobrodziejko! — zawołał jej nad uchem, przyjdzie tu hrabia Alfred.

— No, to niech sobie przyjdzie.

— Ale panna Łowczanka... jeźli on zechce rozpytwać, jeźli będzie badać, nie bardzo mu wiele mów. Bóg ich wie, co oni w tem za cel mają! a każdego badają, że zdaje się, szpikuby z niego dobyć chcieli.

— Albo to my mamy się z czem kryć? czy to święta nasza pani, albo kto z nas co uchowaj Boże popełnił? Cały świat może wiedzieć o tem, co się jej i nas tyczy.

— Ale panno Łowczanko... po co to!

— Dajże mi waćpan już pokój... Basia, daj mi tabaki! Kota zsadź, chce wyjść... połóż książkę na stoliku! Nie tak! że nigdy porządnie nic nie zrobisz.

Pan Franciszek odszedł wzdychając... toż zaraz wsunął się pan Alfred, prychając na zapachy rumianku, tabaki, przygrzewanego w piecu rosołu i kotów. Panna Łowczanka powitała go poważnie i przypomniała mu wojewodzinę, którą mimowolnie długiem z nią pożyciem naśladować się nauczyła.

— Jakże się ma panna Łowczanka?—zapytał grzecznie.

— Bardzo dziękuję — at, jak stara... siedmdziesiąt ośm lat kawęczę... oczy wypłakuję po mojej świętej pani... ale co było, nie powróci, darmo.

I chustką oczy zakryła...

— Nie brak też czego pannie Łowczance? — przypochlebiając się dodał Alfred.

— Dziękuję! a cóż mi tam tak wielkiego potrzeba oprócz ciepłego kąta. Straciłam apetyt! Basia! wynieśże tego kota, bo piszczy.

— Moja panno Łowczanko dobrodziejko — rzekł po wyjściu Basi, przysuwając się do niej Alfred — dla uregulowania interesów i poszanowania woli pani wojewodziny potrzebujemy wiele wiadomości... Wiemy, że ich u nikogo właściwiej szukać nie możemy, jak u pani... która miałaś całe zaufanie nieboszczki.

— A! tak! tak! święta pani! ona wiedziała, że ja jej więcej, niż swojego strzegłam, u mnie były klucze, kasa, rejestra, póki miałam oczy.

— Proszę też Łowczanki, czy panna dobrodziejka nie wie, komu wojewodzina oddała ten kosztowny kanak familijny, który na krocie ceniono?

Panna Adalberta oczy podniosła blade i spojrzała na mówiącego, na chwilę zamilkła... zdawała się namyślać.

— Kanak! ale ja o żadnym nie wiem! nie pamiętam go! nie pamiętam!

— Mówiono, że oddała go pannie Lenorze.

— Pannie Lenci? no, nie wiem... ale ja o nim nie słyszałam...

— Niby nie było ani dziwnego, ani złego — dodał Alfred — my tylko nie możemy się dopytać, co się z nim właściwie stało, i dla tego chcielibyśmy się coś dowiedzieć.

Staruszka głową kiwała... Nie wiem! no, nie wiem o żadnym kanaku... a jeszcze tak drogim!

— Trzeba przyznać — mówił Alfred jakby odwracając

rozmowę — że przywiązanie cioci do panny Lenory było bardzo żywe...

— A czemuż to się dziwować?—wyjęknęła staruszka — toż to było przybrane jej dziécię, kochane, miłe, dobre, serdeczne.

— I ze wszech miar godne miłości jej — dorzucił Alfred — nie przeczę... bardzo! bardzo!

Panna Adalberta, która kochała Lenorę na równi z wojewodziną, złożyła ręce, podniosła oczy i ze łzami rzekła:

— A! to był nasz anioł drogi... ta czarna perełka...

— Ja proszę też panny Łowczanki, jakim sposobem, zkąd, jak ona się dostała do pani wojewodziny?

Na to pytanie zrazu panna Adalberta jakby wahała się odpowiedzieć... kiwała głową, mruczała coś...

— Wszak to był podrzutek jakiś... sierota, którą, jak mówią, w czasie jarmarku znaleziono pod płotem przy umarłej kobiécie, prawdopodobnie cygance...

— To stara historya, widzi pan hrabia, trudno już sobie dziś przypomnieć dobrze... ja tego jakoś tak dokładnie nie pamiętam...

Filutowaty, gdy tego było potrzeba pan Alfred, zmiarkował, że staruszki nie weźmie inaczej, jak na zręczne pochlebstwo.

— Panna Łowczanka ma przecież pamięć tak doskonałą i wygląda jeszcze tak zdrowo i rzeźwo.

Staruszka siwy lok poprawiła i chusteczkę żółtą, w szafranie farbowaną, którą miała związaną głowę.

— Ja, przyznaję się, niezmiernie ciekawy jestem tej historyi — dodał Alfred — nigdym jeszcze od nikogo do-

kładnie jej opowiedzianej nie słyszał... a jestem pewny, że nikt jej też lepiej nie wie i nie pamięta od pani.

— Pewnie że nie — mruknęła Łowczanka — ale co to tam te stare dzieje!

— Niechże też pani uczyni mi tę łaskę i raz mi to dokładniej opowie... Kazdy co innego paple, i trudno w tem wszystkiem dojść ładu.

— Dawne dzieje, dawne dzieje! — poczęła zażywając tabaczkę i stopniami ożywiając się w miarę, jak postępowała w opowiadaniu staruszka... Już to ta nasza kochana wojewodzina, gdy się przekonała, że i w drugiem małżeństwie dzieci mieć nie będzie, powiadam hrabiemu tylko za tem wzdychała, żeby sobie jaką miłą dziecinę przybrać. Ale cośmy jej różnych poddawali, a były i ładne... jakoś serca nie miała. Nieboszczyk rządzca muranowski śp. pan Jacek Harasiewicz, co był przed panem Wyżnickim i umarł z zapalenia... ten, który też był bezdzietny, i co mu żona, niech pan Bóg uchowa, z wikaryuszem uciekła za kardon, pojechał raz na jarmark do Bystrzycy... Pani wojewodzina kazała mu cztery pary wołów kupić dla włościan... powraca już nocą. Pani nieboszczka cierpiała bezsenność, bywało do północy nie sypia... a tego dnia posyłała nas może dziesięć razy pytać, czy Harasiewicz powrócił. Gdy powiedziano, że jest na folwarku, kazała go prosić, jak dziś pamiętam...

Nierychło przyszedł; a jak to ona była zwykła zawsze do ludzi przemawiać po anielsku: moja duszko... cożeś ty na jarmarku zrobił? możeś ty uziąbł? niechby ci herbaty zrobili, albo podali wódki...

— Dziękuję — powiada Harasiewicz — zimno mi nie było, alem do domu wracając biedy napytał.—No co? no co?—A lubiła, żeby jej opowiadano.

— Ot, dziecko czyjeś musiałem zabrać przez miłosierdzie i przynieść do domu.— Dziecko? czyje?— Wstyd powiedzieć cygańskie, ale przecież to Chrystus sam powiedział, że i cyganie ludzie, a serce mi się krajało.

Wojewodzina zaczęła mu to chwalić, i jak dziś pamiętam, opowiadał jej, że pośród jarmarku złapali cygana, który był poszlakowany, że kradzionego konia sprzedawał. Była z nim żona obwinięta płachtą, straszna, czarna, która męża krzycząc i broniąc pachołkom wziąć nie dawała. Jak się uczepiła, puścić nie chciała, ani ją można było oderwać. Tam tedy, słyszę, jeden jak ją przez łeb palnął czemś, tak krwią zalana padła w miejscu. Ale że to cyganka, niewielką tam ceremonię z tem robili... złodzieja pociągnęli pod wartę, a kobiétę powlókł ktoś pod płot, i tak ją tam rzucili, gdzie pono w kilka godzin skonała... a miała przy sobie małą dziecinę, która przyczepiła się tak do trupa, że jej nie sposób było oderwać... Nikt też się tam o to i nie starał bardzo, bo cyganów się ludzie bali. Byłoby może dziecko tam z głodu zmarło, gdyby nie Harasiewicz tknięty litością, który widząc, że nikt bożego stworzenia nie ratuje, jakoś je sobie przywłaszczył, niemal siłą oderwał od trupa i obwinąwszy, utuliwszy z sobą przywiózł. Wojewodzina jak była litościwą, bardzo mu to pochwaliła, posłała do dziecka sługę, jedzenie, potem nazajutrz kazała je odziać, umyć i przynieść sobie pokazać. Ale to było coś takiego dzikiego jak zwierzątko, żółtoczarne, chude, włosy tłuste ogromne... oczy straszne... a

kwiczało a nie dało się tknąć. No! ktoby to był wówczas mógł odgadnąć, że wyrośnie na takie piękne stworzenie, przed którem ludzie na twarz padać będą.

Z początku, póki się to nie oswoiło, bieda była okrutna... ale Harasiewicz sam ją na rękach nosił, lubił dzieci... przyhołubił, przygłaskał. Wojewodzina kazała sobie czasem przyprowadzać, i łakociami, zabawkami, pieszczotami tak oswajała ją z sobą. Odzywała się w dziecku dzikość, a no i roztropną być poczęła na podziw, a w końcu przywiązywać się coraz do wojewodziny, tak że dopóki była na folwarku, to zobaczywszy ją jak piesek wybiegała, skakała przez płoty, przez rowy, aby się do niej dostać. I tak sobie serce jej ujęła... że w końcu wojewodzina choć wiedziała, że to takie było cygańskie dziecko, umówiła się z Harasiewiczem, który je też bardzo lubił, aby sierotkę zupełnie nieboszcze pani ustąpił. Jak tylko się dostała do dworu, poszło zaraz inaczej; zapomnieli wszyscy, czyje było dziecko, i poczęli ją pani i ludzie nazywać jejmościną córeczką. Już to prawda — dodała Łowczanka, więcej mówiąc do siebie, niż do słuchającego z nadzwyczajną ciekawością Alfreda, że nasza panna Lenora taka się stała miła, taka była zdolna i nad wiek swój rozumna, że wszystkim głowy pozawracała. Widząc to nieboszczka, pomyślała o wychowaniu, a Bóg widzi, że na nic nie żałowała, gdyby na królewskie dziecko...

— A tenże cygan się nie zgłaszał?—zapytał po chwilce cicho pan Alfred.

Panna Adalberta zamilkła, chciała mówić i widocznie wahała się, czy jej to powiedzieć wypadało... ale że się

rozgadała, staruszka zapomniała znać o przestrodze udzielonej, i już się jej trudno było utrzymać.

— Tego, proszę pana nikt nie wie, oprócz mnie... ale to tajemnica! — rzekła, zniżając głos i dodając — Julka, idźno zobacz, co się z kotem stało?

— Jestem bardzo ciekawy — dodał Alfred z uśmiechem zadowolenia.

— W lat pięć, gdy już dziewczynina i podrosła i wszyscy się do niej przywiązali, aż tu jednego dnia jawi się w Muranowie cygan okropny, czarny, zbój straszny, w jednej koszuli załojonej, z kijem, pas tylko na brzuchu, jak dziś pamiętam, z konowalskiemi jakiemiś narzędziami, naprzód na folwark, a potem koniecznie do wojewodziny. Jejmość mnie naprzód wysłała do niego, czego chce, i kazała mu jałmużnę dać. Stał w ganku, bo go do sieni puścić nie chcieli... wyszłam, pytam, a ten łamanym jakimś językiem, że go trudno było zrozumieć, powiada mi, że po dziecko przyszedł. Po jakie? nie prędkom się dorozumiała, że po owę sierotę. Gdzie tu mu ją było oddać! Poleciałam jak oszalała do wojewodziny, i powiadam jej, co się święci. Nieboszczka w płacz, dziecko wzięła na kolana i powiada: żeby nie wiem co chciał, dać mu, a Lenorki nie oddam za nic... Przywołaliśmy w pomoc z pola Harasiewicza; cygan jak stał tak stał, wyszliśmy do niego, ani się rozmówić poczciwie, ani mu wyperswadować. My jemu mówimy, że dziecko już nawykło, że mu tu dobrze, on jakby nie rozumiał, swoje i swoje.

— Oddajcie mi moje dziecko... Zostało mi jedno po żonie... Zabili mi biedną moję, niech choć po niej dziecina mi zostanie.—Przysięgłabym była, że płakał, i łzy rękawem

obcierał, ale może udawał, kto go wie. Dopiero Harasiewicz nakarmiwszy, napoiwszy, do niego: Nie damy dziecka. Wojewodzina ci zapomogę ofiaruje... da ci kuźnię we wsi, siedź a do dziecka się nie mieszaj.—Ten swoje, że on nie sprzeda krwi własnej. Jak go zaczęli męczyć, to, owo, dopiero pod wieczor zmiękł; ale się uparł, żeby mu dziecko choć pokazać. Wojewodzina w strachu, żeby nie porwał i nie uciekł, a znowu po bożemu i odmówić ojcu tego nie godziło się. Harasiewicz wziął ją na ręce, kilku lokai stało na straży, ja przy niej, wynieśliśmy na ganek.

Dziecko spostrzegłszy cygana, jakby zmartwiało, oczy czarne w niego wlepiło... patrzy... zbladło... Ten z płaczem zbliżył się i coś zagadał... a ona w płacz... sobie... Stary aż na ziemię padł, taki go żal widać po żonie porwał. Scena, powiadam panu.. Dziecko poczęło się rwać jak oszalałe ze strachu... Cośmy my tam mieli! Odnieśli ją do wojewodziny i ledwie nie rychło odchuchali... Tymczasem Harasiewicz z cyganem w umowę. Kuźni za nic nie chciał, bo w miejscu, jak powiedział, nie usiedziałby, żeby mu złote góry dawali; dziesięć dukatów wziął, i zgodził się wiedząc, że córce dobrze, aby została w Muranowie. Ale to sobie warował, ażeby ją każdym razem, kiedy przyjdzie, mógł widzieć.

— No, i więcej pewno się nie pokazał?—spytał Alfred.

— Ale zaś! — odparła panna Łowczanka — co roku regularnie się przywlekał. Jak dziecina podrosła, wojewodzina choć ją za córkę przybrała, nie chciała przed nią taić, że to był jej ojciec, i nauczyła go szanować...

Ale nigdy długo z nią nie był, przyszedł, popatrzył,

pogłaskał... czasem i słowa nie rzekłszy, porwał się jak szalony do powrotu.

— Więc panna Lenora wie o swem pochodzeniu.

— I wie i nie wie! bo poźniej, gdy się wojewodzina przekonała, że cyganisko było nic potem, łotr, zbój, złodziej, poczęła jej mówić, że to rzecz niepewna, że on się uparł, aby pieniądze brać... i wiarę w niej zachwiała. Jednakże poźniej, ile razy się pokazał cygan, wychodziła do niego, mówiła z nim, badała go.

— I dawno go już nie było? — mówił Alfred.

— Jeszcze na rok przed śmiercią pani nieboszczki przyszedł, przyniósł dla panienki węgierski pasek muszelkami naszywany... gadał z nią długo, popłakał i znikł... Odtąd go już podobno widać nie było.

— Nie spytaliście też, jak on się nazywał?—spytał hrabia.

— A co, proszę hrabiego, może mieć cygan za nazwisko? — odezwała się Łowczanka. On sam jej dał imię swojej żony Zara... i to pannie Lenorze zostało... a jego bodaj jak innych wołali Dżęga...

Uśmiechnął się Alfred... i szepnął:

— Panna Dżężanka! czystej krwi cygańskiej! Ojciec rozbójnik... matka pod płotem zmarła... c'est charmant! a pani wojewodzina mi ją swatała. Ślicznegobym był miał teścia.

Porwał się z krzesła, aż Łowczankę przestraszył.

— Moja panno Łowczanko! — zawołał — i jakże wojewodzina mogła być tak zaślepioną, tak niepamiętną godności własnej i famili, aby pomyśleć nawet podobną istotę wprowadzić do domu i chcieć zaręczyć z siostrzeńcem... To chyba obłąkanie było.

Łowczanka drząc patrzała nań, posłyszawszy głos zmieniony; teraz dopiero jej na myśl przyszło, że się z wielu rzeczami całe niepotrzebnie wydać musiała, załamała ręce drżące.

— A! panie — zawołała — cóż winna wojewodzina! To dziecko cudowne! Sam pan widziałeś jak wyrosła, co się z nią stało, jak jest piękna, miła i dobra. Cóż krew znaczy czarna i płeć ciemna, gdy dusza wybieleje... A tej duszy nic zarzucić nie można... Któżby tam wiedział o cyganie... Gdy się kogo kocha, jak my ją wszyscy, na myśl nie przychodzi, czyje to dziecko, bo go serce za swoje przybrało...

— A tak! tak! wszystko to bardzo ślicznie — dodał Alfred — ale mnie jednak Bóg strzegł od tej koligacyi... Domyślałem się, przeczuwałem zawsze, że tam coś takiego jest, nadto się wojewodzina taiła... a w ostatku już była nie przy zdrowych zmysłach...

Panna Łowczanka zmęczona patrzała, słuchała, w uszach jej tętniło, zaczęła kaszleć, rozpłakała się, zawołała Basi... a hrabia się wysunął.

Jadąc do dworu, który teraz pałacem nazywać kazano, świstał wesoło... i już był na wpół drogi do niego, gdy mu coś na myśl znać przyszło, zwrócił się do domku Łowczanki...

Zastał ją przy filiżance rumianku z szafranem, który zawsze dla uspokojenia pijała z porady księdza kwestarza. Staruszka rozlała szacowny płyn na kolana, zobaczywszy powracającego gościa.

— Jeszcze słówko, moja panno Łowczanko—rzekł stojąc przed nią. Przypomnijcieno sobie dobrze... bo tu i o was

chodzi... Co się stało z naszymi klejnotami familijnymi? My wiemy z inwentarza, co wojewodzina wzięła, ani śladu gdzie się to podziało, szczególniej ów kanak...

Stara patrzała w niego jak w tęczę, usiłując zrozumieć... drzała.

— Ale ja o niczem nie wiem, na krzyżu przysiądz gotowam!

— Pani przy niej byłaś od młodości? to nie może być! Nie życzę nic taić przed nami... Juściż tak kosztowne rzeczy nie mogą zniknąć bez śladu. Panna Łowczanka sama powiadasz, iż miałaś klucze od preciozów i kasy.

— Ale mój dobrodzieju! Nieboszczka mi się nie spowiadała, co z klejnotami robiła.

— Jest silne podejrzenie, iż po śmierci jej... któż wie? skradzione być mogły — dodał Alfred.

Staruszka poczęła się trząść cała.

— Skłonności są we krwi! cóżby dziwnego było, żeby córeczka szubienicznika wstąpiła w ślady ojca! Słabość wojewodziny mogła ją uzuchwalić, mogła to uważać za swoje...

Kończył mówić, gdy postrzegł, że Basia podtrzymywała już omdlałą staruszkę, która padła na poduszki fotelu blada i jakby bez życia.

Alfred zląkł się i sam zawołał o ratunek... przybiegła druga służąca, przyniesiono wody i spirytusów... panna Łowczanka otworzyła oczy jakby obłąkane, ale już ją o nic pytać nie było podobna, hrabia wyszedł.

Instrukcya, dana przez matkę, nakazywała Alfredowi jak najściślejsze poszukiwanie zatraconych preciozów, a przynajmniej ich śladu. Myślą było zacnej matrony, jeźli tylko

najmniejsze się okaże podobieństwo, wytoczyć formalny proces kryminalny Lenorze o nadużycie zaufania i pochwycenie tajemne owych drogocennych brylantów. Czyby on się powiódł, czy nie, zawsze plama i podejrzenie padłyby na znienawidzoną... poszedłby rozgłos o sprawie, i sierota, której rodowód rozgłaszano, straciłaby możność ukazywania się na świecie, musiałaby się gdzieś ukryć, uciekać, a hrabina odniosłaby tryumf świetny, usprawiedliwiając się z postępowania swojego z nią, aż nadto pobłażliwego.

Plan ten zręcznie był osnutym, a pan Alfred wziął go mocno do serca i w zręcznej rozmowie z Łowczanką już do ziszczenia go cenne pozyskał materyały. Szło teraz tylko o wynalezienie jakichkolwiek śladów piśmiennych lub materyalnych owego uronionego kanaku.

Powróciwszy więc z indagacyi, zajął się pan Alfred najściślejszą rewizyą pozostałości po wojewodzinie, która zawsze na wsi papiery swoje i droższe rzeczy trzymała. W intercyzie, gdy szła za mąż po raz pierwszy, klejnoty owe były wyraźnie wymienione. Przy drugiem zamążpójściu intercyzy już nie spisywano wcale, znalazły się wszakże inwentarze, a w nich wzmianka o rodzinnych owych klejnotach... Co się z niemi poźniej stało, najmniejszego nie widać było już śladu. Wszystkie biórka, szafy, kryjówki, szkatułki przetrząsł Alfred i nie znalazł nic. Nie kontentując się tem, poszedł jeszcze do pokojów zajmowanych przez Lenorę i tam znowu poszukiwanie czynił najściślejsze. Już był przetrząsł wszystko i miał odejść zniechęcony, gdy pod szafką zobaczył kilka zasuniętych głęboko safianowych pudełek... Kazał je natychmiast dobyć przy świadkach...

Pudła te widocznie starożytne, rozmaitej formy, dosyć dziwaczne, zamykane na haczki, nosiły wewnątrz bardzo wyraźne odciski niegdyś w nich długo na aksamitnych podkładkach leżących klejnotów... Żadnego z nich tu już nie było, ale kształty ich dobitnie zachował ściśnięty aksamit. Alfred mógł się przekonać, iż traf dał mu w ręce najpożądańszy z dowodów winy... której on sam z trudnością mógł uwierzyć. Ale futerały te znalazły się w mieszkaniu panny Lenory; słudzy pytani o nie, nie umieli objaśnić, coby one znaczyły... dlaczego się tu znajdowały... Opis pierwszej intercyzy zgadzał się doskonale z odciskiem kanaka owego na największem z pudełek.

Alfred sam się zmieszał tem odkryciem, chociaż go pożądał; w duszy nie mógł przypuścić winy, choć potakiwał matce... znał dosyć Lenorę, by być pewnym niemal, iż ona sobie przywłaszczyć tych precyozów nie mogła... a jednak!

Natychmiast wezwano z miasteczka urzędnika i tegoż wieczora spisano protokół... Ludzie, którzy zrazu nie rozumieli nic i nie domyślali się, do czego to wszystko służyć może, poźniej przestraszeni wahali się z poświadczeniem, ale wezwani do przysięgi, uledz musieli.

Jeden tylko kamerdyner Franciszek, nadszedłszy poźniej, do zeznań innych dołożył swoje, natarczywie się dopraszając, aby je zapisano, i zeznał, że pudełka te widział nieraz próżne od bardzo dawna, że wojewodzina dawała je do zabawy panience, gdy ta jeszcze była małą... i że nikt nie pamiętał, aby się co w nich znajdowało...

Zeznanie to wraz z innemi musiało być zapisane, a ono jedno tylko uniewinniać się zdawało nieszczęśliwą

sierotę. Badany Franciszek o same klejnoty, czyby ich gdzie nie widział, lub nie słyszał, co się z nimi stało, nie umiał nic powiedzieć. Przetrzęsiono na nowo papiery, ale w tych nic a nic nie znaleziono... Rejestra dochodów od lat wielu wskazywały wydatki i sumy z różnych wpływające źródeł, nigdzie jednak tak znacznego kapitału, jakiby ze sprzedaży klejnotów mógł pochodzić.

Nazajutrz pan Alfred zabrawszy corpus delicti, papiery... kilku ludzi, którzy mu jako świadkowie mogli być potrzebni, natychmiast odjechał nazad do Warszawy. We dworze popłoch, przestrach, żal, narzekania powstały ogromne; ludzie płakali i obwiniali jedni drugich... Szczególnie też zarzucano zdziecinniałej pannie Łowczance, iż musiała niestworzone popleść rzeczy. Ona sama poczuwała się w części do tego grzechu, płakała, zachorowała i trzeciego dnia potrzeba było posłać po doktora, gdyż słabość przybrała charakter groźny.

Gdy doktor wezwany z miasteczka przyjechał, Łowczanka już się na śmierć dysponowała... Uprzedził go ksiądz... Staruszka dogorywała... ratunku nie było. Umysł jej zbyt silnie wstrząsł ciałem osłabłem, które uderzenia nie wytrzymało...

Nim hrabia Alfred dojechał do Warszawy, Łowczankę wyniesiono na parafialny cmentarz.

Można sobie łatwo wystawić, jak pożądanym gościem dla hrabiny był syn, przybywający z tak ważnymi łupy, z nadzieją pomsty i tryumfu. Natychmiast posłano po prawnika, nie chcąc lekko poczynać, i odbyto naradę. Możliwość procesu była oczywistą, a w każdym razie jeźliby nie przyniósł owoców pożądanych, to jest odzyskania straty,

przynajmniej na pewno mógł udręczyć i niepospolitej narobić wrzawy.

Skutkiem konsultacyi było, iż wypracowane zaskarzenie, o przywłaszczenie klejnotów po wojewodzinie przez jej wychowanicę Lenorę, podano do urzędu.

Wychowanica była cyganką i córką złodzieja!

Zapukano do drzwi.... było jeszcze bardzo rano. Lenora zaledwie wstała i narzuciła szlafrok na siebie; zdziwiona podeszła ku drzwiom, odryglowała je, i w ciemnym kurytarzu ukazały się postacie jakieś niezrozumiałe, mundury... kapelusz, widocznie jakiś urzędowy orszak, który zaledwie posłyszał, że otwierano, popchnąwszy silnie podwoje, gwałtem się wcisnął do pokoju. Lenora była najpewniejsza, że się to stało omyłką, i chciała przeciwko najściu zaprotestować, gdy idący przodem w zapiętym fraku jegomość w okularach z papierami w ręku, prowadzący za sobą czeredę dość osobliwych figur omundurowanych... skłonił się z niechcenia i rzekł:

— Panna Lenora Zara... wychowanica śp. wojewodziny?

— Ja jestem...

Spojrzał przybyły: postać obwinionej tak była poważna i spokojna, że się chwilkę zawahał. Ale odbywanie ciągłych przykrych obowiązków oswaja z nimi i ściera z serca litość a odzwyczaja od grzeczności.

— Pani jesteś oskarzoną o potajemne przywłaszczenie sobie szacownych klejnotów po śp. opiekunce. Są pewne poszlaki, iż się one mogły w jej rękach znajdować. Jestem wydelegowanym do odbycia jak najściślejszej rewizyi i indagacyi.

Słowa te gromem zrazu zaszumiały w uszach sieroty, krew uderzyła jej do głowy; końca już nie dosłyszała... rozumiała jedno tylko, że ona była obwiniona o złodziejstwo. Ten cios zamiast ją przybić, oburzył i podniósł uczucie chłodnej pogardy... pomiarkowała, że gniew i protestacya pogorszyłyby położenie i objawiły słabość... Nieodpowiedziała zrazu nic... Przybyły widząc, że zdaje się nie rozumieć, o co chodzi, powtórzył dosłownie, z czem przyszedł.

Skinęła mu ręką wskazując pokoje oba, i drżąc oddała klucze... A że uderzenie to nadto ją silnie wzruszyło, cofnęła się kilka kroków do krzesła, siadła, w rękach ukryła twarz i zapłakała cicho.

Ta rezygnacya chłodna, panująca nad sobą, tak dla urzędnika w okularach była rzeczą niezwyczajną, tak był nawykł do protestacyi niewinności, do łez i gadatliwości, iż fenomen ten psychologiczny niezmiernie go zdumiał, i napróżno sobie łamał głowę, czy on oznaczać mógł niewinność, czy stanowić dowód przeciw obwinionej.

Postawiono straż przy drzwiach... Zwolna rozpoczęło się przetrząsanie rzeczy drobnostkowych i zabieranie papierów. Otwarto komódkę, kufry, szafkę, rozrzucono suknie, bieliznę, posuwając dokładność aż do śmieszności i nadużycia. W jednem pudełku znaleziono razem wszystkie pamiątki kosztowne, darowane przez wojewodzinę, których była liczba znaczna dosyć wysokiej wartości; te urzędnik przy obwinionej opieczętował. Zabrano także papiery wszystkie...

W ciągu tego przetrząsania Lenora siedziała przybita czując, że wymierzony cios, choćby celu nie dopiął, miał na nią rzucić niezmazaną plamę. Mógłże się kto ująć

za nią. Do godziny dziesiątej trwała umyślnie jakby przedłużona rewizya, o której cały już dom wiedział. Policya nie wpuszczała nikogo... krążyły domysły najosobliwsze. Około dziesiątej wywołano urzędnika. Był to doktor, który wypadkiem nadszedł, i oburzony chciał się dostać do Lenory, aby jej przynieść słowo pociechy, zaręczyć, że bądź co bądź przyjaciele jej nie opuszczą. Ale urzędnik, jakkolwiek dobrze znany doktorowi, tłumacząc się obowiązkami swoimi odmówił mu wnijścia. Był to jeden z tych ludzi słodkich przy okrucieństwie, którzy dobijają ofiarę kłaniając się i przepraszając...

— Słuchaj panie Welker — rzekł mu w końcu doktor zniecierpliwiony — zdaje mi się, że mnie posądzać trudno o skradzenie czegokolwiekbądź lub wspólnictwo takiego czynu, nie możesz więc się obawiać mnie wpuścić. Znam stan zdrowia tej nieszczęśliwej i niewinnej istoty, chcę ją widzieć jako doktor, nie puszczasz mnie składając się obowiązkami — dobrze. Muszę ci jednak to powiedzieć, że jeźli mnie jako lekarza potrzebować będziesz kiedykolwiek, możesz nie posyłać po mnie, bo nie przyjdę. Wcześnie sobie zamów innego.

— Ale konsyliarzu kochany, to sprawa kryminalna!

— Jak sobie chcesz... istotnie kryminalna, bo posądzeniem osoby szlachetnej i najoczywiściej niewinnej popełniacie kryminał.

— Cóż ja winien! — składając ręce zawołał urzędnik.

— Waćpan nic... bądź zdrów...

— No, chcesz waćpan na pięć minut — zawołał przestraszony indagator — no chodź, powiem, że zasłabła i żem ciebie wezwał z urzędu.

Doktor wszedł szybko, podążył do krzesła Lenory, ujął jej rękę i rzekł półgłosem: Bądź pani spokojną! jest to zbrodnia... ale ona nie ujdzie bezkarnie. Cokolwiek się stanie, zaklinam: chłodno i z rezygnacyą... przyjaciele nie zapomną o was... Domawiał tych wyrazów, a sędzia już go oczyma wypędzał. Rewizya była skończoną... miano na miejscu rozpocząć indagacyą i protokół.

Odprowadziwszy doktora do drzwi, urzędnik miał pospiesznie powrócić, gdy ten go w progu zatrzymał.

— Cóż po protokole będzie?

— Zdaje się, że obwiniona zostanie uwięzioną — zimno rzekł okularowy — jeźli tu nie ma żadnych poszlak, to jeszcze nic nie dowodzi, znaleziono je w Muranowie, więzienie jest nieuchronnem.

Doktor pobladł, nie odpowiedział nic, spojrzał na biedną Lenorę, która już nabrawszy męztwa siedziała blada, spokojniejsza nieco, i wyszedł.

Nie będziemy obyczajem nowych powieściopisarzy dosłownie powtarzać całego badania ani spisywanych do protokołu zeznań obwinionej, które ostatecznie nie mogły doprowadzić do żadnego rezultatu, bo ani badający ani badana nie mieli żadnej podstawy pewnej, na którejby oskarzenie lub obrona oprzeć się były mogły.

Lenora słyszała wprawdzie o klejnotach familijnych, ale ich nie widziała nigdy i nie wiedziała, co się z nimi stało; nie domyślała się nawet, że owe pudełka, któremi bawiła się w dzieciństwie, znalezione pod szafą, mogły niegdyś owe drogie kanaki w sobie zamykać. Wojewodzina

o nich nie wspominała nigdy. Te podarki, które u niej zabrano i opieczętowano, darowane jej były w różnych czasach na imieniny, w dzień nowego roku przez nieboszczkę. Do niektórych z nich przyłączone były jeszcze zachowane szczęśliwie karteczki, jako dowody pochodzenia i drogie pamiątki.

Głosem spokojnym, chłodno na wszystkie pytania bez namysłu dawała odpowiedzi. Tak samo przyznała, iż pochodzenie jej było wedle wszelkiego prawdopodobieństwa bardzo upokarzające, ale się go zapierać nie myślała. Czy cygan Dżęga był jej ojcem lub się tylko wpierał w ojcowstwo dla uzyskania czegoś, Lenora nie była pewną. Tajemnicy wszakże z jego odwiedzin w Muranowie nie czyniła. Sędzia dziwił się jasności, dokładności objaśnień, spokojowi obwinionej; znajdował wszakże, iż jakkolwiek dowodów winy wyraźnych nie było, moralne podejrzenia istniały. A że życzenie hrabiów zawsze silniej ważyło na szali sprawiedliwości, niż niewinność cyganki, nie było powodu, ażeby jej nie wziąć do więzienia, pókiby inni świadkowie przesłuchani nie byli.

Gdy protokół został podpisany, sędzia z pewnem współczuciem objawił Lenorze, iż choćby chciał tej nieprzyjemności dla niej uniknąć, zmuszonym jest ją aresztować i do więzienia odesłać, zapewniając z tą słodyczą jemu podobnym istotom właściwą, iż więzienie nie jest tak straszne, jakby się zdawało... że ono nie hańbi itp.

Lenorze wszystko to zdało się snem jakimś bolesnym, słuchała i znowu zrozumieć nie mogła... przynaglona ubrała się machinalnie, osłupiała, chwiejąc się na nogach, bezprzytomna zbliżyła się ku drzwiom.

Tu stali policyanci, którzy jej towarzyszyć mieli, dalej tłum sług i mieszkańców pałacu wypełniał korytarz... cisnęli się wszyscy, aby zobaczyć owę piękną złodziejkę... podziwienie, ciekawość, oburzenie było niezmierne... Sto oczów zewsząd znalazła skierowanych na siebie... zrobiło jej się słabo... zdało się, że umrze, i potrzebowała całej siły ducha, aby módz zejść po schodach... Z góry, z dołu, mimo straży widać było głowy ciekawych i słychać szept nieżyczliwych, półuśmieszki złośliwe...

Taką drogą krzyżową ze śmiercią w piersi zeszła zwolna do stojącej w ulicy dorożki. Powóz dokoła był otoczony ludźmi gwarzącymi ciekawie, niespokojnie, nielitościwie... Wśród twarzy obojętnych i nieznanych Lenora dostrzegła także znajomych, bladą z wściekłości Zbigniewa, który się spinał na palcach, aby na nią spojrzeć... spokojną doktora, który się wstrzymał chcąc widzieć, jak ona to zniesie... Zdawało jej się nawet, że w pewnem oddaleniu przesunęło się nienawistne oblicze Alfreda... który jakby naumyślnie wychylał się z powozu.

Policyanci rozpędzali... dwóch ich siadło do zamkniętej dorożki i powozik poleciał po bruku.

Do więzienia! do więzienia! — brzmiało w uszach Lenory — do więzienia oskarzonej o złodziejstwo.

Wszystko to, co się względem niej dokonało, zdawało się spełnionem z umyślnem, wyrafinowanem okrucieństwem; dobijano ją, aby się nigdy podnieść, nigdy w świecie pokazać nie mogła...

Hrabina tego dnia tak była wzruszoną dokonanym czynem, iż mimo swej tuszy musiała się wachlując przechadzać po pokoju, czekając na Alfreda. Syn nadjechał milczący i zamyślony.

— A co? aresztowano ją?

— Aresztowano...

— Znaleźli co u niej?

— O ile wiem, tak jak nic...

— Spodziewam się, że na ten raz skończyliśmy z intrygantką — dodała pani — głowy już nie podniesie. Nie będzie dowodów, puszczą ją, ale podejrzenie pozostanie... pokazać się nigdzie nie będzie mogła, nikt jej salonu nie otworzy, i ta piekielnica Laura zostanie napiętnowaną jako przyjaciółka cyganki, córki złodzieja i złodziejki. — Alfred stał sobie milczący, zabierając się do zapalenia cygara; matka z nieukontentowaniem widziała, iż nie podzielał jej świetnych nadziei i zdawał się zafrasowanym.

— No cóż, ty nic nie mówisz? — zapytała.

— Spełniona wola mamy — rzekł Alfred — ale ja, przyznaję się, nie jestem zadowolony z tego wszystkiego. Ona zabita... to prawda, my też sobie przyjaciół nie pozyszczemy.

— Mniejsza o tych tam przyjaciół! zemszczę się... A proszę cię! ty ich nie znasz, dam bal, wieczór, obiad, wszyscy przyjdą... Jesteśmy bogaci! za pół roku ci, co na nas krzyczą, będą się łasić, żebym ich wpuściła do domu.

Syn nie zdawał się zupełnie o tem przekonanym.

— Żebyś mi tylko nie zapomniał pojechać na Św. Jerską i poprosić redakcyą, żeby bez wymienienia imion, jako ciekawą sprawę sądową, historyą Laury wydrukowali. I postarać się przez radcę, żeby cenzura przepuściła. Poprosić tych panów w Kuryerku, żeby artykuł powtórzyli. Niewiarowskiemu dać butelek parę szampańskiego, to on ci to napisze...

Alfredek głową dał znak, że słucha.

— To koniecznie potrzebne — dodała hrabina — proszę, aby to było zrobione... Na to przeznaczam sto rubli...

Wsunęła papierek synowi, który go schował do kamizelki obojętnie.

— Już tylko mnie słuchaj w tej sprawie, a ja ją poprowadzę, jak należy...

— A jeżeli sprawa się niedobrze skończy? — spytał Alfred.

— Jakiż ty jesteś... tchórz! — zawołała Pyza, stając czerwona naprzeciw niego — Czyż ona może się źle skończyć? ona już jest skończona.

Alfred zamilkł.

Pani Laura ubierała się mając wyjść z domu, gdy nie oznajmując się nawet wszedł do niej doktor... Jedno wejrzenie nań dawało się domyślać, że przychodził z czemś ważnem i bolesnem, tak że uśmiech, który się już na ustach gospodyni wykłuwał, zamarł w powiciu.

— Nie mam czasu — zawołał stary — przychodzę tylko powiedzieć pani o nieszczęściu, jakie pannę Lenorę dotknęło. Hrabina podała zaskarzenie, iż podejrzewa ją o kradzież familijnych klejnotów i ma pewne dowody moralne... zesłano rewizyą i — oskarzoną zawieziono do więzienia...

Laura stała z załamanemi rękami, nie mając siły odpowiedzieć.

— Byłem nieraz świadkiem scen okropnych, męczarni fizycznych, śmierci bolesnej, walki ostatnich sił żywota z niszczącemi siły przeznaczenia, ale nie pamiętam— odezwał się doktor — abym co straszniej, okrutniej bolesnego w życiu widział nad ten czyn brutalskiej zemsty. Jestem przekonany, iż ani hrabina ani syn jej nie wierzą w to, o co ją obwiniają...

— Ale co począć! Co począć! czyż ją pod tym ciosem rzucić! czy ją opuścić, nie przyjść jej w pomoc? A! doktorze, ty radź...

— Ja zrobię, co okoliczności dozwolą, pani w społeczeństwie podnieś krzyk oburzenia! Nie wahaj się stawać w obronie.

— Oskarzona o złodziejstwo, córka cygana! — mruczała Laura. — Wystawże sobie konsyliarzu, jak ludzie radzi głupiemu skandalowi, cieszyć się będą z tego.

— Wpływ pani powinien to uczucie zmienić w oburzenie — dodał gorąco lekarz. — Ja użyję moich znajomości, stosunków, powagi, aby co najrychlej dopomódz sierocie... pani i jej i siebie powinnaś bronić, boś jej okazywała współczucie. Pani możesz wiele, i spodziewam się, że wiele uczynisz... Na te słowa hałas dochodzący z przedpokoju, coś jakby sprzeczka ze sługą i domaganie się wpuszczenia... przyszły doprowadzając niecierpliwość gospodyni do najwyższego stopnia.

Po chwili sprzeczki drzwi gwałtownie odparto, i wpadł blady, z rozrzuconymi włosami młodzieniec nieznajomy, który nie zważając na grożącego lokaja, z oznakami niepokoju oszalałego, przyszedł do pani Laury.

— Pani — zawołał — przychodzę cię w imieniu najokropniej uciśnionej niewinności błagać o ratunek! Panna Lenora, ten anioł dobroci... ta istota najczystsza... przed chwilą z okrucieństwem bezlitośnem porwaną została do więzienia. Panna Lenora Zara! Pani ją znasz! Wychowanka wojewodziny. Ten anioł! O! mój Boże! kto mógł się takiego dopuścić występku... to ją zabije...

— Uspokójże się, panie Zbigniewie — przerwał doktor.

— Znasz tego pana? — spytała Laura.

— Pani, ja i moja matka jej winniśmy wszystko... to była dobrodziejka nasza... jej serce! A, pani — dodał

ze wzruszeniem obłąkanem — ja nie wiem! ja gotów jestem.... sam siebie obwinić o niewiem jaką zbrodnię, przyjąć na siebie winę, pójść i głowę dać za nią... byle ją uwolnić!

— Cicho, cierpliwości — rzekł doktor — napij się wody, zacny panie Zbigniewie, zapał ten z wdzięczności pochodzący przynosi panu zaszczyt; ale przypuść, żebyś mnie tu nie zastał, żeby ta pani nie wiedziała kto jesteś, coby o tobie pomyślała?

— O mnie! — zawołał Zbigniew — alboż tu idzie o mnie? Niech ja zginę, byle ona ocaloną była! Ale o cóż ją oskarzyć mogli!

Gospodyni domu, słuchając tego wybuchu, patrzała z zajęciem na chłopaka wybladłego, zbiedzonego, obudzającego litość swą postacią znędzniałą i ubogiem ubraniem, a tyle mającego w duszy ognia i uczciwego zapału.

Nie można się było omylić, że przez niego mówiło więcej niż wdzięczność, że w głosie, w wejrzeniu była miłość zapamiętała, ognista, młodzieńcza... Dla takiego uczucia któražby z niewiast nie okazała najżywszej sympatyi? Pani Laura spojrzała nań czule, sama podała mu wody, od której odskoczył zdziwiony, i odezwała się.

— Ale uspokójże się waćpan... zrobimy, co jest w ludzkich siłach, aby tę niecną intrygę wyjaśnić... i nieszczęśliwą ofiarę uwolnić.

Zbigniew począł ręce całować pani Laury, potem ramiona i kolana doktora.

— A! państwo jej jak ja nie znacie, nie widzieliście jej inaczej, jak w salonie artystką jenialną, świetnem zjawiskiem... ja ją widziałem u łoża chorych, siostrą miłosier-

dzia, opiekunką wieśniaków, matką sierot, sługą tych, co ich nie mają... ja ją widziałem anielską... świętą.

Laura się uśmiechnęła.

— I zobaczysz ją pan tryumfującą nad potwarzą. Na pomstę takich czynów jest Bóg, on nie dopuści zwycięstwa złym... Idź pan spokojny...

— Spokojny? — podchwycił Zbigniew — mogęż ja mieć chwilę spokoju wiedząc, ze ona jest w więzieniu!

Zakrył sobie twarz rękami...

Doktor w tej chwili wstał i ujął go za ramię.—Chodź pan ze mną — rzekł — nie przeszkadzajmy pani, która potrzebne środki przedsięweźmie...

I prawie gwałtem wyprowadził go z salonu. Ledwie się drzwi za nimi zamknęły, pani Laura poczynała się ubierać, blada i gniewna, gdy lokaj oznajmił wizytę. Chciała jej nie przyjąć, ale ją uderzyło nazwisko lorda... owego młodzieńca, który od pierwszego wieczora nie przestał największej sympatyi okazywać dla Lenory. Pomyślała, iż jego wpływ i dobrą wolę zużytkować może.

— Prosić — rzekła.

Lord wszedł jak zawsze sztywny, chłodny, nie okazując najmniejszego wzruszenia... przywitał się, usiadł na wskazanem krześle, spojrzał na zegarek.

— Pani się wybiera?

— Nie, nie, nie myślałam wyjść z domu.

— Ja właściwie — rzekł powoli lord — nie przyszedłem z wizytą, ale prawie z interesem. Czy nie mogłaby pani, u której miałem przyjemność po raz pierwszy widzieć pannę Lenorę Zara, wytłumaczyć mi, co się przed kilku godzinami u niej stało. Plotą mi takie banialuki...

Laura przysunęła się do lorda. Jakkolwiek nawykłą była trzpiotać się, spieszyć, paplać, uczuła wpływ tego temperamentu zimnego na pozór, powolnego, rozważnego i... zmusiła się do poskromienia swej żywości... Zaczęła mówić zwolna.

— Jest to historya, o której dopierom się przed chwilą dowiedziała... całą mnie drżącą od gniewu i oburzenia hrabia znalazłeś. — Słyszałeś pewnie, iż nieboszczka wojewodzina kochała tak swą wychowankę, iż z nią siostrzeńca ożenić chciała... Wychowała ją, jak hrabia widziałeś... Ale po śmierci wojewodziny, pani hrabina (przepraszam, że ją tak nazywam) i jej syn postanowili pomścić się na sierocie okazywanego dla niej przywiązania... Wypchnięto ją z domu... zaprzeczono zapisu... odarto z własności, naostatek gdy to nie pomogło, aby ją oddalić i zmusić do skrycia się gdzieś... oskarzono o... kradzież familijnych klejnotów... które w sposób niewiadomy znikły.

— O kradzież! — zawołał drgnąwszy lord, którego brwi się namarszczyły. — Ją, o kradzież! to infamia! to zbrodnia... To — przepraszam panią — to chyba fałszywe doniesienie...

— Tak jest, niestety — dodała Laura — proszę mieć na względzie, iż ona jest prawdopodobnie córką cygana... i że ten zarzut staje się niejako pochodzeniem uprawdopodobniony...

— Ale dość jest mówić z nią półkwandransa... dość na nią spojrzeć, aby taką potwarzą być oburzonym...

Lord się zamyślił głęboko...

— Rachuba niecna... okrutna ale głęboka — dodała Laura — nie dowiodą rzeczy niemożliwej, ale plama zo-

stanie. Sierocie, córce cygańskiej, więzienie wypiętnuje na czole stygmat niezmazany... Oto im idzie...

— Przepraszam panią, ja myślę, że stygmat odbije się na czołach niegodziwych prześladowców — rzekł lord okazując więcej współczucia, niżby się po jego charakterze można było spodziewać.

— Co pani myślisz począć? — zapytał po przestanku — bo nie wątpię, że nie pozostawisz jej bez obrony?

— Radź mi hrabio, jeżli jej życzysz dobrze... radź, proszę...

Lord się zamyślił ponuro.

— Gdyby to było w Anglii — rzekł — potrafiłbym może coś na to... Dosyć by było kaucyi do uwolnienia... tu, ja nic nie rozumiem. — Pierwszą jednak rzeczą jest, by co najprędzej uwolnioną została. Miarkujesz pani, jaki na wrażliwym umyśle tej istoty wywrze skutek... więzienie... obejście z nią ludzi bez czucia... nawykłych do pospolitych zbrodniarzy... Któż wie, może towarzystwo najohydniejszych przestępców i najrozpustniejszej hałastry...

Hrabia się wzdrygnął.

— A! — rzekł zcicha — są jeszcze tragedye żywe, tak prawie straszne ironią losu jak Shakespearowskie.

I podał rękę pani Laurze.

— Jeźli ja mogę być w czém użytecznym pani — odezwał się uroczyście — proszę mną rozporządzać. Czuję się w obowiązku dla osoby, która mnie prawdziwym natchnęła szacunkiem, okazać go czynem, i nie cofnę się od żadnéj ofiary.

— Panie hrabio — odpowiedziała Laura — z waszej strony dosyć będzie nie tajonego oburzenia, aby podziałało sku-

tecznie. Opinia u nas zawsze jest na rozkazy ludzi, jak wy znanych z charakteru niezależnego... Dosyć będzie głośno wypowiedzianego przekonania, aby ona poszła za nami... a bądź co bądź jeźli ogół potępi ten krok, ci co go uczynili... będą zmuszeni się wycofać...

Lord skłonił się w milczeniu...

— Żegnam panią; proszę mnie liczyć do rzędu jej pełnych szacunku przyjaciół.

Izdebka, którą tymczasowo przeznaczono dla Lenory, była ciemną, wilgotną, zatęchłą i podobną do wszystkich swych sióstr więziennych w kraju, w którym po staremu więzień już przez to, że został przytrzymanym, wydaje się winowajcą, i począwszy od pierwszej chwili aresztowania... jest karanym, choć nieprzekonanym o istotę czynu...

Lenora znalazła się w niej przejechawszy nieprzytomnie ulice Warszawy, sama nie wiedząc, jak ją do niej wepchnięto. Chrzęst ryglów, które za nią spuszczano, obudził ją z odrętwienia... Obejrzała się... Choć biały dzień był jeszcze i rano, przez zapylone szyby niewielkiego okna, do pół zabitego deskami, mało się przeciskało światła. W framudze pod nim maleńki brudny stoliczek, tapczan z desek niczem nie okryty, jeden stołek prosty, piec polepiony świeżo... ubierały stosownie tę celę... grobową.

W powietrzu brak było tego, co życie daje, oddéchając niem czuło się, że ono zabija nie karmi... Woń trupia i mdła i wilgotna, zmieszana z tysiącami wyziewów murów i ludzi, pleśni, wilgoci... w zamknięciu szczelnem stała się jakąś atmosferą zabijącą. Chłód przenikliwy dał się raz pierwszy uczuć dziewczęciu, które po rozgorączkowaniu rannem uczuło dreszcze, przebiegające jak zwiastuny choroby...

Chciała płakać i nie mogła; zdało się jej, jakby coś łzy trzymało wezbrane... usiadła na twardym tapczaniku, podparła się o stół chwiejący i tak pozostała, zobojętniała na wszystko... Pragnęła umrzeć... ale w cierpieniu pragnienie to jest znakiem, że życia ma człowiek wiele... pomyślała, że mogłaby się może głodem zamorzyć... potem jakby na urągowisko przyszła jej na pamięć kochana matka przybrana, która ją tak pieściła, dnie wesela... szczęścia... pieśni... swobody, młodości.

Szukała w duchu, czemby zawiniła, że ją Bóg karał tak srodze: nie mogła zrozumieć cierpienia bez wiary; odpowiedziała sobie — iż w piśmie stoi słowo niezmazane o cierpieniu dzieci za ojców winy do pokoleń wielu... — Jestem dzieckiem wyklętego plemienia, może ojca winowajcy? Bóg chce expiacyi, i poddać się jej potrzeba. Ale dla czegoż ranek życia tak mi się wdzięcznie uśmiechał? Któż zrozumie swe przeznaczenie??

Dreszcze zaczęły się zwiększać... otuliła się chustką... jakiś półsen nią owładnął... łza pocisnęła się przez powieki powoli, a za nią popłynęły strumienie długo tłumione... Oparła się o mur... straciła przytomność, i ciemności, wśród których jakieś niewyraźne snuły się kształty... szumiały głosy... otoczyły ją dokoła.

Z równem oburzeniem temu, które wywołała wiadomość o uwięzieniu Lenory, przyjęto artykuł gazety, opisujący złośliwie przygody zagadkowej istoty, podrzutka „przez znakomitą damę, na umyśle skutkiem lat podeszłych osłabioną“, przybranego niemal za dziecię, zepsutego pieszczotami i t. d... Nadesłany ten artykuł, z komentarzami różnemi rozchodząc się po mieście i po prowincyi, obudzał ciekawość, jak każda sprawa tajemnicza. Opowiadano sobie obok tego, co on mieścił, szczegóły pochwycone nie wiedzieć zkąd, a raczej zmyślone po prostu. Kamerdyner Franciszek z Muranowa, wezwany do Warszawy, odprawiony potem nazad na wieś, gdyż służby u hrabiny przyjąć nie chciał, powiózł go tam, gdzie wspomnienie Lenory żywe jeszcze obudzało szacunek dla niej i wdzięczność. Franciszek chodził z tym numerem, czytał go i płakał...

Drugiego dnia po przybyciu jego, gdy się wieść o uwięzieniu rozeszła... chłopak przybiegł od księdza proboszcza, wzywając go, aby się koniecznie pofatygował natychmiast i przyniósł z sobą owę warszawską gazetę.

Franciszek pospieszył na wezwanie i zastał proboszcza niespokojnie przechadzającego się po pokoju plebanii. Był to mąż lat niepodeszłych jeszcze, w sile wieku, energiczny, małomowny, ale znany z prawości charakteru. Za

życia wojewodziny codzienny gość we dworze, zyskał był jej przyjaźń i zaufanie, od jej śmierci czuł się tak osieroconym jak inni...

— Mój panie Franciszku — począł spiesznie występując naprzeciw niego, jakby mu pilno było niezmiernie coś się od niego dowiedzieć—mów że mi, co się tam stało! Uszom nie wierzę! Czyż może być, aby pannę Lenorę aresztowano...

— A! księże proboszczu, najprawdziwsza prawda... Choć to rodna siostra tej świętej naszej pani, ale... a! niech jej Bóg przebaczy...

— Za co? Za co aresztowano? podchwycił proboszcz...

— Któż to zrozumie? Mówią o jakichś klejnotach familijnych, które bez wieści znikły. Pan Alfred znalazł od nich pudełka w pokoju panny Lenory...

— Cóż to były za klejnoty?—zawołał proboszcz... mów!

— Ja nic nie wiem. Musiały być bardzo drogie. Ale cierpiąca pani żyła długo, przeżyła rewolucyą 1830 r.; wiemy, że wiele dawała wszystkim... mogła sprzedać, mogła darować... czy pierwszemu czy drugiemu mężowi.

Ksiądz chodził niespokojny...

— Ale jakże mógł kto posądzić nawet tę zacną pannę naszę!—zawołał—ją, co gdyby była tylko chciała, mogłaby była wszystko sobie zagarnąć; ją, co się wypraszała od darów i serce wojewodziny, dla rodziny ostygłe, nakłonić się ku niej starała... gdyby nie ona, grosza by po nieboszczce nie wzięli.

Kamardyner ramionami ruszył.

— I to, proszę jegomości — odezwał się — jak prostą złodziejkę w biały dzień policya zabrała w obec całego miasta... Przetrzęśli dom... rozgłoszono, rozbębniono.

— A! to już niepoczciwa zemsta — zawołał ksiądz oburzony.—Stałem dotąd na uboczu, nie mieszając się do niczego, ale z powołania mego i obowiązku... muszę przyjść ze świadectwem prawdzie... tem bardziej — dodał — że mam od nieboszczki zlecone czuwanie nad sierotami.

Ksiądz się zadumał.

— Mówili zawsze na wojewodzinę, że była słabomyślną — rzekł — myśleli, że nic nie widzi i ludziom się daje łatwo oszukać; ale wierzcie mi, panie Franciszku, ta święta niewiasta miała przeczucia, znała dobrze swoich, widziała jasno, co się stać może... Nie dowierzała ona do ostatka ani siostrze, ani narzeczonemu niby Alfredowi, i potrafiła obwarować na wypadek tego, co się właśnie stało, sierotę, której losem się zajęła... To cud łaski Bożej.

— Ale co, księże proboszczu? — zapytał Franciszek ciekawie... co?

— To co ja wiem i mam w kieszeni... ale cicho... nie trzeba nic mówić... Ja jutro do Warszawy jechać muszę... Godzina wybiła, nie ma co dłużej czekać. Nie dosyć, że jej wszystko wydarli... jeszcze potwarz i więzienie!

Franciszkowi aż się oczy stare zapaliły.

— Jakto! ojcze! dobrodzieju kochany! wybyście na to mieli jaki ratunek? wy... doprawdy?

— Tak jak mnie żywego widzisz—rzekł ksiądz spokojnie— Wolą Bożą, było aby cnota pohańbioną została i upadła tak nizko... dla jej tem świetniejszego tryumfu... Zmuszono mnie do tego kroku... Jutro jadę do Warszawy...

Franciszek w rękę go pocałował... Z jego radości ksiądz posądził, że się wypaplać może. Położył palec na ustach:

— Tylko ani słowa... proszę!.. ze złymi trzeba ostrożnie, aby środków nie szukali nowych do uciemiężenia...

— Przecież ojcze... dobrodzieju — obrażony odparł Franciszek—znałeś mnie i za życia nieboszczki... że język umiałem trzymać za zębami.

— A teraz jeszcze bardziej!! motus! Jeźli będą mówić o wyjeździe moim, powiecie, żem po oleje pojechał... Nie skłamiecie, bo i tych zabrakło... Tak! po oleje... A jaka tam droga?

— Zła, mój ojcze... na stare kości.

— A! no, jak trzeba to trzeba... Czy asindziej masz tu jakie obowiązki? — zapytał proboszcz.

— Żadnych! Hrabina chciała mnie wziąć do siebie; odmówiłem, bom stary i u nich służyć!! u nich! za nic... dali mi tedy abszyt...

— To jedź ze mną — rzekł proboszcz... Dla bezpieczeństwa... powiozę z sobą papiery ważne, a Moskaliska się włóczą, a drogi nie znam. We dwóch ludzi będzie raźniej, biorę cię na mój koszt.

— Ale jak tylko to dla panienki, pojadę na swoim! — ofuknął się Franciszek — jabym dla niej na kraj świata poszedł piechotą...

— No... i taką zacną, poczciwą... do więzienia jak złodziejkę! — zawołał ksiądz łamiąc ręce — Nie jest że to dopust Boży, aby ten dyament się w ogniu i łzach wyprobował!!

Fiat voluntas tua! Jeszcze szczęście, żem się o tem w porze dowiedział! Jutro o świcie w drogę, nie trzeba czasu tracić...

— Jam gotów dziś — rzekł Franciszek.

— A ja nie! — dodał proboszcz... i mów asindziej, że po oleje...

Uradowany stary sługa, choć niezupełnie wierzył w skuteczność interwencyi proboszcza... pobiegł zaraz wszystko do podróży sposobić.

Nazajutrz wózek trzema konikami zaprzężony wytoczył się z dziedzińca plebanii i posunął gościńcem ku stolicy.

Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus, odezwał się głos we drzwiach mieszkania doktora, który podniósł głowę ciekawie, bo oprócz księdza Bonifratra ze skarbonką rzadko kto tym dawnym obyczajem witał się przychodząc. Nieznajoma postać w ubiorze duchownego widocznie z prowincyi (co krój staroświecki sutanny dowodził) ukazała się w progu.

— Przepraszam konsyliarza, czy mogę go na chwilę trudzić?

— Jestem na usługi, mam jeszcze z pół godziny wolnej — odpowiedział doktor.

— Naprzód się przypomnieć muszę, bo widzę, żeś mnie konsyliarz nie poznał. Jestem proboszczem w Muranowie, dobrach niegdyś ś. p. wojewodziny.

— A! przepraszam. Siadajcie księże proboszczu, możecie nam bardzo być na rękę teraz... mamy tu...

— Ale wiem, i umyślnie dla tego smutnego wypadku wybrałem się do Warszawy — odezwał się proboszcz z westchnieniem. — Mówicie o naszej poczciwej Czarnej perełce! W więzieniu! o mój Boże! gdyby jej przybrana matka z grobu powstała!! w więzieniu! ale wyroki Boże nie zbadane... Prosto przystępuję do rzeczy. Wiem, jakie zaufanie miała pani wojewodzina w was, szanowny panie, i ja też z ufnością do niego przychodzę... Posłuchajcie mnie:

Święta dobrodziejka nasza, choć usiłowała tej familii, którą obdarzała, natchnąć miłość dla swej drogiej pupili, do ostatka nie dowierzała jednakże, przeczuwała złe i starała się ochronić nieszczęśliwą od niedostatku... Zapisała jej dwakroć, zdawało się, że ją zaręczyła na łożu śmierci z panem Alfredem, a jednak znać zawsze miała obawę i wątpliwość... bo... potajemnie się zastrzegła od złej woli tych państwa... a moich na nieszczęście teraźniejszych kolatorów.

— W jaki sposób? — spytał doktor ciekawie.

— Na lat dwa czy półtrzecia przed śmiercią przysłała raz po mnie, czując się niedobrze, i wynurzywszy obawy swoje złożyła w moich rękach opieczętowane i zarejestrowane familijne owe klejnoty z najformalniejszym dokumentem notaryalnym, przeznaczającym je sierocie, jeźliby ona wyzutą została z zapisów jej poczynionych. W razie zaś, gdyby hrabina i pan Alfred dotrzymali wszystkiego i obeszli się z nią, jak byli powinni, klejnoty miały być oddane pani Alfredowej dla jej dzieci. Akt i klejnoty opieczętowane przyniosłem...

Doktor zerwał się z krzesła, by księdza uściskać, rozpromieniony, szczęśliwy.

— A! otóż i palec Boży! — zawołał — ale czekajcie, sierota cierpiała na sławie, na sercu, na zdrowiu, w tej chwili musiano ją przenieść do szpitalu... należy się, by sprawa była słuszną i sprawiedliwość tak jawna, jak była krzywda. Co tu zrobić!

— No, to nie moja rzecz, ja pytam was, co tu robić — odparł ksiądz dobywając z szerokiej kieszeni sutanny ogromny pak opieczętowany — oto jest ów *corpus delicti*,

a oto dokument... Zdaje mi się, że z prezentacyą przed sądem ani chwili dłużej czekać nie potrzeba.

— Siadaj ze mną, jedziemy do sądu... rzekł doktor... Zadzwonił i kazał konie podać...

W kilka minut siedzieli w karetce doktora, a w kwadrans zameldowali się do sędziego.

Musieli jak zwykle poczekać nieco w kancelaryi, ale nareszcie wpuszczono ich do przybytku. Wprzódy jeszcze sędzia był zawiadomionym, w jakiej sprawie życzyli się z nim widzieć, i wziąwszy księdza za prostego świadka przyjął go zimno a niemal szydersko... Ale gdy proboszcz objawił o co chodziło, gdy notaryalny akt złożył w ręce sędziego, bezstronny ów stróż prawa zmienił ton i fizyognomią, stał się grzecznym... i oświadczył, że natychmiast uwięzioną uwolnić każe, a stronę przeciwną zawezwie do odczytania aktu, który najmniejszej już wątpliwości nie zostawiał.

Doktor coś na końcu poszeptał sędziemu, i skutkiem jego żądania poszło wezwanie urzędowe do hrabiny i pana Alfreda, aby dla przesłuchania ważnego aktu, sprawę rozstrzygającego, niezwłocznie osobiście się stawili do sądu.

To wezwanie dla dumnej Pyzy równało się prawie upokorzeniem publicznemu aresztowaniu Lenory. Hrabina nie mogła przypuścić nawet, aby osobę tak dostojną, jak ona, śmiał sąd wezwać do osobistego stawienia się. Sędziowie i notaryusze zwykle sami z księgami do niej jeździli — a w kryminalnym procesie być wezwaną! było dla pani tej obelgą. To też odebrawszy pismo w największym gniewie kazała jechać Alfredowi i złajać sąd, jak śmiał ją! ją wzywać przed siebie... Była zburzoną do tego stopnia, iż

o mało nie zachorowała. Alfred przelękły poleciał w czwał do sądu, wpadł jak burza, począł od grubijaństwa i rozgniewał urzędnika, który mu z najzimniejszą krwią odpowiedział:

— Pani hrabina jest oskarzycielką, nie pan, i ona stawić się musi dla przesłuchania konkluzyi.

— Jest wyrok i jaki? — zapytał Alfred.

— O tym się pani hrabina dowie, gdy przyjedzie...

Rzekłszy te słowa sędzia wyszedł do drugiego pokoju, a Alfreda porzucił osłupiałego. Wiedział on, że powróciwszy do matki z taką odprawą, będzie miał uroczyście zmytą głowę... i nic nie zrobi. Nie pojmował, jaki mógł zajść wyrok, czem spowodowany... Kanceliści patrząc na jego zakłopotanie śmieli się i szydzili po cichu... nie było co robić, trzeba się było wynosić. Ze strachem ukazał się w progu matki, która piła proszki sodowe.

— No, wyłajałżeś tego gbura sędziego! — zawołała — cóż to to za śmiałość tych biuralistów, żeby osoby wysoko urodzone śmieć ciągnąć do sądu. Ja się będę skarzyć, ja mu tego nie daruję...

Alfred milczał.

— No, cóż zrobiłeś?

— Nic nie mogłem zrobić — odparł syn — pokłóciłem się tylko. Zdaje się, że jakaś formalność wymaga osobistego stawienia się.

— To niech się oni, ci panowie, co są za to płatni, stawią do mnie!

— Zdaje się, że to nie może być...

— Ja pojadę do zamku!

— Ale to nic nie pomoże... niech mama się uspokoi...

Cóż tam tak strasznego, na pół kwadransa stanąć przed sądem i na pięć minut zejść do kancelaryi.

— Co ty oszalałeś, czy co? Ja! ja! co jak żyję, w takiem miejscu nie byłam...

— Ale moja mamo, wyzwaliśmy sami proces kryminalny, mama jest stroną w nim... to są konsekwencye...

— Przecież nie może być wyroku, bo się nic nie znalazło i nic nie skończyło.

— Ja nie wiem, co zaszło, bo mnie sędzia pokłóciwszy się nic powiedzieć nie chciał, ale coś stanowczego zajść musiało.

— Może ona w szpitalu umarła! — zawołała hrabina.

— I to być może — rzekł Alfred.

— A! to jużbym i do sądu pojechała, żeby raz być wolną od tej peronelli...

Syn zamilkł... Hrabina piła proszki i rzucała się walcząc z tą myślą jak ona, ona pojedzie stawić się przed sądem. Ale naostatek rozbudzona ciekawość, domysł, że winowajczyni pod posądzeniem kradzieży umarła może, skłoniły ją do upokarzającej podróży. Wyprawiła tylko syna przodem, aby tak wszystko urządził, iżby uchowaj Boże czekać nie potrzebowała...

Alfred posłuszny poleciał co prędzej. Za nim potoczyła się majestatycznie kareta hrabiny, przy której dwóch lokajów z tyłu, a kamerdyner na koźle. Powóz stanął przed sądem, i natychmiast zgromadził się tłum gawiedzi dla podziwiania wspaniałości jego.

Dobry kwadrans czerwieniejąc ze złości jejmość, w głąb się zasunąwszy, przeklinała niezręczność najukochańszego syna, który nareszcie zbiegł blady i pomieszany.

Prowadząc matkę na schody, pełne różnych ludzi i wcale nie grzeszące wytwornością, miał tylko czas szepnąć na ucho hrabinie:

— Na miłość Boga, kochana mamo, bądź co bądź, przed sądem ani słowa! bo oni wszystko wpiszą do protokołu!...

— Ale co to jest?

— Niech się mama przygotuje... jest coś niedobrego, nie wiem co, ale... złe.

— Cóż może być?

— Nie mówią nic... widzę, że proboszcz z Muranowa siedzi także wezwany...

W tej chwili otworzyły się drzwi i hrabina weszła niemi majestatycznie.

Za stołem siedział sędzia, który nie powstając głową lekko skłonił, i natychmiast wziąwszy papier ze stołu czytać począł:

„Działo się w Warszawie... dnia....

W miarę jak akt czytano, hrabina, której przez uszanowanie dla jej tuszy podano fotel zaledwie mogący ją pomieścić... stawała się na przemiany bladą, czerwoną i siną... Posłuszna jednak radzie syna, choć darła rękawiczki, nie odezwała się nic... trzęsła się cała... Wysłuchawszy dokumentu wezwana do podpisu, zrobiwszy dwa żydy krzywo nakreśliła swe imię... i ze ściśnionych warg wyrwało się — zobaczymy...

Sędzia się ukłonił. Alfred wziął matkę pod rękę i wyprowadził ją... W milczeniu przeszli schody, siedli do powozu i pojechali. W karecie hrabina zaczęła płakać z gniewu i upokorzenia. Alfred był czerwony, pałający...

wściekły. Przybyli do domu... a jeszcze nie odezwała się ani matka do niego, ani on do niej...

— Moja mamo rzekł — nakoniec Alfred — co się stało, odstać się nie może, narzekać i płakać na nic, trzeba myśleć, jak się dźwignąć z tego...

— A! tak, ja sama widzę, żem złą miała kalkulacyą — odezwała się hrabina — nie tak nam postąpić należało... ale po czasie teraz... po czasie. Cyganka zwyciężyła...

— I — dodał praktyczny Alfred — zdaje się, że w miejsce dziesięć kroć stotysięcy, weźmie za klejnoty ze dwa razy tyle.

— Ale to własność familii!

— W takim razie familia ich wartość opłacić będzie obowiązaną.

— Niech ją i z klejnotami kaci porwą! — uderzając w stół pięścią ozwała się matka...

— Pozwoli mama sobie powiedzieć... ludzie się żenią i z chłopkami i z garderobianemi... cyganka, czy nie, mogłem się ożenić, byłbym nie potrzebował płacić dwóchkroć, i klejnoty byłyby nasze, a potem mógłbym się też i rozwieść... i procesować i nic nie dać.

— Ty zawsze do niej miałeś słabość, ale ja... ja myśli tej znieść nie mogę, aby krew nasza... senatorska!... a! nie mogę... duchy ojców! Cyganka...

Rozpłakało się nieszczęśliwe senatorskie dziecię.

Gdy się to działo w żałobą okrytym domu hrabiny, proboszcz z doktorem poszli do osobnej izdebki w szpitalu zwiastować Lenorze jej oswobodzenie i uniewinnienie...

W pierwszych dniach niebezpieczną, ale energiczną przerwaną kuracyą, przecierpiawszy gorączkę, Lenora czuła się była lepiej. Staraniem przyjaciół dano jej w szpitalu osobną

czystą izdebkę, a dozór panien miłosierdzia uczynił pobyt w niej znośnym, w porównaniu zaś z pierwszem więzieniem, niemal wesołem... Pomiędzy obwinioną a dozorczynią jej, siostrą Felicyą, zawiązała się przyjaźń najczulsza. Powołanie miłosierdzia dziwnie wyszlachetnia duszę; siostra Felicya była osobą bardzo mało wykształconą, ale pobożną i poświęconą bliźnim; dziesięć lat tej ofiary u łoża chorych, z cierpiącymi, uczyniły ją aniołem cierpliwości, dobroci, poświęcenia skromnego i nadzwyczajnej przenikliwości umysłu. Lenora znajdowała u niej pociechę, z nią czuła się prawie uspokojoną, a widok tej ofiarnej niewiasty unosił ją aż do pożądania poświęcenia się podobnego...

Leżała jeszcze, ale zrezygnowana, ukojona na duchu, przejednana ze światem i przebaczając krzywdę nieprzyjaciołom... Na białej kołderce, która ją okrywała, przez cały dzień spoczywało naśladowanie Chrystusa Pana, które jej siostra przyniosła... Cała ubrana w bieli ze swą ciemną ale zbladłą twarzą, ognistemi oczyma, czarnemi rozpuszczonemi włosami, wydawała się uroczo piękną, bo mistrzyni boleść umie także do ideału rozpromieniać człowieka, jeźli dusza upokorzona przyjmie ją jak błogosławieństwo...

W tym stanie ducha błogim, który wynagradza największe cierpienia ideą sprawiedliwości nadziemskiej, czuwającej nad człowiekiem — znalazł ją doktor i proboszcz muranowski.

Gdy ich ujrzała we drzwiach, gdy ujrzała oblicze przyjaźne, uśmiechnięte kapłana, do którego jak do ojca duchownego nawykła była od dzieciństwa, wyciągnęła ku niemu ręce z uśmiechem i okrzykiem:

— A! co za szczęście!

— Dziecko moje! — zawołał rozrzewniony kapłan... dziecko moje! przynoszę ci i zwiastuję od progu uwolnienie, uniewinnienie, tryumf... Wszystko skończone.

— Być że to może! w jaki sposób?

— Uspokój się pani — rzekł doktor — ksiądz proboszcz opowie jej wszystko. W każdej chwili możesz powrócić do domu; nie ma już ani cienia wątpliwości. Zli ludzie zawstydzeni zostali.

— O mój Boże! o mój Boże! — wołała Lenora składając ręce — jam się już tego spodziewać nie śmiała. To chyba święty ten anioł, matusia moja droga, zstąpiła z niebios i dała świadectwo niewinności dziecięciu.

— Zaprawdę, odgadłaś! — rzekł proboszcz — jeśli nie ona, cień jej, głos jej, wola rozstrzygły. Staruszka pamiętała na wszystko, znała ludzi a kochała cię jak córkę... Dała tego dowód, składając na ręce moje osobno spisany akt urzędowy, tyczący się owych klejnotów, które są tobie przeznaczone... Dziś wszystko się to wyjaśniło przed sądem... jesteś wolną i Bóg dał niezależną... Wartość tego daru przechodzi to, co ci było zapisano...

— Ja tego przyjąć nie mogę... odezwała się Lenora.

— Zaczekaj, oto jest akt i słowa nieboszczki: „Znając szlachetne usposobienie i bezinteresowność wychowanicy mojej i to przewidzieć mogę, że daru mojego przyjąć nie zechce — ale ją zaklinam z za grobu w imię miłości, jaką dla mnie miała, ażeby go nie odrzucała, jeźli nie chce, bym bolała nad tem, że najgorętsza wola moja się nie spełni... Rodzinie mej zostawiam więcej, niż wartość tych klejnotów, które były moją osobistą własnością“.

Lenora słuchając płakała, doktor i ksiądz milczeli.

— Są potrzebniejsi odemnie — odezwała się po cichu — darem jej rozporządzę... w myśl jej... to poźniej... ale jam niewinna i wolna!!... jam czysta...

— I najmocniej proszę — przerwał doktor — ani się bez mojego pozwolenia ruszać z łóżka, ja wieczorem przyjadę po was... nie wprzódy...

Zostawując proboszcza, któremu w pomoc przyszła siostra Felicya, doktor odjechał. Zacna zakonnica na wieść o uniewinnieniu Lenory, do której się sercem całem przywiązała, wbiegła zapłakana z radości i rzuciła się jej na szyję.

— Błogosławione imię Pańskie! — zawołała... błogosławione imię tego, który niewinnych dźwiga i podnosi.

— Cudem — dodał proboszcz... Sławmy imię Jego...

I kapłan ukląkł, aby odmówić modlitwę dziękczynną, a Lenora ze złożonemi rękoma, siedząc w łóżku zapłakana, powtórzyła słowa modlitwy. Scena była rozczulająca...

Doktor nie bez przyczyny chciał, by Lenora wypoczęła jeszcze, nim ją do domu przeniosą, bo choć radość leczy, są wypadki, że jej znękane serca znieść nie mogą. Chciał przytem, ażeby tryumf sieroty uczynić tak głośnym i uroczystym, jak jawne i okrutne było prześladowanie. Pojechał do pani Laury, rozesłał do znajomych, dano znać Lordowi, który nie przestał się interesować Lenorą, Zbigniewowi i matce jego; postanowiono, aby jak najwięcej osób pojechało po chorą i odwiozło ją do dawnego mieszkania, okazując jej zasłużone współczucie.

Pan Alfred powracał wieczorem od prawnika, do którego wysłała go matka na naradę, czyby przeciwko aktowi ś. p. wojewodziny prawnie coś działać nie można — gdy

w pobliżu pałacu Zamojskich spotkał ten szereg powozów... odprowadzający Lenorę. Poznał ją siedzącą w karecie z doktorem, panią Laurę, Lorda, kilku jego przyjaciół, i odgadł łatwo znaczenie tego rodzaju manifestacyi. Zbladł, zagryzł usta, ale się w nim, zazwyczaj obłudnym, tak wszystko wzburzyło, iż wróciwszy do domu pohamować się nie mógł. Wpadł do pokoju matki rzucając o stół kapeluszem z wyrazem takiego dzikiego gniewu na twarzy, iż się hrabina przelękła.

— Co ci jest? Alfredzie? co ci jest!

— To są łajdaki! to niepoczciwi ludzie... to szuje! to demagogi... gałgany...

— Ale kto?...

— Ta niepoczciwa Laura, ten doktor intrygant, głupi Lord...

— Cóż znowu się stało?

— Wystaw sobie mama! cała ta czereda pojechała do więziennego szpitalu po cygankę, i z paradą największą odwieźli ją do jej mieszkania, ulicami głównemi, do bramy pałacu, w tryumfie! Brakło tylko chorągwi i muzyki... Jutro po całem mieście trąbić będą... i nas potępiać...

Matka zamilkła, a po chwili:

— Dobrze! dobrze! — zawołała — niech się kręcą, niech się wiercą, jak chcą! ja o to nie dbam... Naszemu domowi, imieniowi i znaczeniu nie potrafią nic zrobić. To jest zawiść nikczemna tych dorobkowiczów... Ja się z tego śmieję! ja się z tego śmieję...

I w istocie dostała hrabina w tej chwili śmiechu, ale serdecznego, i natychmiast posłano po doktora, tylko już

nie po starego S.... który był do niecnych intrygantów zaliczany i od dnia tego stanowczo na indeksie...

Hrabina miała się w przekonaniu swojem za najniewinniejszą ofiarę demagogicznego spisku!!

I tym razem sienie, schody, korytarze pełne były widzów ciekawych w pałacu, a na czele ich zapłakana, rozogniona, umuszliniona stała Kasia wołając:

— A co? nie mówiłam? nie powiadałam, nie przysięgałam, że to się tak skończy... A chwałaż Panu najwyższemu, że poczciwego pognębić nie dał...

Gdy doktor wprowadzał na górę z siostrą Felicyą biedną chorą, i pan Roman Janusz Zarybski i pan Zygmunt Haraburda czątowali na schodach, i oboje państwo Melchiorowstwo... i mnóstwo osób nieznanych. Ta postać w bieli, wyanielona cierpieniem, promieniejąca szczęściem, przesunęła się jak zjawisko jakie nadziemskie... Wszystkim się teraz wydawało, że taką istotę, na obliczu niosącą swej niewinności dowody, występkiem nawet było posądzać. Stróż przeklinał prześladowców, choć ich imienia nie wiedział...

Lenora weszła do swych pokoików, przygotowanych na jej przyjęcie, ukwieconych, wyświeżonych od rana, i zapłakawszy omdlała. Naówczas wszyscy szanując to wzruszenie po cichu odeszli, zostawując przy niej tylko lekarza i siostrę Felicyą...

Wstrząśnienie wywołane wypadkami dnia tego było za silne dla rekonwalescentki; mimo wszelkich zabiegów

doktora wieczorem objawiła się niepokojaca gorączka i zagroziła recydywą...

Noc spłynęła w błogiem ale gwałtownem delirium, wśród którego chora spiewała piosnki dziecinne, rozmawiała z wojewodziną, miała widzenia straszne, płakała, śmiała się, zrywała do fortepianu, i dopiero nad ranem uspakajające lekarstwa sen głęboki wywołały...

Przy łożu sieroty została Felicya, a na posługach Kasia, u drzwi Zbigniew obwinięty w palto wytarte na mrozie stróżował czekając, czy gdzie posłać go nie będzie potrzeba... Noc całą nie zmrużyli oka przyjaciele Lenory — ranek zastał ich strwożonych, doktor był ponury i milczący. Nazajutrz przybyła pani Laura, aby wyręczyć siostrę, przywiozła z sobą Stefcię, i tak mieniając się cały dzień u łoża przebyli. Po gorączce nastąpił sen długi, który lekarz za dobry znak uważał, i przerywać go nie dozwolił; przytomność zdawała się powracać, rozdrażnienie ustawać, chora budziła się, patrzała, pytała, gdzie jest, poznawała przytomnych, uśmiechała się im, i zmorzona znowu potrzebą snu padała na poduszki z ustami złożonemi jak do błogiego uśmiechu.

Patrzący nie mogli się powstrzymać od łez... W tej ciszy i oczekiwaniu przeszła i noc następująca.

Słabość się przeciągała, doktor znajdował, że nie była groźną, jednakże nie oznaczał jej kresu i nakazał spoczynek. W ciągu tygodnia chora odzyskała zupełną przytomność, i zostało jej tylko osłabienie a znużenie wielkie i niemniejszy smutek. Całe dnie spędzała na cichej rozmowie z siostrą Felicyą lub czytaniu Naśladowania. Ale towarzyszka jej, która nie spuszczała z oka chorej, uważała, że czytanie

służyło tylko za pozór może do głębokiego rozmyślania. Długo nie przewracała kartek, patrzała w nie osłupiałemi oczyma, po cichu płacząc, potem przewróciła kilka, chwytać się zdawała jakby losem jej rzucone wyrazy, i zadumywała się znowu. Rozmowa, jeźli ją poczęła siostra Felicya, zwracała się od świata do zadań życia wyższych, do zawodów, smutków, do ciężkiej doli człowieka. Wypadki ostatnie odjęły jakby energią do walki z losem potrzebną, zdawała się pragnąć pokoju tylko, okupionego choćby ofiarą woli i nadziei przyszłości...

W ciągu słabości oznaki powszechnego współczucia odbierała Lenora nieustanne. Co odróżnia Warszawę od innych miast polskich, to zapał, z jakim ona w każdej sprawie, w której idea szlachetna jest pokrzywdzoną, bierze udział serdeczny; wszyscy się rozgorączkowują dla uciśnionego człowieka, dla heroizmu czynu, stają w obronie sprawiedliwości i głośno poświadczają, że miłują prawdę i cnotę; nawet ci, dla których one są obojętne, posłuszni prądowi powszechnemu wtórują masom, spieszą z głośnem współczuciem i datkiem. Na tak usposobioną społeczność wiele, wiele rachować można. Znajomi i nieznajomi zajęli się żywo sprawą pokrzywdzonej Lenory, słano jej bukiety, wiersze, obrzucano podarkami, zapisywano u drzwi, ofiarowano chętną pomoc... Oburzenie na hrabinę było tak wielkie, że się w pierwszych dniach nigdzie pokazać nie mogła. Alfred znany ze swego posłuszeństwa pani matce, nie mniej był źle widzianym, unikano go, najlepsi przyjaciele nie życzyli sobie z nim pokazywać się publicznie, nikt w obronę ich wziąć nie chciał.

Dodać jednak trzeba, że mimo tak jawnej manifestacyi opinii publicznej, pewna część tak zwanego wielkiego świata zachowała postawę zimną, wyczekującą, nieodgadnioną. Nie wzięła ona ani strony pokrzywdzonej, ani śmiała bronić postępku hrabiny, ale rada była może widzieć w tem wszystkiem objaw kwestyi społecznej w innej formie, wypadek starej walki demokracyi z arystokracyą. Hrabina nie była zbyt dobrze widzianą w tym świecie, ale doń należała bogactwy, imieniem i samą ekscentrycznością, z jaką praw tego pierworodztwa broniła przeciw młodszej braci. Obóz czuł, że do pewnego stopnia bronić jej był obowiązany, zdesperowane położenie tylko nie dozwalało mu wystąpić na razie.

Laura, doktor, siostra Felicya, u drzwi Zbigniew, niekiedy wśród dnia dosyć nudna matka jego ze swemi na świat wyrzekaniami i deklamacyą *pro domo sua*, składali zwykłe towarzystwo Lenory, która ze swej apatyi i zamyślenia rzadko się weselszem czyjem usposobieniem wyprowadzić dała.

Lord także przysyłał bukiety i dowiadywał się o zdrowie; ale ten miły dowód współczucia, z którego żartowała Laura, prześladując niem sierotę, nie czynił na niej wielkiego wrażenia. Bukiet wiądł na stoliku, a ona czytała Naśladowanie.

Jednego przedwieczora, gdy była tak zadumaną nad ulubioną księgą, powoli rozwarły się drzwi, i postać dziwna, straszna niemal wsunęła się niemi. Był to mężczyzna stary olbrzymiego wzrostu, nieco przygarbiony, z włosem siwiejącym, rozczochranym, zarosłą brodą podciętą, ubrany jak górale tatrzańscy, z siermięgą przewieszoną na ramieniu,

z pasem, u którego wisiały noże i igły, z kijem w ręku — podobniejszy do włóczęgi i żebraka niż do kogokolwiek bądź innego. Twarz jego śniada, ogorzała, czarne oczy błyszczące, wargi szerokie i odęte, mimowolnie zwykły typ cygański przypominały. Wszedł, począł się ponuro po pokoju rozglądać, i gdy wejrzenie jego padło na łóżko, powoli posuwać się zaczął ku niemu. Siostra Felicya przestraszona podbiegła, aby go zbyć jakim datkiem i wyprawić, gdy od łoża chorej dał się słyszeć wykrzyk... Ujrzała wyciągniętą rękę Lenory i usłyszała głos:

— Proszę puścić! puśćcie go...

Cygan zwolna krok za krokiem w milczeniu przybliżał się do łoża, nareszcie w pewnem oddaleniu od niego stanął, zapatrzył się na Lenorę, podparł na kiju i wryty tak pozostał... Głowa jego zwolna spadała na piersi, kołysała się i zwisła... wzrok spadł zwolna na ziemię.

W twarzy Lenory malowały się razem przestrach, rozrzewnienie, oczekiwanie; patrzała nań, i powoli łzy z jej oczów pociekły.

Ta scena niema przedłużyła się z podziwieniem siostry Felicyi w groźny sposób... jakby gotując wybuch, którego się można było domyśleć.

Cygan podniósł powoli głowę na Lenorę spoglądając, i poruszał nią litując się.

— Oj tak — rzekł łamanym jakimś językiem — wiedział ja dobrze, jak się to skończyć musi! I skończyło się tak, jak ja czuł i przeczuwał! Wzięli moje dziecko z pod płota, aby rzucić pod płot...

— Dżęga — przerwała cicho Lenora — niesprawiedliwym jesteś.

— Albo myślisz, że ja nie wiem o wszystkiem — rzekł powoli — ja tu już dawno patrzę z daleka; a pocom się miał zbliżać, żeby palcami wytykali cygana i — cygankę. Ale w końcu serce się ścisnęło. Myślałem, taki pójdę, taki zrobię, taki jej powiem, niech się nie bałamuci, niech nie wierzy. Gdy kąsają, to prawda, ale gdy się łaszą — kłamstwo... Za uśmiechem złość siedzi... Ot by lepiej ci było z nami... ze mną. Ty dla nich nie stworzona...

Hej! hej! — mruczał dalej, postukiwając kijem... W górach, w Tatrach spokojniej... pusto... dziko, i kraj stworzony jak dla nas... Pędzą z Węgier, to się przerzucim na polską stronę, a gnają z polskiej, to na madziarską. W Tatrach nie ma nikogo, tylko orły, kilka kóz i nas kilkoro... Wiatr szumi i bory jodłowe płaczą...

Lenora słuchała, i jej łzy z powiek ciekły... Stary obejrzał się na siostrę Felicyą, jakby się lękał, żeby go nie wygnała, a widząc ją stojącą spokojnie z załamanemi rękami, bladą, wsłuchaną w jego mowę dziwnie szorstkiego, bolesnego dźwięku, powoli jakimś niemal zwierzęcym ruchem zgiął się i na ziemię przysiadł u łoża.

— Pozwólcie mi posiedzieć — rzekł obracając się do siostry — ona mnie zna, ona powie kto ja... toć dziecko moje. — Felicya milczała...

— Ty chora — mówił po chwili — o ja wiem, oni ciebie prześladują. Ale bo dzikiej sokolicy w kurzem gnieździe nie siedzieć... oj! nie! Wypieścili sokolicę moję, aby ją potem żywą skubać...

Chciałem ja ciebie wziąć, bom wiedział, że ich dobrodziejstwa nieszczęście niosą, że nie przyswoją oni ciebie, ani ty ich pokochać możesz... Co to za ludzie, to ku-

kły... postrojone, i już zapomnieli, jak ich pradziadowie błądzili po lasach drąc się z niedźwiedziami... Co nam z niemi? my innej krwi i innego serca, a oni do nas jak kraska do wrony nie podobni... komu Bóg wroną i krukiem być kazał, darmo cudze pióra brać — darmo. Napisano na twarzy — czarne przekleństwo...

I ty je nosisz... dziecko... choć ci je białe ręce ścierały...

Zamilkł chwilę...

— Gdzieżeś bywał Dzęga — ozwała się słabym głosem Lenora patrząc na niego. Starzec ręką zawalaną przesunął po twarzy i uśmiechnął się szydersko, zważając, że unikała go nazywać ojcem, i odparł.

— Ty panuńku nie wierzysz sobie, że stary Dzęga i stara Maruna twymi rodzicami! nie prawdaż! czemu mi nie powiesz — ojcze! Mnieć w sercu miło by posłyszeć było, że dziecko się do mnie przyznało, choć ono w cienkich szatach a ja w grubych... Ale tak! gdy kukułka jaje złoży w gnieździe cudzym... ani ta, co je wysiedziała, ani ta, co je zniosła, do niego się nie przyznają; tobie kukułką być... bez gniazda...

— A! powiedzże mi! — przerwała gwałtownie Lenora wyciągając ręce ku niemu. — Ty przecie wierzysz w tego Boga, co nas przeklął, i modlisz się w jedyną noc księżycową do niego, choć wiesz, że cię nie wysłucha... Powiedz mi na imię wielkiego Ducha, zaklinam... jesteś ty ojcem moim?...

Cygan białymi zębami się roześmiał.

— A coby mi było za cudzem chodzić dzieckiem? czy myślisz, żem ja grosza żądny...? Nie...

Dobył z zanadrza wór skórzany, i na podołek koszuli wysypał parę garści dukatów świecących...

— Jam nie ubogi... Zabiliśmy na węgierskiej granicy kupca... pożywiło się nas trzech na długo, a żyjemy niczem... wiatrem... dymem... i podpłomykiem...

Na te słowa: zabiliśmy! Lenora twarz zakryła.

— Co tobie dziecko! — śmiejąc się rzekł cygan, który złoto przesypał do worka. — Coż to złego zabić jednego z nich, kiedy oni nas secinami bili! Oni mają wszystko! zapanowali nad światem, nad ziemią, każde drzewo ich, każdy kamień naznaczony, każda kropla wody policzona, a my na ziemi żyć musim i nie mamy nic. My w wojnie — a gdy na wojnie spotka się żołnierz z żołnierzem, kto silniejszy zabije i obedrze...

Zabiją oni mnie!

Widząc, że Lenora płakała rzewnie, stary cygan począł ją po swojemu uspokajać.

— Daj ty pokój tym łzom, ja jego sam nie mordował, inom patrzał... to mi się część dostała. Ja nie lubię krwi. Zjadłszy jej, jak czosnek człowiek nosi w sobie... ani się zbyć.

— Więc ty... jesteś ojcem moim! — zawołała we łzach... Siostra Felicya podbiegła ku niej podtrzymując i pocieszając.

— A na cóż by mi było kłamać! — rzekł stary... Nie wierzysz! ale się w tobie cygańskie odezwie serce... prędzej, poźniej zatęsknisz za stepem, pustynią i włóczęgą... Co wielki Duch kazał, to się spełni... Niech oni kropią wodą swoją, nie zmyją skóry czarnej ani czarnego przekleństwa. — Westchnął.

— Pójdziesz i ty w świat! — dodał...

A bo by ci nie lepiej było... tu nad tobą królują, tam my sami sobie pany... Ja nie mogę żyć bez gór, ja zejdę zimą w dolinę, powędruję po zakopconych mieściskach i nie mogę oddychać ich powietrzem... ale od puchu odwyknąć trzeba, od białego chleba i od wszystkich kajdan ludzkich... my nie ludzie... my cygany...

Lenora milczała; oczy jej schły spieczone; słuchała tej mowy przerywanej, niewyraźnej, która się w nasze słowa ująć nie daje, dorozumiewała się jej raczej niż rozumiała...

W duszy biednej istoty rodziła się coraz gwałtowniejsza żądza nawrócenia tego człowieka zdziczałego wśród cywilizowanego świata, dźwigającego resztki barbarzyństwa odwiecznego, jakiejś innej pierwotnej, nie pojętej epoki.

Ojciec i dziecię stali od siebie przedzieleni lat tysiącami... ona cierpiała i umysł jej się błąkał, gdy spojrzała na tego starca skurczonego na ziemi, który czarne oczy iskrzące topił w niej badająco...

— Oni ciebie ubiją — rzekł po chwili — ja widział nie raz chowane niedźwiedzie i wilki... dopóki to młode i koziołki wywraca... to ich bawi, a potem w łeb lub na gałąź... Tak i z nami...

Lenora coraz boleśniej cierpiała, męczarnia ta malowała się na jej twarzy; siostra Felicya, litością zdjęta, spojrzała znacząco na cygana. Ale ten jakby nie rozumiał... iść mu się precz nie chciało od dziecka... patrzał na nie i napatrzyć się nie mógł.

— Jabym ją i wśród tysiąca poznał — mruczał — choćby ją nie wiem jak przebrali. Marana taka była za młodu...

i taka i inna, ale nie wybielili jej tak w zamkniętej izbie... Te same oczy, te same usta... tylko śmielszy wzrok i krzyk. Ciebie nauczyli trwożno patrzeć i połowę bolu chować w sobie... Tamtę zabili łotry! Zabili... Jak się mścić nie mam. Ojca... powiesili... żonę zatłukli... dziad z ran umarł... brat zasieczony... a ja! i mnieć to czeka... i ją.

Siostra błagająco spojrzała...

— My dzieci nie pieścim — z pogardą odparł cygan — matka w dymie je wędzi i w śniegu kąpie, ojciec ćwiczy... aby się nauczyły cierpieć... U was sztuka wypieścić, aby potem muchy ukąszenie bolało jak rana! Albo to wy znacie co życie?

Począł głową kiwać i mruczeć już coraz niewyraźniej.

— Mój ojcze — odezwała się Lenora — jeźli wy mnie cokolwiek kochacie, cośbyście dla mnie zrobić powinni.

— Czy ja was kocham? Zara! Albo to ja wiem, czy ja kocham was? A za co bym ja cię kochał? żeś przylgnęła do tych, co nas smagają? Mnie miło popatrzeć na twarzyczkę twoję i Maranę przypomnieć!

Nie — nie — dodał — nie gniewaj się dziecko, stary się broni, żeby nie kochał, ale kocha... A miłowałby sto razy tyle, żebyś zrzuciła do ostatniego łachmana i poszła z nim...

Lenora przerażona spojrzała na niego.

— Nie! nie! — rzekł — to już zapoźno! chyba cię było im z rąk wyrwać, kiedyś była mała — teraz... darmo!

— Jeżelić wy mnie cokolwiek kochacie dla matki... porzućcie tę włóczęgę... bądźcie przy mnie.

Cygan począł się rzucać, śmiejąc na oba przechylając boki.

— Daj ty mi pokój — cicho! co ci w głowie... ptaka w klatkę posadzić, żeby prędzej zdechł? Wolę pod płotem jak matka a swobodny... Nie — nie...

— Zostań ze mną...

Dżęga głową trząsł — Nie — nie!... Przyjdę może; ale siąść! nie! nie! Ani ty mnie ani ja ciebie nie rozumiem... Ty myślisz, dziki zwierz, ja myślę, wyssana dusza... Nie — nie — ty płaczesz nademną, ja ciebie żałuję, mnie na uwięzi nie strzymasz...

Westchnął... począł myśleć, podniósł głowę powoli i mówił cicho.

— Wejdę do miasta jak w kocioł wrzątku... ludzie kipią... latają, oszukują się, okłamują, a jeden czatuje na drugiego... jak w górach. Tylko tam coś gada do duszy od gór, od chmur, od strumieni, od skał, a ja tu nic nie rozumiem... Jak się wsłucham w borowy szum... długo, zdaje się moim mówi językiem... mój brat... jak po deszczu z iglic polecą potoki z kamieniami... a poczną druzgotać drzewa i wywracać chaty... aż się serce raduje... a tu? ja i mowy nie chwytam. Obwinięta w złote powijacze, kości nie widać...

— Ale by ci spocząć czas... ojcze — odparła Lenora... i byłbyś przy mnie i ze mną, i odtęsknił byś się za górami, a nawykł tu.

— Oj! nigdy! nigdy! — rzekł cygan... mnie tu piecze...

I jakby się zląkł, żeby go nie zatrzymano gwałtem, potoczył wzrokiem, zerwał się z podłogi, kij wziął, siermięgę na koszulę zarzucił.

— Czas iść! — rzekł — dosyć tego gadania, ty za mną nie chcesz, ja z tobą nie mogę... bywajże zdrowa, dziecino!

— Nie — stanowczo wyciągając ręce ku niemu, zawołała

Lenora — nie, ja ciebie nie puszczę, musimy mówić jeszcze... kto wie, co wielki duch natchnie...

Cygan ruszył ramionami — On się nie przebłaga, to darmo... on białe dzieci lubi.

— Przyjdziecie? — natarczywie podchwyciła Lenora. Stary się zawahał.

— Przyjdę — rzekł — ale mnie tu długo żyć duszno... Głową skinął i powoli tym samym krokiem jak wszedł, popowlókł się nazad do drzwi. Lenora jak przykuta pozostała na łożu płacząc razem z siostrą Felicyą.

Cicho powtarzała tylko jakby sama do siebie — Ojciec! ojciec!

Po niejakim czasie otarła oczy i zwolna zapragnęła wstać z łóżka nie mogąc wytrwać w nieruchomości. Widać było, że ją myśl jakaś gniotła i miotała nią, że z nią walczyła napróżno. Siostra namawiała do spoczynku i skłonić doń nie mogła. Było coś chorobliwej gorączki w tym ruchu gwałtownym, a zdradzającym chwilowo bezsilność.

Po godzinnem prawie bieganiu po pokoju, Lenora uklękła się modlić — zanurzyła twarz w dłoniach i pozostała tak długo, ukorzona, płacząca znowu. Siostrze Felicyi nie pozostawało nic oprócz troskliwego nadzoru nad znękaną...

Gdy wstała, była uśmiechniętą już i spokojniejszą...

— Prawda, siostrzyczko — rzekła łagodnie — że dzieci mają względem rodziców obowiązki, równie jak rodzice dla dzieci?... prawda, że poświęcenie dla nich przedewszystkiem iść musi, przed szczęściem, spokojem... i osobistemi marzeniami nadziei?... prawda siostrzyczko moja, że...

Zamilkła nagle, jakby się zlękła, ażeby ją nie odgadnięto... zamyśliła się, zapłonęła, pocałowała Felicyą i spy-

tała znowu po chwili. — Wszak ja już jestem zdrową i silną?...

— Jesteś, kochana Lenoro, na drodze do wyzdrowienia i z pomocą Bożą siły odzyskasz, ale dziś jeszcze należy się szanować, nie poruszać zbytecznie ani sercem ani ciałem... i czekać łaski Bożej...

— Nie poruszać! — powtórzyła zadumana — a! jak ta rada serdeczna brzmi dziwnie, siostrzyczko moja; nie poruszać się ciałem, to zależy od człowieka — ale sercem?... jestże to w mocy ludzkiej?

— Potrosze — odpowiedziała siostra łagodnie — modlitwa daje ducha spokój...

— Módlmy się więc, siostro moja — rzekła Lenora — moja prośba nie wzleci pewnie ku niebu... ale twoja na skrzydłach zasług i świętości dójdzie tam pewniej; wesprzej mnie...

Uściskały się ze łzami...

Noc potem spędziła chora we śnie przerywanym jeszcze przypomnieniami modlitwy. Nazajutrz pragnienie zdrowia dodało jej siły... wstała rzeźwiejszą, prawie weselszą, a około południa tak krążyła chciwie przy fortepianie swym, iż uzyskała pozwolenie doktora zagrania na nim trochę. W tęsknych jakichś tonach, jakby wspomnieniach spiewów ludowych... rozlała się dusza spragniona, ze łzami na oczach grała i skończyła grę płaczem.

Siostra Felicya znajdowała, że ta gra zbytecznie na nerwy działała, zamknęła fortepian i schowała kluczyk do kieszeni. Lenora była posłuszna, poszła na łóżko z Naśladowaniem Chrystusa, po godzinie wstała do ręcznej roboty, i ku wieczorowi polepszenie zdrowia było widocznem.

Z choroby została tylko jakaś gorączkowa żywość i niepokój...

Z polepszenia, o którem się u drzwi od Kasi dowiedział, skorzystał zaraz Zbigniew, który czatował dawno domagając się, aby go wpuszczono, i wszedł nieśmiały a trwożny. Zdala go zobaczywszy Lenora podała mu rączkę z uśmiechem.

— Widzisz, mój dobry panie Zbigniewie, że jestem więcej niż konwalescentką, bo prawie zupełnie zdrową — zawołała — to siostra Felicya tylko utrzymuje, iż jeszcze mi coś brakuje... ale ja się czuję zupełnie dobrze...

I wstała chwiejąc się nieco na nogach.

— No, mów pan, co się z wami dzieje! czy posłuchałeś doktora? czy rozpocząłeś studya?

— Ja? — spytał Zbigniew — ale miałżem ja cokolwiek bądź rozpoczynać, o czemkolwiek myśleć, widząc panią cierpiącą i chorą?...

Lenora spojrzała nań z rodzajem współczucia aż do politowania zbliżonem.

— Panie Zbigniewie — rzekła — rozumiem twe dobre serce... ale masz inne i daleko większe, a świętsze niż względem mnie obowiązki. Ja dla was jestem cieniem siostry przybranej, a matka!

— Pani — zawołał Zbigniew — pani dla mnie jesteś nie cieniem siostry, ale ideałem dobra, cnoty prześladowanej i piękności.

— Ideałem! — powtórzyła smutnie Lenora — a! kochany panie Zbigniewie, ja już jestem na tym życia szczeblu, z którego ideału nie widać. Są słabe ziemskie

istoty... stąpające omackiem z mniej więcej dobrą wolą... Nie marz pan o ideałach... myśl o rzeczywistości.

— Możnaż nią wyżyć? — spytał cicho zbliżając się Zbigniew — powiedz pani sama, byłożby życie możliwem bez promieni ideału? Kto się może napaść do syta rzeczywistością i położyć spać... nie jest jeszcze człowiekiem. Iskierka Boża zdradza się w czci czegoś większego, niżeli świat dać może...

— Ale nie trzeba tej iskry oblekać w znikome ciało — odparła surowo Lenora — Upokarzasz mnie strojąc w tę szatę, której ja jestem nie warta...

I rozpłakała się cicho...

— A potem — dodała podnosząc nieco głos — ideał wcieliwszy w człowieka, kiedy się złudzenie rozpryśnie, traci się wiarę w ideały same. Dla tego trzeba je zostawić na gwiazdach...

Zbigniew stał milczący, słuchał a patrzał, i dosyć mu było. Z tych ust odebrać chłosty, jeszcze się szczęściem zdawało rozgorzałemu chłopcu...

Nagle wstała z łoża Lenora...

— Czy prędko będzie wiosna? — spytała — powiedz mi pan, czy prędko wiosna będzie?

— Jesteśmy wśród samej najsroższej zimy — odparł Zbigniew — ale dla czegoż pani mnie pytasz o to?

— Pragnę zieloności, wiosny, ciepła... jestem dziwaczką — odpowiedziała Lenora...

Zbigniew uważał ten zwrot rozmowy za umyślne odciągnięcie jej od pierwszego przedmiotu, a że bałwochwalczo pragnął zastosować się do woli swej pani, milczał nie wiedząc co mówić.

Siostra Felicya świadek, tej rozmowy, siedziała w kątku z książką, niekiedy ciekawie spoglądając to na chłopaka, którego cała postawa wyrażała uszanowanie i cześć, to na Lenorę, której twarz uśmiechała się współczuciem czystem, siostrzanem.

Zbigniew począł potem opowiadać o ogólnem usposobieniu umysłów, o podbudzonem życiu w kraju, o rozkwitających nadziejach... Rozmowa zwróciła się z tego na prześladowania Lenory i głos opinii publicznej w tej sprawie... Ile razy Zbigniew czulszą ją i więcej osobistą chciał uczynić, Lenora przeczuwając ten kierunek, wprowadzała go znowu na obojętniejsze jakieś opowiadanie...

Gdy się nieco poźno zrobiło... nie uspokojony wcale, nienasycony... młody chłopak musiał wreszcie odejść, chociaż i widzenie ideału i posłyszenie dźwięku jego głosu już dlań było szczęściem wielkiem; Lenora podprowadziła go do drzwi z życzliwością i uśmiechem weselszym, niż było usposobienie jej duszy — dała mu dobranoc, kazała się kłaniać matce i powróciła do siostry Felicyi zamyślona. Już miały po klasztornemu i wedle obyczajów szpitalu zacząć modlitwy wieczorne, gdy pani Laura, dla której wieczór świata wielkiego dopiero się rozpoczynał, wpadła wystrojona i pachnąca, jadąc na jakiś raut, aby swą protegowaną po drodze uścisnąć. Widząc Lenorę ubraną, stojącą przy łóżku, uderzyła w dłonie i głośno zawołała:

— A! to ślicznie, Lencia zdrowa!... a jak tylko wyzdrowieje tak, że doktor pozwoli wychodzić... daję wieczór. Lord się o to doprasza, wszyscy przyjaciele znajomi i nieznajomi błagają... Lencia będzie miała sukces... kolosalny!!

— Droga pani — całując ją w ramię odpowiedziała cy-

ganka — twe dobre serce może go dla mnie pragnąć; ale gdy sobie pomyślisz trochę... uwolnisz mnie biedną od tej teatralnej exhibicyi nieszczęśliwej ofiary prześladowania. Żebrać współczucia, oklasków, obchodzić tryumfy... a! daruj, nie potrafię.

Laura ruszyła ramionami.

— No, no! o tem potem, jeszcze nerwy poruszone... apeluję do uspokojonych, ale się nie wyrzekam... Ciekawość powszechna podbudzona... niesłychanie... każdy widzieć cię, mówić, zbliżyć się pragnie...

— Pani droga!! jak niegdyś pierwszą żyrafę — dodała Lenora — tacy są ludzie! Pierwszy lepszy Rappo lub Pastrana lepiej nademnie zaspokoiliby tę ciekawość.

— No, więc nie mówmy o tem. Przybyłam tylko mego kochanego kotka pocałować, zobączyć co się dzieje, uściskać dobrą siostrę Felicyą... spytać, czy czego nie potrzeba... oddać ukłon pełen poszanowania od Lorda (między nawiasami wszyscy ci go zazdroszczą) i... uciekam...

Na wspomnienie Lorda zarumieniła się Lenora, a pani Laura to postrzegła natychmiast i zanotowała po cichu — ale nie dała poznać po sobie.

Pożegnały się. Przyjaciółka siadła do powozu zaintrygowana tym rumieńcem i zamyślona dziwnie.

Że mu się mogła podobać! — myślała — to nic dziwnego, każdemu potrafi głowę zawrócić, nie wiele jest kobiet podobnych... ale z tego nic być nie może!! Lord się z nią przecie nie ożeni... chyba morganatycznie; cożby powiedziała rodzina spokrewniona z tylu królami! Ona ani żoną morganatyczną, ani kochanką jego nie będzie, nadto jest dumną... a zdaje się, że Lord głowę stracił i ona serce stracić gotowa... Po-

magać do tego nie godzi się... biednej dziewczyny spokój i przyszłość zawisły od jej znalezienia się... Już i tak gadają...

Ach! i ten blady kochanek w niewatowanym paltocie, który sypiał pod jej drzwiami... biedaczysko! Szczęście że się zaczyna uczyć medycyny... mówią, że to miłosne zapały ostudza...

Pani Laura zanadto już długo poświęciwszy się jednemu przedmiotowi, w tej chwili myślą wybiegła w inną stronę i zapomniała o Lenorze, Lordzie, Zbigniewie... i niedawnych odwiedzinach; nieszczęśliwa istota! tyle miała na tej biednej głowie!!

Zima zbliżała się ku końcowi. Lenora przychodziła do zdrowia. Siostra Felicya powróciła do klasztoru... pani Laura usiłowała napróżno wciągnąć protegowaną w świat wielki... Wszystkie jej namowy, prośby, gniewy nawet rozbiły się o wolę niezłomną sieroty, która stanowczo oświadczyła, że znajomości swe chce w małem bardzo kółku ograniczyć. Nie dziwacząc i nie dzicząc się bezpotrzebnie — bywała wprawdzie u pani Laury, ale nie inaczej, jak otrzymawszy od niej najuroczystsze zapewnienie, iż nikt przyjętym nie będzie nad tych, na których się obie wprzódy zgodziły.

Zwykle liczba tych wybranych bardzo była ograniczoną; należeli do niej czcigodny doktór, prawo obywatelstwa mający od niedawna Zbigniew, który się nawet o frak czarny postarał... a niekiedy tak zwany Lord... dopraszający się zbyt natrętnie tego szczęścia, zbyt poważnie i na pozór chłodno, aby mu w obawie następstw jakichś pani Laura wzbronić go mogła. Co się tyczy Lenory, ta nie mówiła nic przeciw, ale w zachowaniu się swem z nim była coraz zimniejszą, i stosunek ten trzymała z wielkim taktem prawie na tym stopniu, na jakim pierwszego stanął wieczora. Lord zrozumiał ją znać dobrze, bo poszanował wolę jej i poufalszego zbliżenia nie zdawał się żądać.

Resztę czasu spędzała Lenora u siebie w domu, w kościele, na przechadzce, doskonaląc się w muzyce, czytając wiele, myśląc więcej jeszcze.

Kasia tylko, która po kwartale pożegnawszy państwo Melchiorowstwo, przeszła w usługi pokochanej swej pani, dziwiła się nadzwyczajnie i gorszyła tem niepomału, iż osoba tak przyzwoita, tak wielkiego świata (jak jej się zdawało niebodze), mogła niemal co kilka dni przyjmować u siebie odartego, brudnego, dzikiego cygana... który całemi godzinami siedział u niej na ziemi, i albo słuchał grającej, albo coś mruczał lub cierpliwie dosyć dawał sobie coś mówić i czytać.

Poczciwa Kasia szanując tę tajemnicę swej pani, o której nigdy nikomu ani szepnąć nie śmiała, nie pytała jej, co znaczył ten cygan... przerażający ją... a nie przypuszczała, ażeby mógł być ojcem istoty tak pięknej, tak rozumnej, tak — jak ona mówiła d e l i k a t n e j. Słyszała o tem od Lenory, która się nie wypierała wcale ojca, ale wzięła to za niezrozumiałą fikcyą jakąś, nie dającą się rozumem garderobianej wytłumaczyć.

— Jak to może być jej ojciec? — mówiła sobie — rychtyk jakby ktoś powiedział na mnie, że ja hrabianka; ktoby temu uwierzył?

Pomimo kilkakrotnych pożegnań Dżęgi, który się ciągle w świat wybierał, Lenora cudem jakimś wstrzymać go przy sobie potrafiła. Z troskliwością macierzyńską chodziła około tej duszy zdziczałej, najeżonej niezrozumiałymi przesądy i trądycyami dziwnemi... milkła, gdy stary zapuścił się w swe szały i przekleństwa, słuchała go cierpliwie, potem zwolna zwracała rozmowę i wciskała w nią

jakąś inną myśl, jakieś pojęcie łagodniejsze, promienistsze, aby z niem starca oswoić. Dzęga nie rozumiał, ilekroć przyszło mówić o człowieku, jakim go nasze społeczeństwo Chrystusową myślą, niedołężnie ale na wzór wielkiego prototypu stworzyło; słuchał, śmiał się, szydził... wszakże Lenora spodziewała się zawsze, że jakiś prawdy odłamek utkwi w nim, jakieś ziarnko padnie w duszy zakątek i wyrośnie...

Po życiu spędzonem na włóczędze i walce z całym światem, sprzysiężonym przeciwko sobie, cygan pojąć nie mógł obowiązku i możliwości przejednania... Wreszcie wędrowne życie stało się dlań nałogiem, potrzebą, niebezpieczeństwo upajającym wyskokiem, bez którego obejść się nie mógł... niecierpliwił się spętany niewolą i bezczynnością. A jednak córka zatrzymać go potrafiła. Sam on dziwił się temu. Dniem włóczył się na końskie targi, ku Pradze, mieszał się w tłum, szukał swoich i czasem ich znajdował, siedział w szynkach słuchając gwaru ciżby i lubując w bitwie karczemnej, a wieczorem zachodził do swej Zary, siadał na podłodze i kazał sobie grać lub wyzywał do mówienia.

Bolesna to była rozmowa, bo ją Dzęga przerywał niekiedy tak cynicznemi uwagami, że lice dziewczęcia płonęło. Nie raz, ale niemal co dzień jej powtarzał:

— Co to ty żyjesz jak mniszka? czemu ty chłopców nie bałamucisz i nie obdzierasz! Toż to twoje lata, miałabyś od nich, co byś chciała... bo ładne liczko nie na to ci dała matka, żebyś je zakrywała?... Co ty ich masz żałować!...

I śmiał się stary... a Lenora spuszczała twarz zapłonioną.

Trudno nawet było od najpospolitszych rzeczy zwrócić Dzęgę do poważniejszej jakiej mowy... Gdy córki po-

woli usiłującej go uczyć słuchał, ziewał, i w końcu czuć było, że myśl uciekała gdzieindziej... a po chwili rwał się wychodzić. Napróżno szukała tej szpary, którąby do jaskini promień słoneczny mógł się wcisnąć. Po wyjściu Dżęgi klękała modlić się i płakać. Ten wysiłek miłości dziecinnej nużył ją, bezskuteczność jego przyprowadzała do rozpaczy... ale wytrwać było potrzeba. Cudem niemal nazwać się mogło to, że potrafiła od dnia do dnia najrozmaitszemi prośby, namowami, pochlebstwy, datkami starego przy sobie powstrzymać. Być może, iż zima ostra po części się też do tego przyczyniła; być może, iż porobione w Warszawie znajomości także na to wpływały — dosyć że Dżęga dotrwał do końca kwietnia. Ale gdy liście poczęły się pokazywać na drzewach, powietrze ocieplało... skowronek zaspiewał, niebo pojaśniało... lody przeleciały i reszty śniegu stopniały, cygan już za kij pochwycił i począł rwać się do drogi...

O stosunku córki do ojca, o jego częstych odwiedzinach, oprócz Kasi nikt prawie nie wiedział. Chociaż Lenora nie byłaby się taiła z niemi, wypadek więcej niż rachuba sprawił, iż nigdy nikt nie nadszedł na to, gdy Dżęga poufale na posadzce siadłszy podparty gawędził z córką, śmiał się z niej, półuchem słuchał, swoje prawił i godziny całe spędzał ucząc ją cygańskich pieśni, które nucił półgłosem, a ona mu potem grała je ułożone misternie.

Dżęga lubił muzykę tę, i nią kupić sobie mogła Lenora trochę uwagi, łaskawsze ucho, gdy potem powoli z niewyczerpaną cierpliwością nawracać go poczęła...

Jednego wieczora Kasia spostrzegła swą panią niespokojną wielce... modliła się długo ze łzami, siadła potem

pisać rozkazawszy jej iść spać... co dziewczę dopełniło z ochotą... Nie wiedziała nawet, kiedy pani świecę zgasiła... ale gdy rano obudziła się spiesząc do zwykłych zatrudnień... przestrach ją nadzwyczajny ogarnął — pani nie było w pokoju... Dwa listy leżały tylko na stoliku. Kasia umiała czytać, wysylabizowała adres jeden do doktora, drugi do Laury, i cała przerażona, zapłakana poleciała z niemi...

Doktor odczytawszy list załamał ręce, stał zadumany, poszedł natychmiast do mieszkania Lenory, aby je wziąć w opiekę, ale Kasia się nic od niego dowiedzieć nie mogła. Gwałtowniejszy skutek wywarło drugie pismo do pani Laury, która płacząc i lamentując biegała z niem po całym domu... I tu wszakże poczciwa sługa napróżno o kochaną panią pytała, nie odpowiedziano jej nic. Doktor kazał wprawdzie do pewnego czasu pozostać przy mieszkaniu i rzeczach dla dozoru, ale na nalegania dziewczyny, kiedy jej pani powróci, dla czego tak ukradkiem wyrwała się z Warszawy, nic odpowiadać nie chciał...

W parę dni dopiero po tem zagadkowem zniknieniu Lenory, które jej przyjaciele trzymali w najgłębszej tajemnicy, nadszedł nieszczęśliwy Zbigniew... Sługa miała sobie za obowiązek nie wyjawiać nic przed nim; powiedziała mu, że pani wyjechała, i że się chyba od doktora dowie coś więcej. Poleciał Zbigniew do niego... ale na pierwsze naglące pytanie odebrał tylko suchą odpowiedź, że panna Lenora dla pilnych interesów opuściła Warszawę. Chłopak znał nadto dobrze jej położenie, interesa, myśli, aby go takim ogólnikiem zbyć można... Zdziwiło go to, że wyjazd dla niego był tajemnicą. Wiedział o ojcu, domyślał się dawno, i dobadał że Lenora czuła się w obowiązku wyrwać

go z zatracenia; mimowolnie wbił więc sobie w głowę, że gotowa była pójść za niepoprawionym włóczęgą, aby go bronić od jego własnych zachceń i powolnie na inną starać się wywieść drogę.

Ta myśl utkwiła w nim, pozbyć się jej nie mógł; przeraziła go ona przypuszczeniem wszelkich niebezpieczeństw, na jakie Lenora narazoną być mogła... oszalał... W tej chwili obowiązki względem matki, rozpoczęta nauka, niepewność i nieświadomość zupełna miejsca pobytu Lenory, znikły mu z oczów, serce mu biło natarczywą jedną myślą: Iść za nią, bronić jej! ratować!

Z załamanemi rękami, blady, zbliżył się błagająco do doktora, przypadając przed nim prawie na kolana.

— Dobroczyńco mój — zawołał — wiem, że opuszczając Warszawę pisała do ciebie, zaklinam cię, proszę, powiedz mi, gdzie ona jest! Jeźli jej grozi najmniejsze niebezpieczeństwo, jeźli ja mogę się przydać na co! pozwól mi... spełnić najświętszy z obowiązków...

— Ale ja panu powiadam najuroczyściej, że nie wiem, gdzie jest panna Lenora — rzekł doktor...

— Przecież się ona wytłumaczyła przed panem, w którym miała zaufanie, z tego odjazdu tak nagłego!

— Wytłumaczyła! nie! — odparł doktór — to krok, który się nie daje niczem wytłumaczyć, prócz nadto dobrego serca, a bardzo obałamuconej głowy jakąś dziwną egzaltacyą!

— Ona poszła za ojcem!!

Doktor spojrzał na niego bacznie i zamilkł.

— Widzisz pan — odparł Zbigniew — że ja potrafiłem odgadnąć jej bohaterstwo! jestem pewien, żem przyczynę

tę przeczuł, zrozumiał... Nic mi nie pozostaje, tylko iść za nią!

— Dokądże? dokąd? — zapytał doktor ruszając ramionami.

— Albo ja wiem! dokądkolwiek bądź! szukać jej...

— Wiatru w polu! — przerwał stary — to się nie zdało na nic! Matkę waćpan opuścisz, naukę przerwiesz, ucierpisz, zmęczysz się i nic nie zrobisz...

— Matce oddam co mam... polecę ją... uspokoję, naukę muszę odłożyć... a ratować ją powinienem i tego dopełnię.

— Kochany panie Zbigniewie, jest to na pozór heroizm, ale w istocie bałamuctwo... Młody oszalałeś za tą dziewczyną, i nie uczucie obowiązku ale cię miłość prowadzi...

Zbigniew się zarumienił cały...

— Panie — zawołał gorąco uderzając się w piersi — ja sam nigdy myśli tej przed sobą wypowiedzieć nie śmiałem! Byłoby zuchwalstwem abym ja... ja, biedny, ubogi, nie godzien patrzeć na nią, śmiał inaczej kochać tę istotę... tylko jak promieniste bóstwo...

Jeźli ona poświęcić się chciała dla ojca, o czem nie wątpię — to ja obowiązany jestem wszystko rzucić dla niej i lecieć na ratunek... Ona była dla mnie opiekunką, nauczycielką, przewodniczką, wszystkiem... byłbym niewdzięcznym, gdybym tu pozostał spokojnie... Pójdę...

Stary doktór popatrzał nań, poszedł do szuflady biórka, dobył z niego list i milczący dał mu go do czytania.

Pismo było następującej treści:

„Szanowny panie, ty coś mi dał tyle dowodów swej przyjaźni, nie potępiaj mnie za krok, który świat nazwie

dziwactwem, jeźli weń uwierzy, lub szukać w nim będzie innych pobudek nad te, co mnie do niego skłoniły. Na ziemi całej mam tylko jednego — ojca, nieszczęśliwego tułacza, którego niedola długa zwichnęła; jestem obowiązaną wszystko dlań poświęcić. Idę z nim, za nim, dopóki go skłonić nie potrafię do odmiany życia i nie pociągnę za sobą tak, jak dziś on mnie ciągnie uczuciem obowiązku. Czyż wiem jak, kiedy a nawet czy powrócę? Weź w opiekę mienie moje i racz je zachować, a jeźliby mi przeznaczonem było — nie zobaczyć was więcej, nie wrócić nigdy, rozporządź tem, co znajdziesz, na rzecz sierót i ubogich, takim losem jak ja dotkniętych. W tym podziele nie zapomnisz poczciwego Zbigniewa i jego matki. Z uczuciem ściskam zacną dłoń twoję — w Bożych rękach losy nasze — przyszłość ciemna, a co każe sumienie, bądź co bądź spełnić potrzeba. Żegnaj mi zacny panie...“

Zbigniew odczytał list cały żywo, szybko, a przekonawszy się, że go nie omyliło przeczucie, obawiając, aby doktor nie odwodził od postanowienia, które powziął (gonić za Lenorą) — położył tylko pismo drżącą ręką na stole i skłonił się wzruszony, chcąc odchodzić.

— Czekaj pan — zawołał doktor — cóż myślisz? bądź otwartym, naradzimy się.

— Dziś, natychmiast puszczam się w pogoń...

— Nie tak jestem temu przeciwny, jak może sądzisz — rzekł doktor — nie radzę, nie namawiam, bo czuję, że to nie twoja rzecz... Gdyby kto inny... nie mówię. Ale jeźliś się już uparł, to powiedz przynajmniej, co myślisz robić? Gonić! nie sztuka wybiedz w świat; ależ potrzeba planu, trzeba śladów jakichś... wskazówek...

— Pan mnie nie uznajesz do tego zdolnym? — zapytał Zbigniew.

— Właśnie dla tego, że przedsiębierzesz z gorączką, co należy czynić z rozwagą chłodną...

Zbigniwowi oczy zabłysły żywiej niż zwykle, uderzył się w pierś.

— Znajdę środki... odszukam ślady... wierz mi pan...

Chciał już odejść.

— Czekaj jeszcze — przerwał doktor — nie masz grosza przy duszy, matki bez zapasu zostawić nie podobna... pożyczę ci ile potrzeba.

Młody chłopak się zarumienił, ale na ten raz jako pożyczkę musiał przyjąć ofiarowaną pomoc, która mu przychodziła jak przez opatrzność zesłana... Doktor wcisnął w rękę papiery dobyte żywo z pugilaresu, a w chwilę potem Zbigniew już biegł ulicą ku Dziekance.

Matce nie sposób było się przyznać do zamierzonej pogoni, musiał ją przed nią utaić; powiedział, że go wysyła doktor za swoim interesem, zostawił część pieniędzy, odebrał paszport i mimo spóźnionej pory byłby tego samego dnia wyruszył, gdyby miał jakiekolwiek wyobrażenie o tem, dokąd mu jechać należało. Toż samo przeczucie, które mówiło, iż Lenora poszła za ojcem, wskazywało mu Karpaty jako okolicę, w której najprędzej Dżęga się mógł schronić i córkę za sobą pociągnąć. Wieczór jednak poświęcił wywiadywaniu się dość trudnemu i poszukiwaniu śladów cygana. Pomógł mu do tego towarzysz niegdyś szkolny, zajmujący teraz jakąś maleńką posadę w ratuszu i lepiej nad niego obeznany z ruchem ludności i stosunkami Warszawy.

Przez niego mógł się Zbigniew dowiedzieć o cyganie jakimś na Pradze, zastępującym miejsce uczeńszego weterynarza, o którym nie wątpił, że z Dżęgą w czasie jego pobytu w Warszawie musiał być znajomy. Cygan, acz przebywający prawie ciągle i kręcący się około końskich targów, i tu wiódł życie koczujące... Nie miał on stałej siedziby, nocowywał po szynkach, we dnie się włóczył, widywano go czasem codziennie w jednem miejscu, potem tygodniami znikał. Na ten raz znalazł się wszakże zajęty bardzo jakiemiś podejrzanemi naradami ze starozakonnymi faktorami i handlarzami koni. Był to słynny podrabiacz zębów, odmładzający szkapy cudownie i z bezrejestrowych, starych koni umiejący tworzyć sześcioletnie rumaki.

Mały, gruby, czarny cygan Hurda palił fajeczkę węgierską i wziąwszy się w boki szeptał to jednemu to drugiemu izraelicie coś do ucha, przymrużając naprzemian oczy, gdy Zbigniew go odciągnął na bok, naprzód ułagodził go miodem, co obudziło w cyganie podejrzenie, potem przystąpił do rzeczy i zapytał, czy znał Dżęgę?... Hurda mierzył go nieufnemi oczyma, fajkę cmokał, odpowiadać nie chciał, mruczał, ale gdy się chłopak wygadał, że mu nie o cygana, ale o córkę jego chodziło, upewniwszy się, że to sprawa kobieca, przyznał się, że Dżęgę widywał.

Długo się potrzeba było targować, nim cygan zdradził cygana za ów nieszczęsny biały grosz Judaszowski, co tak ludzkie psuje serca. Schowawszy do kalety podarek, Hurda napomknął, iż najpewniej udać się musiał ku Galicyi i Węgrom, bo on tam szczególniej przebywać nawykł i znał dobrze oba Tatrów stoki... dowodząc garstkom cyganów, włóczących się po jednej i drugiej stronie na prze-

miany. Radził więc Zbigniewowi udać się do Krakowa, a ztamtąd najbliższą drogą ku Tatrom, dopytując po gospodach... w których Lenora nie mogła przejść nie postrzeżoną, acz — jak domyślał się Hurda mrugając oczyma — przebrać się pewnie musiała idąc za ojcem...

Skazówka nie wielkiej była wartości, cygan dawszy ją, uśmiechał się i siedział, jak gdyby jeszcze co miał na sprzedaż... Wyciągnął jeszcze białego, jak zwał rubla, z kieszeni Zbigniewa, i dopiero wypiwszy miodu przyznał się szczerze, że Dżęgę idącego z córką widział na Pradze...

— Hej ładnać bo cyganka! — śmiejąc się dodał stary — jabym się sam z nią ożenił... ja jej to mówiłem, ale harda ani przystępu... a tobie, paniczyku chyba że głowa świerzbi na karku... inaczej za nimi bym iść nie życzył... cygany jej nie puszczą, kiedy ojciec odebrał ją, musi pójść za naszego chłopca... i wy jej już mieć nie będziecie...

Wzdrygnął się na tę myśl Zbigniew i nic nie odpowiedziawszy wstał z za stołu; którędy poszli — nie chciał czy nie umiał mu powiedzieć Hurda, zapewniał tylko, iż konia i wóz kupić mieli i że Dżęga starą cyganicę wziął do posługi i twardej roboty, aby córki nie męczyć.

Klapnął go po ramieniu napity cygan na odchodnem, popatrzał w oczy i dodał:

— Darmo, paneńku buty zedrzecie, ja wam mówię darmo... stary Dżęga mądrzejszy od was... Albo on ją swojemu zaślubi, albo... na Węgry zawiezie i jakiemu grafowi sprzeda, wszak to jego krew... A co jej złego będzie, jak bogaty pan weźnie na zamek i ojcu dobrze za nią zapłaci? — Machnął ręką — Żebym ja taką córkę miał,

dalipan bym nie co zrobił innego... Dla cygana to już za delikatne, bo jakby raz i drugi kijem wyłomotał, to by kości połamał; dziecka na plecach nie dźwignie, zimna nie zniesie, zdechłego mięsa nie będzie jeść... a to u nas wszystko się trafia...

Jeżeli masz dużo, dużo pieniędzy... to jeszcze... a jak mało co... to ty jej nie dostaniesz... darmo się nie puszczaj... Ojciec chytry! ja go znam, on raz mając taką lalkę, za lada co nie odda... a ona mu się nie wyprosi, ani wy nie wymodlicie...

A! no — jak wola!!

Dojeżdżając ku Zakopanemu, gdy w pogodny dzień łańcuch gór oświecony słońcem zachodu ukaże się przed oczyma podróżnego w całym swym majestacie, ze śnieżystemi głowy, z poszarpanymi boki, z iglastymi szczyty, z czarnymi pasami lasów jodłowych, wyglądających jak podarta opadająca do stóp szata ciemna — mimowolnie uroroczysty jakiś smutek duszę ogarnia... Im bliżej ku tej bliźnie po tysiącoletniej ranie zadanej ziemi — tem kraj staje się dzikszy, puściejszy, cichszy. Gdzieniegdzie łoże strumienia zasiane kamieniami a wyschłe, i choć wyschłe groźne — rozdarta ziemia, którą sączy się górski potok, mogący wezbrać co chwila i rozlać na pola, po nad nim obnażone głazy, kupki jodeł, chaty ciemne... zagrody ubogie i gdzieniegdzie z gromadki drzew ciemna kościółka wieżyczka wygląda. Czuć, że tu już ludzie dotarli do granicy mieszkalnej, że dalej po za wsie u podnóża Tatrów, człowiek wdrapać się tylko może na chwilę i chronić musi przed siłami, które tym światem władną, a których on nie zmoże. Dalej pustynne doliny, cisza... szumią bory, wiatr Shakespearowskie odgrywa dramata, wody mruczą złowrogo... i ledwie postrzeżesz zwierzę... Świat czarów, niezawładnięty przez człowieka, do którego się on wkrada i ucieka; tu lecą legendy, tu mieszka bajka, tu chronią się duchy... tu stare wygnane pieśni drzemią na gałęziach jodłowych...,

A mimo tego smutku, który krainę obwiewa — jest ona cudownie piękna, swą wdowią żałobą po życiu, którego niedopuszcza... kraina ta pustelnicza, która chce być martwą... i musi być niegościnną, bo by nie była gniazdem natchnień, pieśni, snów i legend czarownych. Broni się ona oblężona przez człowieka — króluje jej tylko Bóg...

U stóp jej wsie zdają się pokornie leżeć jak u nóg królowej i z przestrachem patrzyć na nią... Ztamtąd lecą burze, leją się wody, spadają skały... dziś świeci się gór onych sznur jak korale krasnych... jutro sino i żałobno na niebie szarzeje... i obwiały go mgły i porwały chmury, utopił się w obłokach — znikł. Co tam się dzieje z tymi szczyty, w tych dolinach, gdy się one zakryją przed oczyma człowieka, Bóg jeden wie. Czasem nie widać ich długo, aż jednego poranku ów całun porwą wichry, i wstają Tatry obmyte, jasne, wesołe... jakby z wędrówki do niebios wróciły.

W jednej z tych podtatrzańskich wiosek, które żyją nie z ziemi ostygłej, ale z przemysłu różnego i wędrownej pracy... nad gościńcem, wijącym się obok wyschłego łożyska potoku, który powyrywał pokłady skał jakichś szarych, jakby ręką duchów w mur regularny poukładanych... stał na wzgóreczku drewniany kościółek, zbyt może na tę osadę obszerny, ale też kilku sąsiednim służący za parafią... Obok widać było plebanią z ogródkiem, a nad samą drogą, naprzeciw murowanej figury, w której wyżłobieniu stał posąg Zbawiciela, wznosił się wedle odwiecznego obyczaju szpital... dla dziadów i babek kościelnych. Odznaczał go wielki krzyż drewniany u drzwi, a w prawo i w lewo dwa przedwieczne także obrazy mocno wyblakłe... Na jednym z nich artysta wystawił Łazarza napół nagiego ze zwią-

zaną głową, któremu rany psy litościwe lizały; na drugim świętego Rocha w pielgrzymskim stroju, u którego stóp coś nakształt nieboszczyka żółtego niegdyś musiało istnieć, teraz została tylko plamą form nieoznaczonych. Szpital zresztą wyglądał wcale porządnie, miał przytykający doń ogródek wawrzywny i dzielił się sienią na przestrzał otwartą na dwie połowy, męzką i żeńską.

Nigdy mu nie zbywało na mieszkańcach, bo gdy jeden dziad zmarł lub babka skończyła życie, natychmiast zjawili się kandydaci do zajęcia posady, przez fundacyą któregoś z kolatorów domowych nader korzystnie uposażonej. Wiadomo było powszechnie, iż tu czterym szczęśliwym wybranym działo się dobrze, mieli ordynaryą i ogród, chleb, a że przy kościółku bywały odpusty i w kruchcie zajmowali miejsca uprzywilejowane, roboty zaś koło kościoła i posługi było nie wiele — trafiało się, iż po zmarłych szpital brał w spadku aż do kilku złotych...

Nieszczęściem ten dobry byt fatalnie wpływał na charakter mieszkańców szpitalu, który dawny proboszcz przezwał był G o s p o d ą u t r a p i e n i a — z powodu kłótni nieustannych i bijatyki nawet częstej pomiędzy babami i dziadami. Nie było dnia bez hałasu i swaru. Spory sądził organista, sądził proboszcz, czasem arendarz, a nigdy ich radykalnie odsądzić nie było podobna. Skończone wieczorem odradzały się rano z nową gwałtownością i zawziętością wzrastającą. Wieś nawet brała udział w kłótniach, sympatyzując wedle usposobień z jednem lub z drugiem stronnictwem. Proboszcz z tą g o s p o d ą u t r a p i e n i a miał męczarnię nieustanną. Śmierć nawet nie mogła

położyć tamy raz zaszczepionemu duchowi rozterki, kandydat nowy po kilku dniach poświęconych obeznaniu się z położeniem, podejmował po nieboszczyku pozostały spadek.

W chwili, gdy nam zajrzeć wypada do gospody utrapienia, była ona zamieszkana przez liczbę zwykłą ubogich. Dwie baby i dwóch dziadów — Dominikowa i Basia składały armią amazonek; niepoczciwie przezwany Hycel i Strzemeczny... drugą. Cała ta ludność szpitalna mimo nieudolności do pracy i różnych dolegliwości, z których się wylegitymować musiała dla przyjęcia, wyglądała wcale nie źle. Dominikowa podobna była do beczki otyłością, a do pieczonego jabłka cerą i kolorytem twarzy. Basia była chuda niezmiernie, skóra i kości, ale krzyczała za wszystkich, gdy w pasyą wpadła. W pasyą zaś wpadała kilka razy na dzień. Męczyzna zwany niefortunnie hyclem, a w przyzwoitszy sposób kulasem, chodził o jednej kuli, miał nogę skrzywioną, a mimo to zręczny był i zwinny niezmiernie. Strzemeczny bodaj czy nie stary żołnierz, który latem i zimą chodził w kożuchu, milczał, nie odzywał się nigdy, ale przyprowadzony do niecierpliwości bił bez miłosierdzia.

Ze wszystkich on może był najlepszym, i jemu też było poruczone moralne zwierzchnictwo nad tą rzecząpospolitą... dawał rady kulasowi, babom nigdy... Nienawidziły go, bały się, skarzyły nań bezustannie... i raz mu nawet jakichś grzybów nagotowały niezdrowych; ale Strzemeszny miał swoje sposoby, przechorował się i nie umarł. Od tej pory obudzał jeszcze większy szacunek w płci niewieściej. Miano go za człowieka, który coś zna — za czarownika.

Mieszkańcy wioski, przechodzący tego wieczora przed szpitalem, mogli być wielce zdziwieni fenomenem tak niezwyczajnym, iż by mu zaledwie wiarę dać można. Przed progiem bowiem tej gospody utrapienia stali w jedną kupkę zbici, szepcząc coś po cichu, wszyscy mieszkańcy jej... Dominikowa w chustce białej na głowie, Basia z fartuchem do twarzy podniesionym, kulas zażywający tabakę z rożka, i nawet Strzemeczny z pochyloną jak do pilnego przysłuchiwania się głową.

Rozmowa toczyła się pocichu, tajemniczo...

— Jakby doktor był albo cyrulik — mówiła Basia — możeby jego jeszcze odchuchali... ale my jemu rady nie damy... Gdzie do Zakopanego po cyrulika! Księdza nie ma, pojechał do drugiej wsi z panem Bogiem... organista na łące... a choć my niejedno ziele znamy... ale zkąd go tak prędko wziąć... On taki dójdzie... i tylko bieda z nieboszczykiem... póki pochowają...

— Jabym go była z gościńca nie brała do szpitalu... odparła Dominikowa — a co nam do tego!

— Ta! — rzekł kulas — a jakby się był ksiądz dowiedział... co by było!

— A co by miało być? toćby nie zjadł.

— I kto go wie, co to za jeden — paplała Basia... koszula na nim cienka... bawełniana... twarz biała... odzież miejska...

— Czy co gadał?

— Nie, ino jęczał... Pobity był strasznie... sińców a krwi więcej niż zdrowego ciała... a głowa-ć, miły Boże, jakby ją z moździerza wyjął...

— Nie chybi to te cygany, co się tu włóczyły!

— A no, pewnieć nie kto.

— I musieli go odrzeć?

— Kulas patrzał przy nim, nawet kaletki nie znalazł...

— Coby mu teraz po kaletce, kiedy lada chwila Bogu ducha odda...

Rozmowa podsycana przedmiotem, dostarczającym obfitego materyału do uwag i domysłów, byłaby pewnie się przeciągnęła długo, gdyby na gościńcu wózek nie zaturkotał.

— Otoż nie chybi Jegomość jedzie!

— On pewnie...

— Niechże Strzemeczny pójdzie mu odraportuje zaraz, żeby jeszcze biedy nie było — rzekła rozumna Basia — choćby go wydysponował na śmierć.

Milczący Strzemeczny nie lubił, ażeby mu coś radzono lub nakazywano; znajdował, że na własny użytek ma dosyć rozumu, na ten raz jednak zgodził się ze zdaniem Kasi i pociągnął ku plebanii, przed którą w istocie wózek się zatrzymał.

Kulas, Dominikowa i Kasia, pozostali przed szpitalem w oczekiwaniu dalszych wypadków, gdy po krótkiej chwili ksiądz złożywszy z siebie komżę i stułę, nadszedł niespokojny, prowadził go Strzemeczny już znowu po swojemu milczący... Proboszcz był młody jeszcze człowiek, zdrów i silny, energicznie wyrzeźbionej twarzy i jak przystało na ojca duchownego górskiej okolicy zahartowany; pominął kupkę szpitalną, która go pozdrowiła, i co najprędzej wszedł do izby...

Tu na tapczanie podesłanym słomą i narzuconym grubem prześcieradłem leżał człowiek — czy trup człowieka, okrwawiony, potłuczony, bezwładny. Zbliżywszy się do-

piero dostrzedz było można, iż w piersi tej, okrytej poszarpaną jakby w gwałtownej walce odzieżą, biło jeszcze serce... Krew w części już poprzysychana okrywała ręce, skronie, broczyła suknie. Twarz była młoda, przystojna, ale znękana blada i wycięczona... Z sukni domyślać się należało, że nieszczęśliwy ów, jeźli nie należał do wyższych, jak je zowią, klas społeczeństwa, nie pochodził też i z ludu. Ręce miał nie zapracowane, płeć nie tak ogorzałą, rysy wyszlachetnione pracą ducha i spadkiem pokoleń może oderwanych od trudu bezmyślnego... Widocznie nie był to chłopak zamożny, ale musiał, jak teraz się to zowie, należeć do inteligencyi. Proboszcz potroszę był lekarzem, a namiętnie oddawał się we wszystkich wypadkach obowiązkom miłosierdzia, miał więc pewną wprawę i doświadczenie. Nie raz potłuczonego przywieziono mu górala, lub po bójce nieszczęśliwej jaką ofiarę karczemnego sporu... Kazał natychmiast przynieść ciepłej wody dla obmycia ran, posłał do plebanii po bandaże i szarpie, a sam nieodchodząc już zwolna badał znaki życia... Tymczasem kulas, który się przywlókł, opowiedział mu, że kobiety, które chodziły po grzyby, pierwsze postrzegły zbroczone ciało i dały znać do szpitalu; że oni czuli się w obowiązku pobiedz na niezbyt odległe miejsce, gdzie ono nad drogą w krzaki zaciągnięte leżało, że pobity człowiek ani słowa już odezwać się nie miał siły, gdy go znaleziono... i — nakoniec, że widziano w okolicy włóczącą się bandę cyganów węgierskich, która wedle wszelkiego podobieństwa musiała pepełnić na nieznajonym podróżnym morderstwo...

Proboszcz wysłuchał szczegółów z uwagą, pochwalił swoim podkomendnym ich gorliwość, a doczekawszy się

wreszcie z plebanii przyborów i chłopaka, rozpoczął opatrywanie ran...

Wszystkie one pochodziły widocznie od tępych narzędzi, obuchów i kijów, parę tylko cięć zdawało się zadanych góralskim toporkiem... Głowa, ramiona, piersi, boki całe były w sińcach i krwawych stłuczeniach... a silne uderzenia w czaszkę musiały spowodować wstrząśnięcie nerwów i tę bezwładność chorego. Strzemeczny, który jako dawny żołnierz z rannymi nieraz miał do czynienia, i chłopak przybyły pomagali proboszczowi do obmycia i obandażowania nieznajomego, który zdawał się rozbudzać, jęczał i coraz wyraźniejsze dawał życia oznaki.

Proboszcz troskliwy o pacyenta kazał go z tapczanem ostrożnie przenieść na probostwo, a sam zaraz posłał po chirurga do Zakopanego. Zdawało mu się, że nim ten przybędzie, zwilżenie ust wodą, trochę ciepłego napoju nie mogło zaszkodzić a przyczyniłoby się do rozbudzenia życia. Wlano więc w usta ściśnięte kilka łyżek wody a potem rosołu. W istocie proste środki te zdawały się pomagać nieco tak, że symptomy życia coraz były wyraźniejsze... z czego proboszcz cieszył się niewymownie. Pobity jednak jęknąwszy, wymówiwszy kilka wyrazów usypiał znowu.

Nad wieczorem nadjechał chirurg, który tu w pustyni u stóp Giwonta zwał się już po prostu panem doktorem, a dla dawnych tradycyi fizykiem. Był to człowiek nie wielkiej nauki, ale ją zastępowało doświadczenie długie; jął się więc środków, których skuteczność była mu znana... Opatrzenie czaszki przekonało, iż kość nigdzie nie była uszkodzona, ale skóra poprzecinana i wstrząsnięcie bardzo

możliwe. Wiedział przybyły, po co go wieziono; zabrał więc z sobą, co wedle wszelkiego podobieństwa posłużyć mu mogło, miał lekarstwa i spędził noc z proboszczem razem przy łożu chorego.

Młodzieniec ów, w którym doświadczony czytelnik domyślił się już łatwo biednego Zbigniewa, obudzał we wszystkich i litość i nadzwyczajne zajęcie; podróżni w tej porze roku wczesnej około Tatrów nie są zjawiskiem powszedniem, nie umiano sobie wytłumaczyć gdzie i po co zapuścił się biedak sam jeden bez przewodnika. Gdy się wieść o nim rozniosła po osadach sąsiednich, żyd arendarz z niedalekiej wioseczki przypomniał sobie, że młody podróżny, polak, ale mówiący nie po krakowsku, był u niego przed parą dniami, odpoczywał, a co dziwna rozpytywał o cyganów i o jakiegoś Dżęgę.

Ale co za stosunek mógł łączyć go z włóczęgami, trudno się było domyśleć. Dżęgę tego i po węgierskiej i na polskiej stronie znano z dosyć złej strony jako przywódzcę łotrzyków, którzy po gościńcach dokuczali. Posądzano go o parę zasadzek na pustynnej drodze, wiodącej przez kościelecką dolinę. Nigdy mu wprawdzie nie dowiedziono niczego... ale obawiano go się powszechnie. Przez niejaki czas nie było go widać, teraz znowu i on i parę gromadek cyganów zsunęło się z Węgier i koczowało u podnóża Tatrów... To co dawniej nie zwracało zbytecznie uwagi, teraz z innej widziane strony zajmowało... Tu i ówdzie mówiono o Dżędze, przy którym miała być cudnej, nadzwyczajnej piękności cygańska dziewczyna, ubrana wedle ich obyczaju, ale bogato i wytwornie. Mówiono, że to była córka Dżęgi, gdzieś na Węgrzech wychowana, za którą

dwóch Węgrów majętnych latało, a kto ją zobaczył, szalał...

Te i tym podobne historye z dodatkiem wszystkiego, co ludzka fantazya na najsłabszem rusztowaniu wieszać zwykła... krążyły po wsi... obijały się o probostwo, gdy w parę dni, za staraniem zacnego proboszcza i wprawnego chirurga, nieznajomy począł przychodzić do przytomności, odzyskiwać siły i mowę...

Lekarz zaręczył, że życie już zagrożonem nie jest, ale następstwa ran przewidzieć nie mógł. Umysł zdawał się cierpić od jakiegoś uszkodzenia wewnętrznego mózgu— symptomata te jednakże zwolna samą siłą młodości zabsorbowane zostały... Proboszcz nie był natrętnym w początkach, jakkolwiek ciekaw wielce wstrzymywał się od pytań; dopiero gdy Zbigniew podniósł się już oprzytomniawszy zupełnie, łagodnie o nazwisko, stan i przygody badać począł. Wymagał tego porządek sam, bo występku nie można było bezkarnie puścić... i należało choćby sprobować... jakiegoś sądowego dochodzenia.

Gdy się z tem odezwał ksiądz, Zbigniew zarumienił się mocno i począł go zaklinać na wszystko w świecie, ażeby z tego wypadku nie wysnuwano żadnej sprawy. Pod pieczęcią największej tajemnicy wyznał on proboszczowi... jeśli nie całą prawdę, to jakąś jej cząstkę, która przygodę mniej więcej tłumaczyć mogła. Przyznawał się, iż gonił za bandą cyganów ujęty wdziękami córki starego Dźęgi, że to ściganie ich rozjątrzyło na niego, i ostatecznie po kłótni, do której on dał przyczynę... został tak okropnie pobity... Proboszczowi dało to wcale nie szczególne wyobrażenie o młodym człowieku w takich stosunkach

z cyganami zostającym. Wiele rzeczy nie rozumiał, wiele znajdował ciemnemi, ale chorego, póki potrzebował spokoju, drażnić nie chciał.

Rzecz w istocie miała się cale inaczej. Prawdą tylko było, że Zbigniew szedł w ślady Dzęgi, że parę razy się prawie z jego gromadką zetknął, ale Lenory ani starego nie widział. Cygani mieli swych szpiegów i powody do tego, by ich śledzenie i pogoń nie niepokoiły... Dowiedziawszy się o młodym człowieku, który włóczył się za nimi, dopytywał, śledził... domyślając w nim pewno jakiego donosiciela, szpiega czy urzędnika, nasadzili nań kilku silnych drabów i wprowadzonego w pustą dolinę niemal w śmierć pobili... za trupa już rzuciwszy, po odarciu z tego co miał przy sobie. Zbigniew dlatego nie wyjawiał całej prawdy, iż się lekał ścigania Dzęgi i tem samem Lenory, która z nim razem w ręce sprawiedliwości wpaść mogła. Pomimo to posądzenie na bandę było powszechne, urząd natychmiast w ślad za nią wyprawił... ale się dowiedziano, że już przebrać się na Węgry potrafiła...

Owocem całej podróży Zbigniewa, który Lenorę pragnął ratować, było, że omal życia nie stracił. Wyszedłszy z niebezpieczeństwa jednak, musiał pozostać w gościnnej plebanii, gdyż podróż była dlań niepodobieństwem. Dla proboszcza opatrznościowy to był i nad wyraz miły towarzysz.

W tym zakątku ciasnym, człowiek więcej ukształcony, zmuszony z poczciwym ale prostym ludem obcować, cały w sobie zamknąć się musi, i wszystkie myśli wznioślejsze go duszą, idey, z któremi się wynurzyć nie może, przygniatają.—Po długiem takiem milczeniu, rozmy-

ślaniu, gdy się znajdzie ktoś co zrozumie, z kim myśl i słowo wymienić można, jakie to wielkie szczęście i jaka roskosz dla ducha. W tem położeniu będący proboszcz przywiązał się niezmiernie do poczciwego Zbigniewa, chociaż litując się nad nim podejrzywał go z błędnych i niejasnych wnosząc tłumaczeń o jakieś w życiu zboczenia; ale chrześciańską miłością ludzkie usterki osłaniał, spodziewając się poprawy. Dziwiło go niezmiernie, iż Zbigniew, na którego padały domysły dziwne konszachtów z cyganami, we wszystkiem innem okazywał mu się najszlachetniejszym młodzieńcem... Ze wszech miar był on dla niego zagadką.

Po węgierskiej Tatrów stronie, nieopodal od granicy i od drożyny, która mało komu znana wiodła przesmykami, wąwozami, po nad łożyskami potoków, krytymi chody wśród jodłowych gąszczy, w maleńkiej dolinie zewsząd osłonionej spadzistymi gór stokami, zębato wystającymi ku niebu... rozbity był mały obóz cygański... Składało go zaledwie osób kilka... stary Dżęga, który z fajką, oparty na łokciach, leżał za ziemi wyciagnięty milczący... z dzikim twarzy wyrazem, stara odarta chuda z rozpuszczonemi czarnemi włosy, płachtą obwinięta cyganka, chłopak napół nagi w kuczki siedząc przy wygasłem ognisku... i opodal na kamieniu zamyślona... dziewczyna.

W tej ostatnej najwprawniejsze oko nie byłoby poznało gwiazdy salonów warszawskich. Nowy całkiem strój na sposób cygański, chłód, powietrze, niewygody, niepokój, nie zgasiwszy nadzwyczajnej piękności tego oblicza zmieniły je i przekształciły, z dosyć oryginalnego w salonie czyniąc zjawisko poetyczne jakieś, dziwne, urocze wdziękiem, który daje cierpienie nad siły, egzaltując do szału...

Tych czarnych oczu dwoje teraz świeciły nie jak dwa dyamenty, ale jak dwie nocne pochodnie, które płoną ognia ostatkiem... W poruszeniu ust, zmarszczeniu czoła znać było walkę żywota jakąś i czuwanie bez końca... Schudła, zczerniała, wydawała się zmęczona, ale jak żoł-

nierz w boju rozgorączkowana razem. W tej chwili patrzała na szczyty gór, na lasy, w dolinę okiem obojętnem... znękanem... bezmyślnem, znać było, że dusza poszła gdzieindziej. Chłód wieczora dawał się czuć w osłoniętej dolinie... milczącej jak grób... Nawet lasy nie szumiały... Zdala potok jednostajnie jak zegar pustyni mruczał biegnąc po kamieniach... Różowe skał porosty wiały tu dziwną wonią fiołków, która czasem odurza jak jest silną... a czuć w niej jakby kruszczowego kwiatu zapachy... Mieszały się z niemi jodeł smolne wyziewy, i zapach traw i zgorzelizna ogniska, od którego dym przybity rozpościerał się po łące... Para koni, wyprzężonych z wozu, pasła się na łące i niekiedy prychaniem przestraszała... Na niebiosach złociły się chmury od słońca, którego promienie zwolna ze szczytów znikały. Szafir czystego nieba coraz ciemniał, wieczór nadchodził... Chłopak drzemał skurczony, stara cyganka znosiła gałęzie mrucząc... Dżęga zamyślony leżał...

Lenora, którą ojciec Zarą nazywał, siedziała przejęta chłodem długo, poczuła dreszcze i wstawszy zaczęła się przechadzać około wozu po dolinie... Osłonięta szeroką pasiastą oponą, która w ciężkich fałdach spadała strojąc jej postać wysmukłą, wydawała się wśród tych istot zdziczałych jak królowa... Ale na twarzy wypiętnowany był smutek niewoli... i doznanego zawodu... Nawykła do innego życia, napróżno z długich pieszczot, nałogów cywilizacyi uwolnić się chciała... słabła — czuła się chorą. I teraz po krótkiej przechadzce nogi zadrzały, tak że się o wóz oprzeć musiała. Stanęła przy nim zwiesiwszy głowę...

Wóz, który był składem mienia całej gromady teraz rozproszonej w górach i po osadach okolicznych, napako-

wany stał wszelkiego rodzaju łupem przemysłu cygańskiego. Oczy jej padły mimowolnie na te węzełki dziwne, odzieże podarte, sprzęty niezrozumiałe, żelaztwo bez wartości, łachmany bez barwy... Wśród nich nagle zatrzymało się jej wejrzenie, brew zmarszczyła... przestrach odmalował na twarzy... postrzegła wystający z zawinięcia okrwawionego mały... znany sobie dobrze pugilares. Przed kilku laty ona sama dała go ubogiemu chłopcu włożywszy weń zasiłek na drogę dla jego matki. Nie mogła go nie poznać, a poznawszy nie sięgnąć poń. Wiedziała wszakże, iż ją stara cyganka i młody chłopak szpieguje, i ze zręcznością instynktową krwi swej właściwą, zarzucając oponę na ramiona, uchwyciła... z bijącem sercem... tę zagadkową jakąś, jakby przez opatrzność przed nią rzuconą pamiątkę dni lepszych. Zkąd się ona tu wziąć mogła? Zara gubiła się w domysłach — ale pugilares był nieochybnie tym samym... Zesechł tylko i zczerniał obroczony jakby krwią, której się domyśliła na nim raczej niż ją poznała... Porwawszy go odstąpiła natychmiast od wozu, niecierpliwa była poznać co zawiera... ale wieczór już coraz opadał na ziemię ciemniejszy, ogień był wygasł i przy nim czytać było niebezpiecznie, schowała więc do jutra... Całą prawie noc niespokojna marzyła o pugilaresie, który na piersiach złożyła. Spała snem przerywanym... i cicha wiosenna noc ta wydała się jej jak wiek długą... Osłoniona grubą oponą, oparta o wóz... drzemała w marzeniach... Dżęga zawinął się w kilinek i usnął, chłopak okrył łachmanami i padł jak kamień na ziemię, stara w kłąbek zwinięta... chrapała... I nic nie było słychać oprócz szemrzącego strumienia, owego zegaru doliny...

Nareszcie gwiazdy pobladły... niebo zwolna zaczęło się rozjaśniać — chmury poróżowiały i przegnane wiatrem poszły dalej... szczyty gór oblały promieniem słońca... Zara mogła wstać... Dolina była oblana rosą ranną... na wyżynach mgły się plątały, czepiając po wierzchołkach lasów... a gdzie doszło słońce, dymiły opary białe... Wszystko spało jeszcze głębokim snem poranku... mogła więc odejść nieco i niepostrzeżona rozerwać pugilares... na którym po dniu czarna krew była widoczniejszą jeszcze... W środku jakby na potwierdzenie strasznych domysłów znalazła papiery świadczące, że należał w istocie do Zbigniewa... Ale zkąd mógł się on dostać do cyganów? Tę zagadkę wyjaśnił jej brulion listu przed dniami kilku pisanego, niedokończonego i włożonego do pugilaresu. List był do doktora; uwiadamiał go Zbigniew iż naostatek ślad gromady cygańskiej, w której Dżęga i Lenora być musieli, wynalazł, cieszył się swoim szczęściem, zbliżeniem do zbiegłej swej pani i nadzieją, że jej być może pomocą... Czytając list Zara rozpłakała się, chwyciła za rozpalone czoło, załamała ręce... i ledwie jęk rozpaczy mogła na ustach powstrzymać. Ta krew, ten pugilares dowodziły jej aż nadto jawnie, że nieszczęśliwy Zbigniew pochwycony być musiał, odarty, zabity może, przez kogo? przez tych opryszków bezdusznych, którym jej ojciec dowodził!!

Nogi zadrżały pod nią, zsunęła się na ziemię... Myśl ta, że Zbigniew padł ofiarą dla niej, że matkę opuścił i osierocił, piekła ją jak żelazem rozpalonem... kochała go jak brata... przywykła doń była jak do istoty wypielęgnowanej przez się... Była to dla Lenory największa strata,

najboleśniejszy cios, jaki ją mógł dotknąć — a padł z ręki jeźli nie ojca (i tego pewną być nie mogła) — to przynajmniej jego towarzyszów i za wiedzą wodza, bez którego nic się nie działo...

W osłupieniu łzawem schowawszy papier i książkę nieszczęsną, pozostała tak zdrętwiała. Co począć było, co począć!

Siedziała długo w osłupieniu... słońce przez wąwóz między górami wdarło się na dolinę i długą smugą światła błysnęło oblewając ją... Ogrzana jakby tem promieniem rozbudziła się ze łzami na oczach... Ten ranek taki pogodny, ta wiosna otaczająca przypomniały jej dawne ranki wiosny przeżyte i życie całe kołysane dłońmi najserdeczniejszej z matek... pieszczoty losu w dzieciństwie jakby dla tego dane, aby po nich teraźniejszy dramat wydał się straszniejszym jeszcze.

Pusta dolina była obrazem jej życia, wsród którego stał ów obóz cyganski o białym dniu, odarty z uroku poezyi, z łachmanów okrwawionych i ubogiego woza złożony... z postacią ojca, do którego stwardniałego serca, duszy skostniałej, nawet pieszczone słowo dziecięcia przemówić nie mogło... Zbigniew broczący we krwi za to, że chciał jej przyjść w pomoc, zabity i odarty przez wspólników Dżęgi, jak widmo stał przed nią. Nie ocaliła ojca, a winną była jego śmierci... Nie śmiała spytać o niego.

Wśród tego boleściwego zadumania, w którem czuła się ujętą jak w więzieniu, nie znajdując wyjścia nigdzie, rozbudził się Dżęga, i krzyk chłopaka, którego targnął za włosy, aby wstał, oznajmił, że stary był na nogach,

Posłyszała go Lenora i cyganka spiąca przy wozie; zarżały nawet konie poznając ten głos pański, którego słuchać były nawykłe. Chłopak począł ogień rozpalać machinalnie. Dżęga obejrzał się niewidząc córki, i długo szukał jej oczyma, ale nie zawołał. Dostrzegł ją w dali i poszanował może smutek, którego się domyślał.

Napił się wódki z flaszki, którą nazad wetknął do woza, zapalił fajkę i powoli począł iść ku Lenorze, która się z miejsca ruszyć nie mogła. Już zdala poznał niezwyczajne na jej twarzy wzruszenie i boleść; patrzał na nią idąc, naostatek zbliżywszy się w słońcu legł na trawie, obrócił twarz ogorzałą ku niej i rzekł:

— A co? żal biedniaczce ciepłej izby, cienkich sukni, i tamtego życia! Jam o tem wiedział, że tak będzie! Chciałaś pójść za ojcem, otóż masz coś zyskała, chłodne noce pod gołem niebem na twardej ziemi. A toć jeszcze jeden z tych noclegów, który człowiekowi wspomnieć miło.. nie było ani trzaskającego mrozu ani ulewy, coby do ciała przemoczyła... Ty tego życia nie wytrzymasz, i po co ci się to zdało?.. Ja to zrozumiałem.. Tobie trzeba żyć w pałacu, białym chlebem.. i na starość zapracować.. Ty pojedziesz z Sandorem Palmy...

Lenora spojrzała na ojca groźno..

— Ah! dodał stary.. przewrócona głowo; cóż, chcesz żeby Sandor się wprzódy z tobą ożenił? A na co ci to? czy go twoje oczy nie mocniej wiążą od głupiej przysięgi, której z nich żaden nie dotrzymuje?.. Ale z ciebie zrobili chrześciankę.. że teraz nie wiedzieć, jak do rozumu przyprowadzić! Wszystko u ciebie grzechem..!! Śmij się z tego! Sandor ładny chłopiec.. dla ciebie gotów oddać koszulę..

i mnie dobrze zapłaci, boć mi się coś za dziecko należy.. i tobie u niego dobrze będzie.. bylebyś rozum miała. A darmo ci ze mną na słowa się bić — ja nie dam się wziąć! Co ja powiem, musi być! Proszę się dziś ubrać jak najlepiej.. bo Sandor przyjedzie, targu dobijemy.. Chcesz czy nie chcesz.. musisz z nim iść.

— Ojcze — odparła Zara — czy u was cyganów rodzice dziecko jak konia sprzedają?

— Nie jak konia ale jak człowieka.. zawołał Dżęga. Niby to gdzie jest inaczej!—Rozśmiał się.— Tak samo na tym świecie bogatym i mądrym.. tylko to inaczej wygląda.. przedaje ojciec, matka, krewni i sama dziewczyna siebie..

— A jak ja nie zechcę? — zapytała..

— Wsadzę cię związaną na wóz lub na konia.. i pojedziesz. Będziesz się złościć.. a uledz musisz, nawykniesz, i będzie ci dobrze... Nie sprzedaję cię staremu trupowi. Sandor ładny chłopiec.

— Ale ja nie chcę Sandora..

— Cóż to ja ci królewiczów mam szukać?—rzekł cygan szydersko.. Porzucisz go potem i będziesz sobie sama wybierać.. ale kiedy cię mam w ręku, byłbym głupi, gdybym cię cyganowi dał..

Leonora się wstrzęsła cała.. postrzegł to ojciec..

— Słońce wysoko!—zawołał.. idź się ubieraj! idź!—podniósł rękę z nahajką dobytą z zapasa.. Sandor może nadjechać, pójdę sam po niego.. nie chcę, by cię tak zobaczył, jeszcze by mu ochota odeszła...

Z ogniem w oczach ale z rezygnacyą Lenora poszła zwolna ku wozowi.. Dżęga, który ją śledził oczyma, nie mógł już odgadnąć co myślała..

Od kilku godzin uczucie niemocy, rozpacz, żal po Zbigniewie złamały tak biedną dziewczynę, iż postanowiła korzystać z nastręczającej się zręczności do oswobodzenia.

Sandor Palmy, o którym wspomniał cygan.. łatwiejszym był może, jak sądziła, do pokonania niż ojciec.. W czasie pobytu na węgierskiej ziemi u podnóża Karpat wypadkiem spotkali konno przejeżdżającego majętności swoje Sandora. Był to młody magnat, wychowany we Francyi, od niedawna władający majątkiem, mężczyzna piękny, zdający się wykształconym i mający w sobie coś rycerskiego. Piękna twarz i postawa Lenory zwróciła jego oko, po kilka razy przyjeżdżał do obozu, starał się zbliżyć do niej, ale w obawie, aby nie rozbudzić w nim zbyt żywej namiętności ukazując mu się z idealniejszej strony, Lenora udawała przed nim prostą cygankę.. Dżęga wiedząc o bogactwach Palmego, umyślnie go pociągał, powziąwszy myśl sprzedania mu córki. Według jego pojęć był w najzupełniejszem prawie uczynić z nią, co mu się podobało.

Mimo milczącej i smutnej postawy Lenory, która unikała okiem nawet nań rzucić, Palmy po trzeciej czy czwartej bytności w obozie rozgorzał namiętnością dla cyganki. Chociaż Zara udawała dziką, prostą dziewczynę, zdradzało w niej inny obyczaj wychowanie, ruch, postawa a nawet białe delikatne ręce... które Sandor pożerał oczyma. Był on jednym z tych ludzi, co się w rękach kochają.. Zakochał się w przypadkiem dojrzanej rączce Lenory. Przyłączyło się do tego młodzieńcze marzenie wychowania tej dzikiej istoty i stworzenia z niej tego ideału wszczepionej cywilizacyi na latorośl młodą i silną, jakiej ona sama już nie wydaje. Sandor powiedział sobie, że ją

zawiezie do Paryża, że weźmie nauczycieli, że ten dyament czarny oszlifuje tak, iżby mógł zdobić królewską koronę. Nie wiedział, nie domyślał się wcale.. czem w istocie była Lenora...

Milcząc i patrząc nań, choć dla niego najmniejszego nie powzięła uczucia, cyganka poznała go instynktem jako szlachetniejszą istotę, zabłąkaną w marzenie... Rachowała więc teraz na niego, iż odzywając się do serca i szlachetności.. odzyska swobodę, którą przez miłość dziecięcia straciła..

Posłuszna więc na oko ojcu, poszła ku wozowi, aby się przeodziać. Stara cyganka pomogła jej skwapliwie, patrząc z rodzajem zazdrości na tę czarodziejską młodości postać.. marząc może o jej przyszłości.

Dżęga także przywdział kurtę i przybrał poważną minę kupca, który drogi towar ma na zbyciu...

Było już około południa, gdy wprawne ucho cygana usłyszało tentent koni i węgierskiego wózka na drożynie przez wąwóz wiodącej w dolinę. Spojrzał na Lenorę, a spokojna, blada jej twarz znać go upewniła o posłuszeństwie, bo się wpatrzył w szyję wąwozu i córce dał pokój. Echo gór coraz dobitniej przynosiło stukot kół po kamienistej drożynie, stąpanie koni i brzęk uprzęży.. Tuman kurzu, pędzonego lekkim wiatrem, ukazał się w szyi między górami, potem rącze konie i wóz i dwóch jeźdźców na tęgich wierzchowcach.. Jeden z nich wyjechawszy zaledwie z wąwozu klasnął na konia i w czwał puścił się ku cyganom, potem czarnego osadził w miejscu i zeskoczył rzucając mu cugle na szyję. Był to Sandor Palmy.

Młodzieniec był piękny, z oczyma ognistemi, czarnym włosem, zbudowany jak Antinous, a strój opięty narodowy dodawał mu posągowego wdzięku. Na twarzy wszakże znać było może, iż ta gorąca natura Atyllowskiego prawnuka w osłabiającej łaźni stolic europejskich wyssaną została; Paryż i Wiedeń zostawiły ślady na obliczu nieco zmęczonem.. sarkazm prześliznął się po tych ustach, w oczach błyskało szyderstwo..

Dżęga pokornie zdjąwszy kapelusz szedł z ręką spuszczoną ku niemu..

— No a cóż stary? — spytał Sandor zatrzymując się i patrząc w stronę, gdzie stała Lenora — a cóż? dziewczyna się zgadza czy nie?

— Musi! — rzekł Dżęga...

— Ale ja nie chcę łez i płaczów! — przerwał Sandor — to nudne...

Dżęga ruszył ramionami.

— Ej, — rzekł — u nas w miłości łzy nie szkodzą, u was nie wiem!.. Jak do ryby pieprzu, tak do miłości łzów trzeba.

— Daj mi tam pokój, jeźli dziewczyna się będzie opierać.. ja nie chcę...

— Myślę, że nie — zawołał Dzęga — powiem jej dwa słowa...

Palmy nie posunął się ani krokiem, dał odejść staremu, który pospieszył do Lenory, groźno przemówił do niej, nie otrzymał wprawdzie odpowiedzi, ale nie posłyszał też i odmowy.. i pospiesznie wrócił do Sandora, wskazując mu ręką córkę...

— Przecież idźcie do niej zagadać.. dziewczyna rozmówna.. a tylko umieć trzeba usta jej otworzyć..

Palmy korzystał pospiesznie z pozwolenia, poszedł żywo ku Lenorze, i zawsze jeszcze sądząc ją prostą cyganką, powitał z pewnym rodzajem poufałości. Czekało go tu niespodziane i niepojęte dlań zdziwienie.

W chwili gdy się zbliżał do niej, miała oczy śmiało po raz pierwszy zwrócone na niego z wyrazem, którego w nich spotkać się nie spodziewał. W tych oczach podniesionych, śmiałych, mówiących nie dziką myślą dziecka pustyni, ale promieniem rozumu, Palmy ujrzał — poznał istotę jakby nową... Lenora przebrana tylko po cygańsku wydała mu się Paryżanką... Jeszcze ust nie otwarła... osłupiał.. Zdawało mu się, że inna od tamtej pierwszej dziewczyny nieśmiałej, z oczyma spuszczonemi siedzącej — zajęła jej miejsce.. Stanął..

Lenora miała już cały plan postępowania osnuty; korzystając z chwili zdumienia i zawahania, nim Sandor miał usta otworzyć, odezwała się śmiałym, dźwięcznym ale powagi pełnym głosem, po francuzku.

— Rachuję na uczucie honoru węgierskiego magnata, wszak się na niem nie zawiodę?

Na dźwięk tej mowy Sandor zbladły, strwożony, stanął jak wryty.. nie wierzył uszom swoim. Lenora mówiła dalej.

— Przybyłeś pan dogodzić jakiejś fantazyi wielkiego pana kupując córkę cygańską dla zabawy..? Mogę to mu przebaczyć, bo mnie ocalisz, gdy zechcesz.

Sandor jeszcze się nie zebrał na żadną odpowiedź, ale machinalnie sięgnął ręką do czapeczki, zdjął ją z wielkiem poszanowaniem i ukłonił się.

— Posłuchaj mnie pan — poczęła Lenora. — O białym dniu, wśród dziewietnastego wieku wpadłeś w historyą

z Tysiąca nocy.. Ale są rzeczy prawdziwe a nieprawdopodobne...

— Słucham pani — nieśmiało odparł Sandor.

— Tak, jestem córką Dżęgi, — dzieckiem od piersi matki wziętą byłam na wychowanie przez bezdzietną zacną, świętą kobietę, która mnie jak własne dziecko ukochała i wychowała jak pańskie dziecię.. Moja matka i opiekunka umarła.. Ojciec przyszedł; widząc upadek tego człowieka, sama dobrowolnie poszłam za nim w nadziei, że go nawrócę.. Oto w kilku słowach historya moja.. Widzisz pan, że po jego czynie dzisiejszym musiałam wszelką utracić nadzieję. Nie mam teraz środka uwolnić się z rąk jego, tylko przechodząc w ręce wasze... ale wy bądźcie szlachetni...

— Pani!—zawołał zapalając się Sandor—życie dam w twej obronie. Nie obwiniaj mnie.. Sama piękność twoja mnie pociągnęła, teraz twój los czyni niewolnikiem.. Zrobię co zechcesz...

— Żadnej nie wymagam ofiary, oprócz tej, którą każdy szlachetny człowiek niesie nieszczęśliwej kobiecie. Ten okup, który dasz ojcu, ja ci go mogę powrócić i wrócę. Moja opiekunka zostawiła mi część swojego majątku.

Sandor się oburzył.

— Ale mój cały majątek, jeźli każesz, kładnę ci pod stopy.. zrobię co zechcesz...

— Słowo uczciwego człowieka...

— Słowo węgierskiego szlachcica...

— Wychowałam się w Polsce — dodała cyganka — i jestem duszą i sercem Polką. Dwa narody te związały dzieje i sympatye, jesteśmy siostrą i bratem... Cyganka krwią, Polką jestem duchem... pomóż mi, zaklinam cię.

Sandor się zbliżył cały rozpromieniony. — Ale czyż pani wątpisz jeszcze, czyż wątpić możesz...?

— Wierzę — odparła Lenora — Bóg nad nami.. Mów z ojcem.

Sandor odwrócił się szybko. Cygan stał nieco opodal, rozmowa była mu niezrozumiałą, ale usiłował ją odgadnąć z twarzy, z głosu, z ruchów, i nie zrozumiał nic nad to, że jakaś zgoda nastąpić musiała pomiędzy córką a magnatem.. Uśmiechał się radośnie, myśląc z zapału, jaki się na twarzy Sandora malował, korzystać.

Palmy nadto też pospiesznie, niecierpliwości ukryć nie umiejąc, zbliżył się ku niemu. — Dżęga włożył rękę za pas, czekał.

— No stary — zawołał Węgier — dobijemy targu.

— Dziewczyna się zgadza? tak! to dobrze.. Ale wy, kochany panenku, nadto z nią zaraz wystąpiliście pokornie.. Mnie do tego nic.. a tak się nie prowadzą kobiety, siędzie wam na karku.. Straszyć je trzeba, nie płaszczyć się przed niemi..

A po chwili dodał:

— Musicie dobrze zapłacić; dziewczę, jakiego w całym Peszcie ze świecą nie wyszukacie: gra, śpiewa.. chodzi uczono.. a gardło wam daję, że jej męzka ręka nie dotknęła.. bo to harde jak królewna.. O! musicie dobrze zapłacić!

Sandor przez jakieś uczucie wstydu odprowadził w bok cygana, aby nikczemny ów targ nie obił się o uszy nieszczęśliwej. Miarkując z rozognienia młodego człowieka, któremu pilno było cudną przygodę doprowadzić do końca, cygan się począł targować twardo. Sandor milczał po-

nuro, słuchał, myślał więcej pono o tem, co mu mówiła Lenora, niż o cyganie, który stał przed nim, nie mogąc go wyrozumieć. Milczenie magnata posłużyło mu, bo Dżęga uląkł go się zrazić i nareszcie postawił żądanie, które jakkolwiek dosyć znaczną wynosiło sumę, mogło wszakże być przyjęte. Jako dobry ojciec, cygan zażądał przy tem, aby Sandor nie bił jego córki i łagodnie się z nią obchodził, nie folgując wszakże zbytnio.. Dodał, że w posagu jej oddaje wszystko, co z sobą ma, wychwalając suknie drogie i pokupowane fraszki...

Sandor słuchał ciągle jakby we śnie, rozgorączkowany, by prędzej skończyć, poprowadził do swego wózka Dżęgę i tam ostatecznie z nim wreszcie dobił nieszczęsnego targu.

— Nim ją zabierzesz—odezwał się nareszcie z dziwnem westchnieniem Dżęga—niech no ja z nią pomówię; dam jej jeszcze naukę na drogę...

— Jaką? — groźno spytał magnat trochę wylękły — ona już należy do mnie, wara obrazić ją słowem.. nawet!

— O! nie bójcież się, muszę się z nią pożegnać — rzekł stary.. to długo nie potrwa, dwa słowa.

Schował fajkę do kieszeni i skrobiąc się po siwych kudłach, powlókł powolnym krokiem ku córce, która stała jeszcze w tem miejscu, gdzie ją był Sandor porzucił.

— No — rzekł — wszystko skończone! Nie masz czego płakać. Lepszy cię los spotkał niż się spodziewałem.. Chłopak ładny i zdaje się powolny.. Nie patrz że tak na mnie straszno, głupia dziewczyno—dodał gniewnie—powinnaś mi dziękować...

Lenora przystąpiła doń powoli..

— Bądź zdrów — rzekła — Bóg ci jak ja przebaczy — bo nie wiedziałes coś czynił, a on wiedział jak mną rozrządzić.. Nie lękaj się, wymówek ci czynić nie będę.. ale uczyń mi łaskę przy rozstaniu..

— Wszystkie odzienie ci oddaję.. bierz — zawołał cygan nie rozumiejąc dobrze, o co chodziło.

— Poszłam za tobą — odezwała się — w nadziei, że cię dla mojego Boga nawrócę.. Bóg nie przyjął ofiary.. ale on cuda czynić mocen; zrób to dla mnie — dodała zdejmując z szyi krzyżyk złoty na sznurku jedwabnym zawieszony — uczyń to dla mnie, pozwól, abym ci włożyła ten wizerunek Boży poświęcony na szyję; to czego ja nie dokonałam on cudem uczynić może.. przemówi do serca, znajdzie doń drogę, jakiej ja nie potrafiłam wyszukać..

Dżęga patrzał śmiejąc się.

— Che! che! — zawołał — dobrze! dobrze.. będę go nosił na szyi. Ty bo nie wiesz — dodał cicho — ja trzy razy byłem chrzczony! Za każdy raz mi zapłacili! A co mnie to szkodzi!!

Lenorze łzy stanęły w oczach, gdy się pożegnać zbliżyła. — Dżęga ją po ramieniu uderzył.

— Tylko bez łzów — szepnął — tym go nie ujmiesz; kto bierze dziewczynę, chce by mu było wesoło. Śmiej się.. otrzymasz czego zechcesz.. Dalipan, chłopiec tęgi i ładny.. księżniczka by się go nie powstydziła...

Milcząc już poszła Lenora do wozu pożegnać starą cygankę, która coś mruknęła niezrozumiałego śmiejąc się dziko.. Sandor czekał na nią przy wózku.. Podał jej rękę dla wsiadania.. chłopak rzucił węzełek z sukniami.. Palmy dosiadł karego.

— Dokąd jechać? — zapytał...

— Przez Kościelisko do Zakopanego — zawołała rumieniąc się płacząca Lenora.. Węgier nie spojrzał już nawet na Dżęgę, który stał krzesząc spokojnie ognia do zgasłej fajki; konie ruszyły, i wózek potoczył się kamienistą drogą między skały nad potokiem.

W chwilę potem cyganka i chłopak patrzący za odjeżdżającymi nie widzieli nic oprócz tumanu białego pyłu, który wiatr gnał w dolinę.. Dżęga położył się na ziemi, i wysypawszy złoto z kieszeni na chustę począł je liczyć raz jeszcze....

W dolinie Kościeliskiej u rozwalin opustoszonych starej karczmy i jakichś budowli zatrzymał się dopiero wózek.. Przez cały czas drogi Palmy jechał to obok Lenory, to za nią nie śmiąc rozpoczynać rozmowy.. bo dziewczę płakało i mówić nie mogło. Czując, że jej strój cygański może zwracać oczy i budzić niepotrzebną ciekawość, Lenora sama poprosiła Sandora, aby pozwolił się jej przebrać. Zabrała węzełek z sukniami, i zakryta ścianą rozwalin przemieniła ubranie na skromny zwyczajny strój, w którym w Warszawie wyszła z domu.

Gdy się ukazała, zdziwił się Węgier zmienionej zupełnie i jeszcze wyszlachetnionej postaci. W wózku jego były zapasy podróżne, ludzie rozpalili ognień pod skałą, Lonora siadła na kamieniu, a Palmy miał się za szczęśliwego, że jej mógł służyć. Trzeba przyznać, że szlachetne uczucie dawało jego obejściu z nią delikatność, na jaką by w jego położeniu mało kto mógł się zdobyć. Słowem jednem nie obudził wspomnienia chwili tylko co minionej i przykrej, ani się tłumaczył ze swojego postępowania.. Z tro-

skliwością rycerską starał się posługiwać Lenorze i dowiedzieć, czego by po nim wymagała. Nie wątpił wszakże, iż takiem postępowaniem serce sobie zaskarbić potrafi. Historya Lenory taka, jaką mu ona opowiedziała, po rozmyśle wydała mu się nieco nadto romantyczną, aby być miała ściśle prawdziwą. Domyślał się w przeszłości innych jakichś przygód, ale to w oczach jego uroku Lenory nie zmniejszało.. Każde jej słowo dowodzące znajomości świata, ludzi, literatury, sztuki wprawiało go w nowe podziwy i zachwyty. Odgadywał w końcu, że heroina jego musiała być pewnie artystką jakiegoś teatru.. i niepospolitą.. Historya wojewodziny nie zdawała mu się możliwą.. ale umiejętnie wymyśloną.

— Ha! — mówił sobie w duchu — wszystko to przecie musi się wyjaśnić; to pewna, że nie opuszczę jej dopóki prawdy nie doślędzę, a dośledziwszy — jak wypadnie postąpić — zobaczymy.

W czasie spoczynku wśród pięknej doliny Kościeliskiej rozmowa była prawie obojętną. Dopełniając tego, co mu wprzódy opowiedziała Lenora, dodała jeszcze słówko o Zbigniewic i pokazała pugilares skrwawiony prosząc Sandora, aby się mogli dowiedzieć w Zakopanem, czyli tam co o zabitym młodzieńcu nie słyszano.

Sandor zgodził się na to chętnie, a że wieczór się zbliżał i cienie długie zasuwały uroczą dolinę.. wózek zaprzężono.. aby dosiądz Zakopanego przed nocą. Ludzie Palmego znali dobrze drogę, zresztą dosyć już, minąwszy dolinę, utartą i nie błędną..

Tak w milczeniu znowu dojechali do wioski.. Sandor sam zsiadł z konia, aby nocleg przygotować, a że w Za-

kopanem przebywa zwykle latem dosyć ciekawych gości łatwo mu było znaleźć chatę czystą i stajenkę dla koni. Wprowadziwszy Lenorę do izby czyściuchnej i świeżej, której gospodarze przyjęli podróżnych z gościnnością górali.. Sandor nie spocząwszy poszedł sam na zwiady.. Chociaż w tych wioseczkach podtatrzańskich mało na pozór jest życia i ruchu, wśród samotności i ciszy każda nowa wieść rozbrzmiewa łatwo. Ludzie idący do kościoła, spotykający się na gościńcach rozpowiadają sobie najmniejszą przygodę, cóż dopiero, gdy się coś niezwykłego przytrafi. W Zakopanem wiedziano już o uratowanym nieznajomym, który był w sąsiedniej wiosce na plebanii u księdza. Wprawdzie trudno było domyśleć się, czy ten był sam, o którym rozpowiadała mu Lenora, lecz zbliżenie dat czasu miejsca, rozgłos, iż cyganie byli sprawcami morderstwa, niezmiernie prawdopodobnem czyniły znalezienie w uratowanym tego, którego ona za zabitego miała. Sandor chociaż w nim domyślał się kochanka, rywala, choć był już zajęty swoją zdobyczą do szaleństwa, nadto był szlachetnym, żeby śmiał taić przed Lenorą, co posłyszał.

Pospieszył więc do niej z wieścią pomyślną. Zapoźno już było dnia tego, by do sasiędniej wioski pospieszyć. Lenora słabą też miała nadzieję, ażeby Zbigniew mógł być uratowany; dalszą więc podróż odłożono do jutra. Sandor pozostał na straży chaty, w której górale przyjęli na nocleg podróżnych.. w podwórku rozłożono się obozem.

Zbigniew był nieco lepiej; starania plebana, młodość, niewykwintne leki wiejskie, które wiele przynajmniej zaszkodzić mu nie mogły, dozwoliły naturze oddziałać przeciw ranom i stłuczeniom, a gdy raz siły jej działać zaczęły, czas tylko stanowił o wyzdrowieniu. Choć poobwiązywany, wybladły, okryty sińcami, chłopak mógł się w rzadkie dnie ciepłe na wiosennem słońcu wygrzewać. Uspokajając matkę napisał do Warszawy, nie wzmiankując wcale o nieszczęściu. Szerzej doniósł o niem doktorowi, będąc do tego zmuszony stratą papierów i ostatniego grosza. Nie wiedział, co dalej pocznie, chociaż straszliwy ów napad bynajmniej go nie odwiódł od myśli ścigania Lenory.. Umysł jego nią tylko był zajęty..

Dnia tego właśnie dozwolono mu około południa wyjść przed plebanią, której ganek zwrócony był ku słońcu; siedział na ławce położywszy głowę na rękach opartych na poręczy.. i patrzał na dalekie pasmo gór, z których ostatnie obłoczki odlatywały rozpuszczając się w powietrzu; gdy w bramie ukazała mu się Lenora.. a za nią nieodstępny towarzysz, węgierski panicz, w swem malowniczem ubraniu.

Zrazu Zbigniew wziął to za jakiś sen oczów widoku jej spragnionych, ale gdy Lenora żywszym coraz postępu-

jąc krokiem ku gankowi zbliżać się poczęła i poznawszy już Zbigniewa wyciągnęła ku niemu ręce — wstał na chwiejących się nogach, pobladł i padł na ławę bezsilny. Widok Lenory byłby może na nim tego nie sprawił wrażenia, ale tajemniczy ten towarzysz jej — w którym się domyślał — któż wie? męża? kochanka? — przybił biednego. Wielkiemi oczyma patrzył, nie mogąc się słowem odezwać.

— Panie Zbigniewie, czyś mnie nie poznał?

— A! pani! — zawołał słabym głosem ranny — czyż by to być mogło? Alem się widzieć niespodziewał.. w oczach mi się zaćmiło, nie dowierzałem im..

Lenora zapomniawszy na towarzysza, weszła na ganek pospiesznie i poufale siadła przy nim na ławce, wpatrując się w tę twarz, na której malowało się tak dobitnie cierpienie — męczeństwo, które on poniósł dla niej.

Łzy zakręciły się w jej oczach.

— Zacny, poczciwy, dobry przyjacielu mój! powinnabym ręce twe ucałować.. tyś o mało życia nie postradał dla mnie — zawołała — ja wiem wszystko.. ja przyszłam ci na kolanach podziękować..

Zbigniew się uśmiechnął nieco rozpromieniony, ale wejrzenie padło na urodziwego Węgra, i spytał oczyma Lenory — kto by on był. Odgadła myśl jego, i skinęła na niewolnika.

— Hrabio Sandor, podaj rękę temu bratu memu po niedoli, powinniście być przyjaciołmi, bo oba serca macie szlachetne.. A ty, Zbigniewie, powiedz mu moję historyą prawdziwą, całą, bom na czole jego wyczytała niedowiarstwa cień.. a nie chcę, by mnie posądzał.. Hrabio

Sandor.. pytaj go.. Mnie pozwólcie wnijść do plebanii i podziękować gospodarzowi..

Węgier zmierzył oczyma tego, którego za przeciwnika swego, za współzawodnika uważał.. — Mów pan,—rzekł.. nie jestem nieufny, ale żądny jestem wiedzieć dziwne przygody tej kobiety, którą miałem szczęście wydrzeć z rąk brudnych..

— Wszakże ona sama wszystko wam już powiedzieć musiała — rzekł podnosząc głowę Zbigniew.. swe pochodzenie, przysposobienie przez świętą i zacną niewiastę, osierocenie po jej śmierci, i to, co ucierpiała od krewnych, i swe poświęcenie dla ojca... cóż ja tu dodać mogę?

Sandor zdziwiony wielce zgodnością dwóch powieści milczał.

— Ale czego ona sama powiedzieć wam nie mogła — dodał Zbigniew,—to przymiotów duszy, to skarbów serca to swojego bohaterstwa, cierpliwości... i cierpienia... Jeźliście na chwilę ją posądzili, szanowny panie, grzech to, bo czystszej istoty nie ma i nie było na świecie.

— A czemże wy dla niej jesteście? — zapytał Palmy.

— Ja jestem robakiem, którego wychowała, ubogiem chłopięciem, ratowanem przez nią; jej winienem wszystko i gotówem umrzeć dla niej.

— Ale cóż ją pobudzić mogło, rzucić się w tę otchłań cygańską? — spytał Sandor.

— Poświęcenie dla ojca! chciała go nawrócić, sądziła to swym obowiązkiem.

— Cygana! starego zatwardziałego zbója chcieć na ostatnie lata zrobić uczciwym człowiekiem!—Roześmiał się Palmy. — Wierzę, iż taka piękna pani cudów dokazywać może, ale to przechodzi ludzkie siły... sam Bóg pono nie dokaże tego..,

Ruszył ramionami... zamyślił się i zwrócił może umyślnie rozmowę.

— A wy co z sobą myślicie? — zapytał.

— Ja? — rzekł Zbigniew — najprzód trzeba bym mógł myśleć... Do wczoraj jeszcze w potłuczonej głowie snuły mi się gorączkowe widma, nie myśli... a dziś budzę się dopiero do życia... Czy będę żył — któż wie... Cyganie chcieli widocznie, bym nie wstał więcej z tych zarośli, do których mnie tłukąc zawlekli... Straciłem przytomność po kilku uderzeniach ostatnich... Czułem ciepłą krew oblewającą mi oczy i twarz i... potem — nic...

— Wielu ich było? — spytał Sandor.

— Czterech... Zbliżyłem się śmiało, z zaufaniem, szliśmy prowadząc rozmowę, nie posądzałem o zasadzkę. Obiecywali mnie zaprowadzić do Dzęgi, gdy nagle odszedłszy ścieżką od gościńca...

Na te słowa Lenora weszła z proboszczem, Węgier wstał na ich przyjęcie, a Zbigniew przestał mówić.

Z rozmowy z plebanem przekonała się cyganka, że Zbigniewa, którego chciała zaraz zabrać ztąd, aby go oddać w ręce bieglejszych lekarzy, nie podobna było wieźć jeszcze. Stan jego nie dozwalał o tem ani pomyśleć.

Doktor wielce powątpiewał o wyzdrowieniu, lękając się, by jaka choroba nie wywinęła się skutkiem ran i potłuczeń; w każdym razie spokój był dlań pierwszym warunkiem kuracyi. Lenorze zaś potrzeba było natychmiast spieszyć do Warszawy, aby wykupić się z tego rodzaju niewoli Sandora, która jej ciężyła, i wyjść z fałszywego położenia.

Węgier im bardziej się upewniał, że w powieści o przebranej za cygankę czarodziejce nie było fałszu, tem mocniej się ku niej zapalał. Milczący stał na uboczu, ale w duchu powtarzał sobie, że na krok jej nie odstąpi... Szczęściem mam do tego pozór dobry, bo jest samą i potrzebuje opieki... inaczej wstydby mi było odegrywać rolę natrętnego wierzyciela.

Pleban, człowiek surowych obyczajów, mimo pewnych już wiadomości o przygodach osób, które się pod jego dachem zebrały... wcale nie rad był tej pannie cygance, temu magnatowi węgierskiemu, łączącemu się z nią jakimś niesakramentalnym węzłem, Zbigniewowi nawet, który mu gości takich naprowadził. Na wytłumaczenie dlań tak drażliwych stosunków nie starczyła lada powiastka.

Panna latająca po gościńcach z magnatem węgierskim, oboje piękni i młodzi... nie podobali mu się.

Widać było z jego twarzy posępnej, iż nie rad był odwiedzinom na plebanii... Zbigniew milczący myślał tylko nad tem, jak prędko przyjdzie mu stracić z oczów swój ideał i czy go już kiedy w życiu zobaczy...

Lenora szukała w sobie dosyć sił i odwagi, by coś postanowić...

— Mój ojcze, — rzekła wreszcie wstając z ławy, — jakkolwiek przeniesienie dalsze chorego byłoby nie możliwe, zdaje mi się że o kilkanaście kroków do chaty bez niebezpieczeństwa wziąćbyśmy go mogli. W ten sposób uwolnilibyśmy ojca od tego zajazdu i odwiedzin natrętnych... Ja winnam zbyt wiele panu Zbigniewowi, bym go opuścić mogła... zostanę przy nim, ucząc się być siostrą miłosier-

dzia... Zacny hrabia Sandor nie odmówi mi, z listem moim pojechać do Warszawy...

— Pojechać do Warszawy? — spytał Węgier — jakaż potrzeba tej podróży? Lenora zarumieniła się...

— Potrzebuję dać wiedzieć o sobie moim przyjaciołom.. a może szlachetny hrabio skłonicie doktora S... by tu do mnie przybyć raczył... Nareszcie... Umilkła wstydząc się dokończyć.

— Nie wątp pani, że pojadę, dokąd rozkażesz... ale jestże potrzeba tego istotna? List zrobi to co ja... a stracisz pani stróża, który ci być może potrzebnym. — Uśmiechnął się.

— Jeżli zaś — dodał — bytność moja jest dla niej niewygodną, zbyteczną... uciążliwą... wrócę do Węgier...

Spojrzał na nią błagającemi oczyma, w których było tyle żalu, prośby i wymówki, iż Lenora się zarumieniła i podała mu rękę...

— Nie gniewaj się pan na mnie... Zrobisz, co sam uznasz właściwem, ufam panu. Najpierwszą jednak rzeczą jest, byśmy księdza proboszcza uwolnili od załogi... i postarali się o pomieszczenie dla mego obrońcy...

Proboszcz w istocie sam nie wiedział, co odpowiedzieć; do swego pacyenta wielce się przywiązał, a tolerować nie mógł przy nim panny, która niebyła ani siostrą, ani krewną i w dodatku miała jeszcze z sobą towarzysza nie wylegitymowanego, a widocznie i desperacko zakochanego, co mu aż nadto z oczu patrzało. Wybierając z dwojga wolał już ksiądz zrzec się opieki nad chorym, niż to towarzystwo, przypominające mu w młodości czytanego Idziego Blasa z Santylany, przyjmować dobrodusznie na

probostwie. Milcząco więc przyjął przemówienie Lenory, skłonił się i nic nie powiedziawszy znikł.

Lenora pożegnawszy chwilowo Zbigniewa sama pobiegła szukać dlań chaty wygodnej... a Sandor czuł się w obowiązku jej towarzyszyć...

Poczta z tego zakątka odchodziła raz w tydzień tylko, był więc czas przygotować listy do Warszawy do doktora z opowiedzeniem całej przygody i zaklęciem najsilniejszem, aby z powagą swego wieku i powołania na ratunek przyjeżdżał.

Z tego wszystkiego, co się działo, hrabia Palmy powoli przychodził do coraz mocniejszego przekonania, iż Lenora była w istocie tą istotą, jaką mu się w pierwszej chwili przedstawiła. Jej los, położenie, urok twarzy, umysłu, serca, codzień czyniły na nim potężniejsze wrażenie. Nie wiedział jeszcze, jak wyjdzie z przygody, ale wcale nie pragnął, ażeby się skończyła... nie chciał się rozstać z powieścią fantastyczną, którą rozpoczął jako młody szaleniec, a kończył niemal jak poeta...

Zbigniewa na noszach powoli przy dozorze Lenory przeniesiono do przygotowanej chaty, Sandor ofiarował się czuwać przy nim. Drugą obok zajęła dla siebie Zara... Chirurg zamówiony codzień miał dla opatrywania ran przyjeżdżać. Nie zbywało też na dozorze czułym, bo Lenora nie wahała się z odwagą czystego serca całe niemal dnie przy chorym w towarzystwie nieodstępnego Sandora przepędzać.

Tu dopiero mógł się Sandor przekonać, że ta, której ukształcenie zdawało mu się może zrazu błyskotliwym pozorem, była w istocie jedną z tych rzadkich, wybranych

niewiast, stworzonych na udręczenie człowieka, bo po nich inne wszystkie wydają się ułomnemi i niedołężnemi. Każdego dnia odkrywał w niej nowy promień, nową jasność, talent nowy lub cnotę.

Wszystko to wytryskało tak z samej natury jej, tak było nacechowane prawdą, że gdy najczęściej przedłużone obcowanie z innemi rozczarowuje i ostudza, bo odkrywa, co było pożyczanem i fałszywem, tu każdy dzień uwielbienie powiększał. Z boleścią wyznać przed sobą musiał wychowaniec Wiednia i Paryża, że ani nauką, ani pracą nie dościgał jej... i często za nią dolecieć na wyżyny nie zdołał.

W dzień niedzielny przy nieszporach, choć z wielkim wstrętem i obawą księdza plebana, Lenora wprosiła się na chór do organu, który jakiemś szczęściem mimo skromnych rozmiarów jeszcze był strojny...

Jakież było podziwienie i księdza i organisty i słuchaczów, gdy z tego umęczonego instrumentu, który pod ręką niewprawną swego władcy wydawał niesforne akordy, popłynęła rzeka tonów czystych, harmonijnych, słodyczy pełnych i związanych tak umiejętnie, iż się zdawały splecionym wieńcem anielskich pieśni. Proboszcz nie miał tej muzyce nic do zarzucenia, prócz że pochłaniała ustną modlitwę, zjadała myśl i zmieniała ją w uczucie, pod tą postacią eteryczną niosąc ją przed tron Boży...

Sandor wyszedł z tych nieszporów zadumany, poruszony, przejęty. Muzyka, która zwykle to mówi do człowieka, o co on ją pyta, odpowiedziała mu, że nie był godnym tej, z pod której rąk płynęła. Organista upokorzony wielce utrzymywał sam jeden, że to nie była kano-

niczna i orthodoxyjna muzyka, ale świeckie madrygały, które panu Bogu wstrętne być musiały.

Tak upływały dnie w chacie góralskiej, przeistoczonej na gospodę. Nawet podejrzliwy proboszcz bliżej się przypatrzywszy Lenorze, pomówiwszy z nią, poczynał uprzedzeń się swych pozbywać; chociaż mu Węgier ów i przyjaciel w jej towarzystwie zawsze byli nie do smaku. Jednego przynajmniej z nich rad był z nią ożenić, aby mieć głowę spokojną. Przed ludźmi nawet mówił, że to byli blizcy krewni, obawiając się zgorszenia w poczciwej swej gromadce.

Sandor jednego z ludzi swych wysłał tymczasem na Węgry po rozmaite dla wygody potrzebne przedmioty, których w okolicy dostać nie było można. Przywieziono całe dwa wozy dywanów, krzeseł, książek, kuchennych przyborów i zapasów, tak że owa chata zmieniła się w bardzo wygodne i ładne schronienie. Zbigniewowi jednak cała ta około niego troskliwość zdawała się nie iść ni na korzyść ni na zdrowie. Smutny był, milczący, i stan jego zamiast się polepszać, niemal pogorszać się zaczął. Najtkliwsze starania nic nie pomagały. Serce cierpiało, a boleść jego wstrzymała to dzieło uzdrowienia, które tak szczęśliwie zdawało się poczętem. Po całych dniach sparty na rękach, słuchał z pewnym wyrazem tęsknoty i trwożliwości rozmów, opowiadań, drobnych sporów pomiędzy Sandorem a Lenorą, i nie mieszał się do niczego. Był przekonanym coraz bardziej, że Węgier kochał się w niej i że być musiał kochanym. Chociaż nigdy nie miał nadziei, a przynajmniej nie przyznawał się do niej, nie mógł zwyciężyć smutku, jaki to w nim zrodziło.

Wśród tego dziwnego życia... jednego ranka nadbiegła poczta i z wózka wysiadł doktor. Porzucił on swych chorych, życie do którego był nawykł, i spieszył na zawołanie Lenory. Zobaczywszy go przez okno chaty, wybiegła naprzeciw niemu właśnie w chwili, gdy warkocz czarnych włosów nie spleciony jeszcze miała zgarnąć, cała oblana temi kruczemi włosami, zarumieniona od radości, witając go jak zbawcę i ciągnąc do siebie.

Poczciwy przyjaciel uśmiechał się milczący i usiłował przybrać ton żartobliwy, aby rozrzewnienia, którego doznał, nie okazać.

— Niech się panna Lenora kończy ubierać, a mnie naprzód wykomenderuje do chorego... Po to ja tu jestem, abym się na coś przydał. Kto wie, jak go mój kolega tutejszy leczył.

Lenora wskazała mu ręką na chatę, przed którą stał Sandor wpatrzony w jej krucze warkocze i kibić dziewiczą... Węgier domyślił się doktora, o którym się wiele nasłuchał, i sam mu się przedstawił.

— Chodź pan — rzekł — chory jest tutaj, wszyscyśmy czekali z upragnieniem jego przybycia...

Zbigniew o kuli dowlókł się do drzwi... ale spojrzenie nań nie pocieszyło gościa. Był to cień człowieka, w którym dogorywała młodość, niekiedy błyskając rumieńcem przedśmiertnym, to znów przygasając na dnie całe. Doktorowi dość było rzutu oka wprawnego, ażeby dostrzedz, że uzdrowienia nadzieja była mała lub żadna. Potłuczone piersi, pogruchotane kości, wstrząśnienie ogólne, może niema rozpacz jakaś dobijały Zbigniewa. Uśmiechnął się, podnosząc nie-

bieskie oczy ku doktorowi, podał mu rękę wychudłą i ze spalonych warg ledwie mógł słaby głos wydobyć.

Po kilku wymienionych słowach doktor wziął się do opatrywania chorego; nie powiedział nic, ale znalazł go gorzej, niżby był być powinien.

— Panie Zbigniewie — rzekł — mógł byś być zdrów, gdybyś chciał.

— Jakto, konsyliarzu?

— Musisz się czem gryźć, musisz sobie czemś szkodzić; młodość już cię była powinna uleczyć... a ty mi chérlasz... jeszcze... Będę gdérał...

— Czy mógłbym przejechać do Warszawy?

Doktor głową potrząsł... Poczekawszy—rzekł — nie teraz...

W chwilę potem nadbiegła Lenora... Weszła, bo miała to przekonanie, że doktor był wszechmocnym; osmutniała jego twarz nic jej pocieszającego nie powiedziała. Wyszli z nim razem na ganek.

— Jak pan znajdujesz Zbigniewa? — spytała.

— Nie dobrze — odparł doktor — ranyby go same nie zabiły, ale jest coś, co im pomaga. Chłopiec się zagryzać musi, zazdrosny może... o Węgra... Nie wiem, czym zgadł, ale tak mi się to przedstawiło w pierwszej chwili, a ja wierzę w pierwsze wrażenie.

— Nie może być zazdrosny — odpowiedziała Lenora — bo tego uczucia, które zazdrość rodzi, nie było w nim... Starałam się o to, aby go nie obudzić, i ufam, że Zbigniew miał tylko dla mnie trochę wdzięczności i szacunku.

— A ja sądzę, że się oddawna kochał szalenie — prze-

rwał doktor. — Bądź co bądź, trzeba na to coś radzić, bo chłopak jest bardzo źle, a szkodaby go było.

— Drogi przyjacielu! — zawołała Lenora — zrób co jest w mocy ludzkiej... jabym go nie przeżyła!

Stary spojrzał na nią: była spokojną i twarz jej nie oblokła się nawet rumieńcem.

— Tak, kochany doktorze — dodała Lenora — z tego uczucia macierzyńskiego, siostrzynego, jakie mam dla niego, ani przed tobą, ani sama przed sobą wytłumaczyć się nie potrafię... Kocham go jak brata, stworzyłam sobie w nim rodzinę, której mi brakło... On mi poświęcił życie... jeźli jest ratunek jaki...

— Jeden tylko — zawołał uśmiechając się doktor — jeden.

— Jaki?...

Stary się zawahał.

— Niech mu się szczęście uśmiechnie... któż wie, może go to ocalić.

Lenorze łza zakręciła się w oku.

— Jesteś moim przyjacielem — rzekła — nie mam dla ciebie nic skrytego... chodź, oddalmy się, odsłonię ci serce moje. Omyliłeś się, jeźliś sądził, że go kocham... To nie jest uczucie, któreby miłością nazwać się mogło. Nie; Zbigniewa nawykłam prawie uważać za dziécię moje. Między nim a mną był stosunek, z którego nigdy czulsze się nie rodzi uczucie... Pamiętam go nieokrzesanem, biednem chłopięciem... czuję się silniejszą nadeń... a tam gdzie niewiasta jest panią, niema dla niej i nie może być szczęścia. Nie wiem, czyś mnie zrozumiał.

— Najzupełniej — odpowiedział doktor — a mimo to powtarzam, jeźli chcesz życie jego ocalić, daj mu nadzieję szczęścia.

— Doktorze, to znaczy: skłam! — zawołała Lenora — to znaczy: powiedz, że kochasz, gdy serce twe chłodne... ja tego uczynić nie mogę.

Gość zamilkł. — Stanie się więc, co Bóg naznaczy — rzekł po chwili — nie mówmy o tem.

— Uważam cię za ojca — dodała Lenora — nie wymagaj spowiedzi, bo z uczuć spowiedź według mnie jest świętokradztwem; uczucia winny się kryć w poświęconej arce, w głębi przybytku... Powiem ci tylko słowo... kocham innego...

To mówiąc oddaliła się spiesznie ku chatce swojej, a doktor wszedł nazad do pacyenta, który w oknie siedział milczący, osłupiały, z oczyma na góry sine skierowanemi bezmyślnie.

— Wiesz — począł z cicha do niego — że mi cię szczerze żal... Nawykłem patrzeć na cierpienie, na śmierć, na bole... ale gdy w sile wieku młody daje się śmierci nie broniąc, złożywszy broń, bez ochoty do życia... jak ty... panie Zbigniewie, któremu jeszcze cały świat stoi otworem... dziwi mnie to i smuci. To istne samobójstwo, które bądź co bądź, zawsze jest dowodem tchórzostwa, a w obliczu Boga i bliźnich zbrodnią wielką, nie do przebaczenia... Bo przecież nie dla siebie tylko żyjemy; każdy ma jakieś obowiązki do spełnienia, których porzucać mu nie wolno... a twojaż matka, panie Zbigniewie?...

Zbigniew głowę odwrócił; rumieniec poczynał się rozlewać po bladej twarzy.

— Dać ci lekarstwo — mówił doktor — na co się to zda, kiedy ja czuję, że ty zobojętniały, zastygły... chcesz umierać.

— Ja? doktorze...

— Ale tak jest! — mówił stary — chcesz umierać z niedorzecznej fantazyi, gdy mógłbyś żyć chwalebnie i pożytecznie. Lękasz się cierpienia i chciałbyś uciec przed niem... zapewnie to bardzo wygodnie, ale wcale nie zaszczytnie. Czegoż wart taki człowiek? tyle co żołnierz, który ucieka z pola bitwy.

Zbigniew westchnął...

— Proszę kochanego konsyliarza — zawołał silniejszym nieco głosem — dla czegoż mnie obwiniasz... gdy choroba moją jest skutkiem... przypadku?

— Tak, ale kuracyi tego nieszczęsnego wypadku lepiej od lekarza mógłbyś dopomódz, gdybyś chciał żyć!

— Ale cóż doktorowi dało tę myśl, że ja żyć nie chcę!

— Ta myśl wyryta jest na twojem czole — rzekł lekarz — nie możesz jej ukryć przedemną... Smuci mnie ona szczególniej dla tego, że miałem lepsze wyobrażenie o tobie, a teraz poznaję, że się omyliłem.

Doktor widocznie zamiast lekarstwa używał ambicyi jako pobudzającego środka, bo wiedział on dobrze, iż w duszy młodego człowieka, gdy już nic rozgrzać nie potrafi, środek ten nieraz działa najskuteczniej. Mówił dalej:

— Nie chcę dobadywać się przyczyn, które tę apatyą w tobie zrodziły, panie Zbigniewie, chociaż mnie, staremu doktorowi wolnoby było odgadnąć je, odsłonić i po ojcowsku za nie połajać.

Zbigniew się żywo poruszył... czuł się odgadniętym, wstyd mu było...

— Toż samo, co cię popchnęło w pogoń za panną Leonorą, co było przyczyną tych ran i wypadku, dzisiaj zrodziło zwątpienie i zobojętnienie dla życia. Pozwól sobie powiedzieć, że pojmując miłość młodzieńczą, choć doktorem jestem, nigdy jej tak prozaicznie nie wyobrażałem sobie, ażeby pragnęła koniecznie być zaspokojoną brutalnie lub skazywała się na śmierć. Miłość, jak ja ją stary rozumiem, choćby była bez nadziei, winna do życia budzić, a nie zniechęcać do niego. Nie jestże szczęściem widzieć istotę ukochaną, służyć jej z zaparciem się, i zdala po cichu uwielbiać? Może to pojęcia mojego wieku... ale uczciwą miłość, w której nie ma egoizmu, taką sobie przedstawiam.

Zbigniew coraz bardziej był pomieszany.

— Szanowny konsyliarzu, budujesz przypuszczenia, do których ja, nie rozumiem prawdziwie, jak mogłem dać powód? czem?

— Doktor musi być jasnowidzącym...

— I może się omylić.

— Może, to prawda! Zobaczymy więc jutro, pozajutro, czy kochasz matkę szczerze, a pannę Lenorę tak, jak powinieneś ją kochać... czystem sercem wdzięcznego wychowańca. Zresztą — dorzucił doktor wstając — kto ma życie, ma wszystko. Dzieją się cuda... spodziewać się można zawsze... póki w piersi tchnienie... póki w sercu bicie.

Na tem przerwaną została rozmowa... a że doktor po raz pierwszy oglądał podtatrzańską okolicę, wyszedł

przypatrywać się łańcuchowi gór i studyować florę i fizyognomią kraju dla siebie nowego.

Nadto miał wszakże na myśli i sercu, ażeby z wielką uwagą badaniom się tym oddał; los Zbigniewa i ostatnie słowa Lenory zajmowały go najmocniej. To — kocham innego! — tkwiło mu w umyśle nierozwiązane dlań i niezrozumiałe. Byłże ktoś zupełnie nieznany, czy wreszcie ów wdzięczny i zręczny magnat węgierski, czy Lord, o którego zajęciu się Lenorą w całej mówiono Warszawie. Odgadnąć było trudno, pytać niegrzecznie... a stary wszakże był ciekawym człowieka, który to serce mógł pozyskać.

Dumał tak chodząc po trawniku i przypatrując się uroczemu obrazowi łańcucha gór w oddaleniu, gdy Lenora wyszła z chaty, ubrana całkiem czarno, tak jak wówczas chodzili wszyscy, z wyrazem twarzy poważnym ale spokojnym. Zbliżyła się do herboryzującego, dotknęła jego ramienia i powitała go uśmiechem.

— Prawda — rzekła — że te Alpy nasze cudnie są piękne w swym majestacie grozy i milczenia, z mieniącem się licem, po którem przechodzą rumieńce i śmiertelna bladość. Gdybyś je mógł widzieć jak ja... w tajemniczych ich wnętrzach... jakżebyś ukochał tę naturę górską, ten skamieniały dramat, ten świat cudów smutnych... w których kontemplacyi dusza się oczyszcza i podnosi. Widziane zdala te góry mogą zachwycić, poznane zblizka muszą obudzić miłość. Gdybyś poszedł do Strażysk, na Kościelisko, do Morskiego Oka, wdrapał się na szczyty, okiem przemierzył przepaście, duszaby ci się otwarła nowym zmysłem straconym, miłości natury... W mieście ten zmysł się traci.

— A raz stracony się nie odzyskuje — dodał doktor — dla mnie jeszcze miłość nauki byłaby przeszkodą do pochwycenia strony poetycznej Karpat... widziałbym w nich studyum do analizy nie obraz... Z twoją młodą duszą...

— Młodą! — przerwała smutnie Lenora — nie jest już ona młodą... cierpienie marszczki na niej wyryło... przekwitła młodość na zawsze... a kielich życia zamknięty...

— Dla ciebie? — zawołał doktor — dla ciebie?

— Tak dla mnie — odparła Zara — nie łudzę się wcale. To co pismo powiada, że dzieci noszą na sobie grzechy ojców, jest prawdą, jak wszystko, co ono głosi. Grzechów tych żadna nie zetrze pokuta... Jestem cyganką, jestem córką włóczęgi, w którym niedola zatarła szlachetniejsze instynkta, i powinnam pokutować za winy pokoleń mi nieznanych... Fatalizm...

— Nie — oparł się doktor — wiek nasz starł te piętna średniowieczne z wyklętych rodów.

— W teoryi, ale w życiu są niezmazane... Dla tego — dodała Lenora — postanowienie moje niezmienne, usunąć się od czynnego w życiu udziału, wstać co najprędzej od biesiady żywota i... zniknąć...

— A miłość, o której wspomniałaś mi? — szepnął poufnie doktor.

Lenora się zarumieniła.

— Ona pójdzie ze mną! — szepnęła cicho — ale ani ten co ją natchnął, ani nikt w świecie wiedzieć o niej nie będzie. Nie chcę nikomu przynieść do domu hańby mego pochodzenia, wstydu za krew moję, przekleństw, co ciężą nad tajemniczym ludem mych braci.

— Cicho! cicho! — przerwał stary — to są młode marzenia... o których ja mówić nie pozwalam.

Zbigniewowi dałem dobrą naukę, która mu pewnie posłuży... albo... albo już nic go wskrzesić nie potrafi. To się da widzieć wkrótce... Ja sądzę, że odżyje...

Teraz chodźmy do niego i bądźmy na upartego weseli... z musu. Nakazuję to jako receptę...

Pani Laura która się ubierała przed źwierciadłem z tem staraniem, jakie niepiękne i niemłode panie poświęcają naprawie tego, co nieubłagany czas codzień psuje i niszczy, oddaną była właśnie misternemu ułożeniu włosów tak, aby zmarszczki czoła i otoczenia oczów nieco pozakrywały, gdy służąca położyła list przed nią. List był wcale nie pożądany, bo odrywał od zajęcia, które z pewną logiką się odbywało, którego przerywać się nie godziło; spojrzała nań okiem niechętnem Laura, bo niestety, co do ciekawości była córką Ewy nieodrodną, a spojrzawszy krzyknęła i porwała się zapominając o włosach i o marszczkach...

— Stefciu! Stefciu! — zawołała rozrywając kopertę i chciwemi połykając oczyma maleńki bilecik — Stefciu, wszak to nasza Lenora, heroina, powróciła... Doktór ją przywiózł! Dziś jeszcze będziemy ją widziały... Nie, ja nie wytrzymam... ubiorę się na prędce... ubieraj się ty co żywo.. pójdziemy do niej. Już z listów doktora wiem, że ta kochana moja... przebyła niesłychane przygody... jedzie podobno za nią magnat węgierski... a tu mój Lord wzdycha i chudnie codzień się dopytując... Słowem... że awantury... tysiąc nocy...

— Stefcia! ja już jestem gotowa! Gdzie mój szal? szukaj rękawiczek! Skaranie Boże, iż zawsze wszystkiego szukać potrzeba... życie upływa na gubieniu i mozolnem znajdowaniu... Flakonik? zobacz gdzie flakonik... parasolik? patrzcie! nie ma już i parasolika...

Tak latając, krzątając się, gdérząc, śmiejąc się, pani Laura ledwie poprawiwszy coś około twarzy już biegła na schody, nie patrząc, czy Stefcia idzie za nią... śmiała się sama do siebie... spiewała, a wyszedłszy na trotuar, rozpoczęła wojnę z przechodniami, którzy posądzić mogli, widząc ją tak lecącą spiesznie, iż się gdzieś palić musi.

Paliło się istotnie w głowie pani Laury nieustannie... i wiek nawet ognia tego przygasić w niej nie mógł. W pałacu Zamojskich, do którego dążyła, od wczorajszego dnia wszystko było w nadzwyczajnym ruchu. Kasia biegała rozpromieniona... Pan Zygmunt Haraburda cieszył się z powrotu ideału, a nawet Roman Junosza przeglądał się w źwierciedle na intencyą pięknej panny. Od razu brzmiał Erard pod palcami spragnionej muzyki wygnanki, której z oczów lały się strumieniem łzy, pamięci dni szczęśliwszych poświęcone. Każda z tych melodyi przywodziła jej wspomnienie jakiejś chwili, jakiegoś uczucia, straconej nadziei, przeżytego złudzenia...

Niech wam będzie na szczęście ludzie kamienni, co nie miłujecie pieśni, śmiejecie się z poezyi, wyszydzacie uczucie i wierzycie w rozum tylko; nikt z tych, co cierpią sercem, na waszę prozę się nie pomienia. A jeźli świat ma się przerobić wedle waszej formy i programu, błogo nam będzie umierać, abyśmy go nie widzieli.

Drzwi się otwarły z trzaskiem, pani Laura wleciała, wpadła... rzuciła się w objęcia przyjaciółki, a tyle na raz chciała powiedzieć, że się zakrztusiła uczuć i wyrazów natłokiem.

— Siadaj! — zawołała prowadząc Lenorę do kanapy — podnieś tę śliczną główkę, niech ci się przypatrzę, niech zobaczę, co z ciebie zrobiła ta romantyczna włóczęga. A! straszznieś się opaliła! — dodała po chwili.

— A! jak cyganka!—śmiejąc się z rezygnacyą przerwała Lenora — to było w naturze moich przeznaczeń. Jak tylko znalazłam się w mym żywiole, na powietrzu... musiałam odzyskać mego rodu cerę...

— Ale ci z tem ładnie, oryginalnie — rzekła Laura, poprawiając się — to nic nie szkodzi... A! napędziłaś nam też strachu tą eskapadą, heroino ty moja!—Pocałowała ją w czoło.—A co się za tobą Lord natęsknił, jak mnie nudził pytaniami...

Lenora mocno się zarumieniła.

— Przychodził do mnie dlatego tylko, że mu salon mój przypominał wieczorne wasze rozmowy... sam mi się do tego przyznał. Oczarowałaś go... Zmartwi się, gdy usłyszy, że z sobą przywiozłaś, a raczej za wozem okutego przywlokłaś niewolnika... jakiegoś z Węgier magnata...

Lenora się uśmiechnęła.

— To mój wybawiciel.

— I zakochany szalenie? — cicho spytała Laura.

— I roztrzepany niezmiernie — odpowiedziała Zara. — Bawi go to... ale nie spodziewam się, ażeby w życiu co brał na seryo... Dobry chłopak...

— Mówią, że ładny...

— I ładny chłopak... i miło wychowany... ale nic więcej.

— Rozumiem, nie kochasz go! No, a tenże ślamazarny trochę wychowaniec, co się dał zabić dla asindzki... żyje?

— Żyje! przywieźliśmy biednego do Warszawy, dzięki staraniom doktora zdaje się, że ocalenie jego zapewnione.

— Wszystko więc jak najszczęśliwiej się składa— przerwała Laura — dodam dla twej wiadomości, że hrabina Pyza i szanowny jej synalek, napsuwszy sobie krwi, pojechali do wód ją naprawiać. W ostatnich czasach tak się im nie wiodło, że niewdzięczną opuścić musieli ojczyznę. Byli przedmiotem niemal powszechnej pogardy.

Panie obie zamilkły... ale Laura umiała cenić czas i pamiętała na krótkość ludzkiego życia, nie mogła więc długiego ścierpieć milczenia.

— Lord już dziś wiedzieć będzie o twoim powrocie... nie darowałby mi, gdybym cię nie uprosiła na wieczór. Musisz przyjść na herbatę...

— Daruj mi, droga pani — ściskając ją, szepnęła Lenora — to być nie może. Cenię twe serce dla mnie, gotową jestem na rozkazy, ale nie będę u mej pani, chyba gdy nikogo tam nie zastanę, gdy same pozostać będziemy mogły... Ze światem zerwałam na zawsze...

— No? a Lord? — szepnęła Laura.

— Lord? ale czemże ja dla niego jestem, a on dla mnie? Dobrymi znajomymi, których się mile wspomina...

— On się szalenie kocha...

— We mnie! w cygance! w córce włóczęgi?—potrząsła głową — a! nie, droga pani, to być nie może! Ta miłość byłaby obelgą dla mnie, bo wieczną i uprawnioną być nie może, a z mej strony ja jej ustępstw nie uczynię... Ko-

chanką niczyją być nie chcę, niczyją żoną nie mogę, zostanę sama...

Laura popatrzała na nią i znalazła ją cudnie piękną w tym zapale i ożywieniu, z czarnemi oczyma ognistemi i różowemi wargi pół otwartemi, z pod których perłowe prawdziwie cygańskie świeciły ząbki.

— Sama! dziecko moje! — westchnęła Laura — tak mówi zuchwała młodość czując w sobie siły do życia... ale przejdą lata... ostygniesz... zmienisz przekonania i przebłagać się dasz kiedyś... Niestety! patrz, aby to nie było za poźno...

— Ja się nie zmienię... bo mój los zmienić się nie może — szepnęła Lenora — nie mówmy o rzeczach smutnych...

Laura korzystając z wyrażonego życzenia poczęła się trzpiotać, paplać, śmiać, opowiadać i tak przedłużyła rozmowę do ostateczności, bo gdy spojrzała na zegarek, była już godzina obiadowa. Wybiegła więc, biorąc dla pospiechu dorożkę do domu, bo spalony i zepsuty obiad był dla niej wielką klęską... jedzenie i paplanie tylko ją już na świecie utrzymywało.

Ale w księdze przeznaczeń napisanem było, że tego dnia obiad będzie jadła przegotowany, pieczyste spalone i leguminę opadłą... w domu bowiem, w chwili gdy wchodziła, nawinął się Lord, który właśnie ze smutną twarzą nie zastawszy jej miał odejść. Nie prosić go na chwilę, było niegrzecznością. Usiadła na kanapie w nadziei, iż

nie długo zabawi, a że Lord wszystko, co czynił, robił powoli, rozważnie, nie spiesząc się, obrachowanie, rozmowa poczęła się bez żadnego względu na porę obiadową.

— Zgaduję, czemu winnam odwiedziny hrabiego—zaśmiała się gospodyni — pewnie już wiecie o powrocie tej mojej heroiny, kochanej Lenorki, od której ja właśnie powracam... nieprawdaż?

— Przyznaję, żem o tem słyszał, i nie będę taił, że to przyspieszyło w istocie moję bytność u pani...

— Otóż to taką szczerość ja lubię — odparła Laura— Prawda? ciekawi jesteście losu tej biedaczki? Wróciła zbiedzona, znękana, opalona trochę, ale piękniejsza niż kiedykolwiek była... a duszą i sercem zachwycająca.

Lord nic nie odpowiedział, patrzał na dno kapelusza. Po chwili milczenia odezwał się spokojnie:

— Kiedyż będziemy mieli szczęście ją oglądać?

Laura westchnęła.

— A! mój drogi hrabio — rzekła — to właśnie najboleśniejsze, że ona ma mocne postanowienie całkiem się od świata usunąć... że chce... no! nie wiem właściwie, co z sobą pocznie, ale mi wręcz na zaprosiny odpowiedziała, iż bywać nigdzie nie myśli, że musi zerwać... Que voulez vous, zna swe nieszczęśliwe położenie, ma swą dumkę i wie, że w świecie naszym nic ją nie czeka nad walkę i upokorzenie.

— Nie rozumiem tego — przerwał Lord stanowczo — żyjemy w XIX. w., dziś nikt o nic więcej oprócz wychowania nie pyta... król Bawarski...

— A! tak, mój hrabio, królom i książętom wszystko wolno... jednakże... trzeba przyznać, iż u nas zwłaszcza wiele się jeszcze zważa na pochodzenie, imię... antécedens... Juściż, kochany hrabio, Lenora przy całej swej wyższości, talentach, wdzięku, rozumie, nie może się spodziewać, aby się z nią kto godzien jej ożenił.

— Dlaczego? — spytał Lord...

— Ale, mój Boże! na cóż to ukrywać, co wiedzą wszyscy? Lenora jest córką cygana... włóczęgi. Ojciec jej żyje...

Hrabia począł patrzeć w kapelusz...

— Tak, to prawda, — rzekł — a pomimo to jednak panna Lenora jest tak uroczą, że gdyby w kim miłość wzbudziła, możeby na to wszystko nie zważał, jeźliby wiedział, że jej serce pozyskał...

Laura spojrzała na poważnego młodego człowieka, który zwolna dobył angielski chronometr z kieszeni, popatrzał nań, schował nazad i rzekł powoli...

— Panna Lenora jest zachwycającą istotą!

— A qui le dites vous? Ja to wiem najlepiej — poczęła żywo Laura — ja, co ją znam lepiej niż wszyscy, ja, co czytam w jej sercu... dla której ona nie ma tajemnic. A! tak to istota zachwycająca!

— Niechże pani, co z nią jesteś tak blizko, stara się

ją odwieść od rozpaczliwego kroku... od tego wyrzeczenia się przyszłości lub — ucieczki z kraju...

— Z pewnością starać się o to będę, ale ona ma charakteru wiele, a jeźli chcecie — uporu...

— Przyjaźń go przełamać powinna...

To mówiąc Lord jeszcze raz na zegarek spojrzał. Laura myślała, że nareszcie zlituje się nad jej obiadem, ale znać roztargniony patrzał na chronometr nie widząc godziny, i znowu, jakby się wahał z wypowiedzeniem myśli, siadł dodając zwolna:

— Ja sądzę, że to są chwilowych wrażeń skutki, znużenie, zwątpienie... które przejść powinno, gdy przemówi głos przyjaźni...

— Zdaje mi się — przerwała Laura — że gdybyś hrabio przybył mi w pomoc, może byśmy zwyciężyli...

— Ja najchętniej — odezwał się hrabia — ale gdzież pannę Lenorę spotkać mogę? Pod wszystkiemi względy nie wypada mi narzucać się jej z odwiedzinami... Czy mogę mieć nadzieję, że ją tu kiedy znajdę?

— Niestety! nie wiem... odmówiła mi — westchnęła Laura...

— Wiesz pani co? — rzekł po namyśle hrabia — nie trzeba zbyt gwałtownie opierać się jej zrazu... Musimy użyć podstępu... Powiedz jej pani, że wcale nie przeciwisz się temu postanowieniu zerwania ze światem, ależ przecie raz, jeden raz, wieczorem u pani być może, aby swych dawnych znajomych i przyjaciół pożegnać. Ten jeden raz

nie odmówi nam bytności swojej... Zbierzemy się w szczupłem gronie może, ale najżyczliwszych, a rachuję na wrażenie tego wieczora, na serdeczne wyrazy, króre usłyszy... że się w postanowieniu zachwieje.

Laura aż uderzyła w ręce z radości.

— Przecudowna myśl! — rzekła — ale mnie musisz hrabio autorstwa jej odstąpić, ja ją przysposobię za własną... i... sprobujemy...

Laura była pewną, że tym razem już Lord jej da zjeść szczątki obiadu, ale on uśmiechnął się poważnie i odezwał:

— Uczyń pani z myślą moją, co się jej podoba, zredaguj ją jenialnie, zmień w czyn... byle ona wpłynęła na zachowanie towarzystwu naszemu osoby, bez której ono osierocone zostanie... Będę oczekiwał na rozkazy pani i niecierpliwie wyglądał tego wieczora, który o losach naszych rozstrzygnie.

To mówiąc pożegnał nareszcie gospodynią. Stefcia czekała we drzwiach na skinienie, by kazać zupę podawać... Obiad był zły... Laura nieszczęśliwa, ale pochwycona kosztem jego rozmowa pełna znaczenia, wyrazy Lorda, pod którymi domyśleć się godziło mnóstwa rzeczy, pocieszała ją tak dalece, że nawet nie narzekała na swą niedolę. Chciała jak najprędzej powtórzyć Lenorze, co o niej mówił hrabia, i była pewną, że teraz musi ona zmienić postanowienie. Wedle niej bowiem, to co milczący hrabia wypowiedział, znaczyło prawie tyle, co formalne oświadczenie się o rękę sieroty...

Sama ta myśl, że tak wielkie a niespodziane szczęście spotkać mogło cygankę, a że do dokonania tego cudu ona się przyczynić miała, paliła ją jak ogniem. Niedokończywszy deseru, nie popłókawszy zębów, narzuciła szal... nie było chwili do stracenia... Niosła z sobą... szczęście! cud! niepojętego coś, niezrozumiałego, olbrzymiego; czuła, że jej wyrazów braknąć będzie na wypowiedzenie... tej niesłychanej nowiny. Lenora nie spodziewając się już wcale dnia tego drugich odwiedzin, niepomału była zdziwiona, gdy ją wśród jakiegoś pakowania czy rozpakowywania sukień i bielizny, napadła piorunowo zjawiająca się w progu Laura.

— A! kochanie moje! — zawołała — przynoszę z sobą... daj mi odetchnąć... ach! przychodzę z dziwnemi rzeczami... Zobaczysz...

Upadła na fotel... Nie mogę mówić, ledwie dyszę, tak nieuważnie biegłam, żeby ci zwiastować niezmiernie ciekawą i ważną wieść... Ale zaraz, niech spocznę...

Cóż to... ty się widzę pakujesz czy co?

— Ja?.. zarumieniła się Lenora — nie... porządkuję...

— Ten tłumoczek...

— To... z drogi... nieśmiało odpowiedziała gospodyni — Ale cóż mi kochana pani przynosisz?..

— Czekaj, niech zbiorę myśli, ażebym się nie poplątała... Czasem, gdy się bardzo spieszę, zaczynam od końca... a chciałabym bardzo dokładnie ci opowiedzieć wszystko! Rzecz niezmiernej wagi! Mówię ci! coś cudownego! Miałam

tylko co rozmowę z Lordem. — Rumieniec wystąpił na twarz Lenory... i ręka, w której trzymyła suknię, zadrzała.

— Wystaw sobie, ledwie się dowiedział, żeś powróciła, przyleciał do mnie. Przyznał mi się otwarcie, że go nie co innego sprowadzało... Pragnął zaraz cię widzieć u mnie. Naturalnie odpowiedziałam mu, że mało mam nadziei, ażebyś nas uszczęśliwiła swą bytnością, bo się chcesz od świata zupełnie usunąć. Jak to posłyszał, zaprotestował... Ja tedy myślę sobie, wybadam cię, kochanku. Zaczęłam mu tłumaczyć, że inaczej postąpić nie możesz, że czujesz swą wartość, a wiesz, iż cię w tym świecie dla głupich nie ocenią przesądów... Od słowa do słowa przyszło do tego, żem powiedziała, iż koniec końcem nikt się nie ożeni z cyganką. Na to Lord, uważaj tylko, moja droga, co to ma za znaczenie w ustach człowieka takiego jak on— na to Lord... to są jego własne słowa... słuchaj!! na to Lord—jak ciebie kocham, powiedział najwyraźniej—panna Lenora jest tak uroczą (c'est son expression), że gdyby w kim miłość wzbudziła, a mógł być pewien, że serce pozyskał... na nicby wówczas nie zważał... Rozumiesz, co to znaczy? — rzekła tryumfująco Laura...

Lenora stała przed nią zarumieniona lecz smutna.

— Droga pani, rozumiem!! rozumiem!—odezwała się— to znaczy, że w chwili szału znalazłby się człowiek, któryby dla dogodzenia namiętności zamknął oczy na następstwa, ale potem?.. Gdy świat by mu począł rzucać szyderstwa w pierś ostygłą, gdy dzieci jego zaczętoby po-

cichu zwać cyganami, gdy w towarzystwie zazdrość jednych, obrażona duma drugich, poczęłyby dręczyć jego żonę... gdy on sam co chwila spotykałby po drodze ironią, dwuznaczne słowa... gdy tę miłość dla istoty odrzuconej przyszłoby mu opłacać codzienną męczarnią!... ileżby razy pożałował! Wystawcie sobie los tej kobiety czującej, że jest kulą u nogi tego, któremu by szczęście przynieść chciała!... A! pani droga! tylko zaślepienie i egoizm mogłyby kobietę pchnąć w taką przepaść nieszczęścia... nieszczęścia tylu istot... drogich.

Zakryła oczy rękami...

Laura słuchała i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, czuła, że Lenora widziała jasno, że sądziła zdrowo... że zbić jej argumentów było niepodobna; zwróciła się więc zręcznie tylko ku podanej sobie myśli ostatniego wieczora pożegnania, i poczęła przypuszczać szturm niezwłocznie przechodząc do tego przedmiotu.

— Wiesz co — rzekła — zrobisz, jak ci się podoba, ja w tej chwili, gdy ty jesteś podrażniona, zniechęcona, zbolała, nie będę z tobą się rozprawiać... Nie chcesz nas?? bolejemy, ale cię zmusić nie możemy; ja proszę o jedno... o wieczór tylko pożegnania... o pokazanie się raz u mnie! Przecież to nie pociąga za sobą żadnych obowiązków; tyle razy ocierałaś się o nas i nic ci się nie stało... Daj nam jeden wieczór...

— Chcesz pani, bym boleśniej po tem czuła rozstanie— spytała Lenora.

— Nie, chcę byś się przekonała, że my ci dobrze życzymy i kochamy... a może kiedyś nawrócona, ostygła... wrócisz do nas jeszcze... Ja proszę jako dowód przyjaźni, o jeden wieczór.

— A! droga pani moja — odezwała się Lenora — czyż godzi się, byś ty prosiła o to, o co ja chyba powinnabym się domagać!

I pospieszyła uściskać ją...

— Więc przyjdziesz?

— Tak! pożegnać was; ale jeszcze jeden mały warunek! Proszę, nie ogłaszajcie, nie mówcie nikomu, że to jest rozstanie i pożegnanie... Byłoby mi przykro stać jak pod pręgierzem i żebrać współczucia...

— Ale nikt, nikt o niczém wiedzieć nie będzie! ręczę, oprócz hrabiego, który już wie o twem postanowieniu — Chwilę zamyśliła się Laura.

— A zatem... proszę cię na piątek na herbatę i rachuję na ciebie. Spraszać wiele osób nie będę... nie chcę ci robić subjekcyi, bądź spokojną...

Uścisnęły się jeszcze, i pani Laura zamyślona, zdziwiona nieco niepowodzeniem poselstwa... odeszła.

Kto znał dawniej Warszawę — o teraźniejszej mowy już nie ma — wie, jakie w niej tętniało życie, jak każdy wypadek ważniejszy, ukazanie się ciekawej postaci, młodego talentu, zajmującego pod jakimkolwiek względem człowieka, rozbudzało wszystkich i wprawiało w pewien rodzaj gorączki; jak się dobijano, aby być u Łuszczewskich, u pana Leona, gdy ktoś przybycie cudzoziemca, znakomitości lub choćby ekscentryka zwiastował. W teatrze na przedstawienie artysty, w resursach na uczty wesołe dawane na cześć przybyłych, docisnąć się nie było można. Miasto potrzebowało żyć i szukało karmi chciwie. Tak samo po domach prywatnych, gdzie kogoś zobaczyć, pomówić z kimś było można, goście proszeni, wpraszający się i nie proszeni napływali...

Mimo zajęcia polityką, z wieczorem piątkowym Laury inaczej też być nie mogło, wygadał się ten i ów, że ostatni raz ma się na nim ukazać owa oryginalna wychowanka wojewodziny, że to jest wieczór pożegnalny, bo ona świat opuszcza... Dodawano, że ma być magnat węgierski w stroju narodowym; że Lenora da się słyszeć na fortepianie, że zgotowano jakąś niespodziewankę, słowem we środę już Laura była oblężona. Napróżno się wymawiała tem, iż dała słowo, że nie będzie prosić nad kilka osób,

każdy chciał być wyjątkiem, używano protekcyi, wciskano się pochlebstwy, i obliczywszy spodziewanych gości przestraszona gospodyni postrzegła, że jej zaledwie starczy salonu, filiżanek i krzesełek...

Ale za to wieczór robił po Warszawie ogromną senzacyą; we czwartek już spotykając się w ulicy pytali wszyscy jedni drugich: Będziesz u pani Laury? i kto na piątek miał zamówione małe kółko znajomych, musiał przyjęcie na inny dzień odłożyć. Lenora wcale o tem nie wiedziała. Gospodyni trochę niespokojna spodziewała się przed nią wytłumaczyć, a pokusie oprzeć się nie potrafiła, boć miło to zawsze, gdy o domu i pani jego tydzień jaki próżnujący rozmawiają.

Na parę godzin przed otwarciem salonu wszystko było w porządku, filiżanek i krzeseł dopożyczono, dwóch lokajów w białych perkalowych rękawiczkach do roznoszenia herbaty najęto, wszystkie lichtarze domowe były w rekwizycyi, dwa ogromne torty stały na stoliku, i panna Stefania zmęczona przystępowała do toalety... O ósmej już w salonie siedziało osób parę, a salon zdrajca miał fizyognomią świąteczną. Nie przewidując takiej exhibicyi Lenora przyszła znowu w sukni czarnej, z jedną kamelią we włosach, smutna, dosyć roztargniona i zakłopotana... Wszyscy ją otoczyli natychmiast... a że goście coraz przybywali tłumniej, nie postrzegła, jak się salon zapełnił. Zmieszana liczbą osób niezwyczajną, rzuciła błagający wzrok na gospodynią, ale ta zrozumiawszy ją nadbiegła i zaklęła się, że nie prosiła nikogo... a cóż miała począć z natrętami?

Nadszedł wreszcie hrabia i zaledwie przywitawszy Laurą i kilka osób, z widocznym pospiechem zbliżył się

do Lenory, co wszyscy uważali. Uważano także rumieniec na bladej jej twarzy, i to, że Lord utkwił przy pięknej cygance... Rozmowa rozpoczęła się natychmiast, z jej strony bardzo ostrożna i chłodna, z jego niezwyczajnie jakoś natarczywa. Kto nie mógł dosłyszeć jej, zgadywał z wejrzeń i ruchów... Byli tacy, którzy ją sobie w pamięci stenografowali z taką trafnością, jak O. Kircher przed Champollionem czytał hieroglyfy.

— Nastraszyłaś nas pani nie pomału — odezwał się hrabia — swym wyjazdem niespodzianym i excentrycznym; ale nareszcie mamy panią znowu i tą razą nie puścimy... Nie śmiem pani pytać o przygody podróży, ale podobno nie zbywało na nich...

— Pojmiesz hrabia, że się z tych familijnych smutków i przygód trudno spowiadać — odparła Lenora.

— Ale to są już tempi passati! — dodał Lord.

— Są jednak wspomnienia, co nie przechodzą, i losy, które się powtarzają...

— Mówiła mi pani Laura... że pani—począł otwarcie— tak masz złe wyobrażenie o świecie naszym, iż zamierzasz... porzucić nas samych?

— Wątpię, by się to komu uczuć dało...

— Przepraszam panią; tłumu nam nie zabraknie, ani liku osób, ale wybranych...

— Hrabio! nie należy zawracać biednej kobiecie głowy pochlebstwem.

— Nie pochlebiam nigdy...

— Jesteś więc nadto a nadto łaskawym.

— Sprawiedliwym!!

— Oszczędź hrabio mnie... to mi czyni przykrość. Każdy

z nas najlepiej zna siebie, a jeźli sumiennym jest, pochwały go bolą jak wyrzuty.

— Pomimo to ja nie mogę znieść, bym się z panią nie pokłócił—rzekł Lord—przyznaję się, że po to umyślnie tu przyszedłem. Bądź pani ze mną otwartą, jestem szczerym jej przyjacielem, wielbicielem... Na co nam grozisz tem, że chcesz zerwać z nami?

— Dobrze, bądźmy szczerzy, panie hrabio; powiedz mi więc, dlaczego wymagacie po mnie ofiary życia, spokoju, swobody dla waszej zabawy i przyjemności? Przypuszczam, jeźli każesz hrabia, że miło wam posłyszeć moje granie, że rozrywam rozmową, że wypełniam jakąś próżnię w salonie; i czyż godzi się, byście mnie skazywali na ten żywot bawicielki i monsterka? Temi biednemi talentami nie potrafię nic zyskać nad oklask chwilowy... chłodny, który rozbrzmi i rozejdzie się prędko... Chcecie więc zabić mnie na ofiarę?

— Nie, kochana pani — przerwał Lord — zdaje mi się, że nie dla talentów i uroku chcemy cię posiadać, cenim twój charakter, umysł... widzimy w tobie istotę wyższą, jakiej naszemu społeczeństwu braknie...

— Zawsze monsterko! — odparła Lenora. — Jestem gościnnie przyjętą a obcą... nie mam i nie mogę mieć rodziny... a pewną jestem zazdrośnych i nieprzyjaciół. Ale przerwijmy tę rozmowę—dodała z uśmiechem—miarkujesz hrabio, że nie mogę się bronić nie tykając wielu rzeczy, którychbym poruszyć nie chciała...

— Jestem posłuszny, milczę — skłonił się hrabia — ale pozwól mnie pani zapytać się szczerze, czy postanowienie, o którem mówi pani Laura, jest stanowcze i niezmienne?

— Po długiej rozwadze i namyśle je powzięłam, i mam niewzruszoną wolę usunąć się... gdzieś w cichy kątek... zniknąć z oczów ludzi.

— Przepraszam panią, będę zmuszony znowu o pierwszy przedmiot zaczepić. Niepodobieństwem jest, byś pani została pustelnicą... musisz żyć z ludźmi; czy sądzisz, że w innych towarzystwa sferach ludzie są wyrozumialsi, skłonniejsi do przyjęcia, do oddania serca i wcielenia obcego kogoś w swą rodzinę? Mylisz się pani, zdaje mi się, demokracya jest w słowach wiele obiecującą... ale sama wyższość pani nie dopuści, by cię tam przyjęto na stopie równości, gdzie umysłem górować będziesz...

Lenora zamilkła, uśmiechnęła się tajemniczo i rzekła:

— Czy między pustynią, wielkiem światem i ludem... nie ma już na świecie kątka, gdzieby sierota bez rodziny familią znalazła?...

— Masz więc pani już coś obmyślonego? — spytał Lord.

— Być może.. zagadkowo szepnęła Lenora usiłując przerwać rozmowę. Nie było wszakże łatwem pozbyć się hrabiego, który z niezmierną grzecznością, ale z niemniejszym uporem krok w krok ją ścigał, czekał, gdy z kim rozmawiała, milczał chwilę, ale starał się nie stracić jej z oka i być ciągle w jej otoczeniu.

Wszyscy zaczęli ją prosić, by grała... nie mogła się oprzeć. Podeszła do fortepianu, zdjęła rękawiczki, usiadła, a że wybór był jej zostawiony, z wielką trafnością, nie chcąc się wydać ze smutnem uosobieniem, nie życząc sobie żadnych sentymentalnych pożegnań, poczęła owego Chopenowskiego poloneza (a dur), który zdaje się napisany, by umarłych cienie z grobu wywołał...

Jest w tym tańcu wojennym, szablistym, kontuszowym coś tak poruszającego, tak elektryzującego, że kto nie poczuje się nim wstrząśniętym do głębi, nie ma w sobie kropli krwi polskiej. Jestto poemat przeszłości, dziki, butny, porywający, szorstki a niesłychanie patetyczny... Ze wszystkich polonezów Chopina ten może najjaśniej przemawia do serca... Jest w nim pieśń wojenna, pochód weselny, coś pijanego i dumnego, a coś razem tak szlachetnego i wielkiego, że dzisiejsze pokolenie czuje się upokorzone i drobne, gdy go słucha. Mimo raźności i wesela... w końcu łzą skończyć go trzeba...

Lenora grała go z ogniem, pasyą, z brawurą niesłychaną, tak jak on być granym powinien... Gdy skończyła... panowało w salonie milczenie uroczyste, którego nikt przerwać się nie ośmielił.

Chciała wstać po nim, ale fortepian otoczono, nie dano jej odejść, modlono o więcej; wybór był trudny... Serce pragnęło czegoś rzewnego, rozum nie pozwalał kwilić na pożegnanie... Po namyśle godząc wymagania jednego i drugiego, zagrała sonatę Beethowenowską, co się poczyna bezdenną rozpaczą i zwątpieniem dogorywającem, a kończy wybuchem namiętnym i ognistym... tę, którą pospolicie zowią sonatą księżycową... (Clair de Lune). W tej muzyce przynajmniej myśl ukryta była tak głęboko, że jej pospolity słuchacz nie zrozumiał, a serce mogło się całe wyśpiewać.

Z ostatnim akordem wstała tak nie odwołalnie chwytając za rękawiczki, była tak zmęczoną i bladą, że jej już nikt nie śmiał prosić o nic więcej. Lord czatował przy fortepianie, aby odchodzącą pochwycić. Godzina była już dosyć spoźniona.

— Grałaś pani cudownie, ale ją to wiele kosztować musiało... rzekł wzruszony... lękam się byś nam pani nie uciekła, a bądź co bądź... jak o łaskę największą śmiem jeszcze prosić o chwilkę rozmowy...

Lenora spojrzała nań i pobladła; poczęli chodzić po salonie.

— Nie mamy tajemnic — odpowiedziała Lenora.

— Pani nie, ja — może!

Szli chwilę razem milczący... stanęli w progu drugiego pokoju, który stosunkowo był daleko mniej przepełniony.

— Tu chłodniej — odezwał się hrabia i postąpił krok naprzód, Lenora zawahała się, ale nie chciała okazać mu obawy ani nieufności — weszła...

— Pani — rzekł pospiesznie hrabia z widocznym niepokojem... przebacz mi, że w miejscu i chwili niestosownej odezwę się niewłaściwie, nieprzyzwoicie; nie mam wyboru... muszę...

— Hrabia z góry możesz być pewnym, iż mu nic za złe nie wezmę...

— Nawet, nawet gdybym tu, lękając się pani stracić, oświadczył jej, że mam dla niej więcej niż najwyższy szacunek, więcej niż najgorętszą przyjaźń...

— Panie hrabio, dosyć!

— Nie dokończyłem: jeśli pani jesteś wolną sercem, a nie uznasz mnie niegodnym swej ręki... proszę o nią... Spojrzał, w oczach Lenory stały dwie wielkie łzy świecące; ujęła jego rękę i powoli słabym rzekła głosem:

— Dziękuję ci, hrabio, z duszy i serca dziękuję, na całe życie moje starczy mi tej chwili promienistej... Jestem

szczęśliwą... Wolno mi powiedzieć ci, że nie kochałam nigdy nikogo, a ciebie kocham i kochać będę jednego do zgonu... ale na Boga, który mnie słucha, przysięgam, że ręka, co nie może być twoją... nie będzie niczyją... Pamięć o tobie poniosę do grobu...

— Jak to? — zawołał przejęty hrabia — nie możesz być moją? dlaczego?

— Nie pytaj, nie mogę! przysięgłam. Nadto kocham cię, bym w twój dom i rodzinę nieuchronne nieszczęście wnieść mogła. Nie mogę! Pozwól mi być godną ciebie... i dlatego nie być twoją; kocham cię, hrabio... nie będę niczyją... rozstańmy się podając sobie ręce i mówiąc: do zobaczenia na lepszym świecie — To mówiąc wyrwała rękę żywo, spojrzała nań, i nim miał czas się rozmyśleć, oprzytomnieć, wysunęła się nie do salonu, ale do pokoju przyległego Stefci.

Hrabia był pewnym, że ochłonąwszy powróci za chwilę, ale czekał już napróżno; Lenora znając dom Laury przez garderobę wysunęła się niepostrzeżona do sieni, narzuciła chustkę i wybiegła w ulicę, spiesząc do domu...

Szczęśliwy ale niespokojny, upojony powrócił Lord do salonu, gdzie postrzeżono wkrótce, iż Lenory nie było. Gospodyni poszła jej szukać... i przekonała się, że uciekła. Przykro jej było, bo naturalnie reszta wieczora była zepsutą. Przechodząc szepnęła tylko Lordowi: A! niegrzeczny panie, pewna jestem, żeś nas pozbawił Lenory... Nie ma jej nigdzie... Musiałeś być nadto natrętnym.

Hrabia nie odpowiedział nic. Wkrótce potem wyśliznął się zamyślony z salonu, a reszta gości pocichu

szepcząc powoli także opuszczać go zaczęła... Krążyły pomiędzy odchodzącymi najrozmaitsze powieści o tym oryginalnym wieczorze, którego Lord i cyganka byli bohaterami.

Kobiety ruszały ramiona i krzywiły usta...

— Gotów się ożenić! ale rodzina nigdy na to nie pozwoli!

— To niepospolita intrygantka! — szeptały inne...

Nazajutrz nikt temu uwierzyć nie chciał, gdy zrozpaczona i napół oszalała Laura rozniosła między wszystkimi znajomymi swymi, iż Czarna Perełka tegoż dnia opuściwszy świat, wdziała na się sukienkę, Siostry Miłosierdzia.

Było to jednak prawdą, a co dziwniej, mówiono, że ją widziano z twarzą wypogodzoną, z uśmiechem na ustach, ze spokojem na czole... spełniającą w szpitalu Dzieciątka Jezus najtwardszą służbę nowicyuszki.

Powieść nasza na tem się kończy... bo Zbigniew uzdrowiony zginął w powstaniu, a magnat węgierski przekonawszy się, iż pobyt jego w Warszawie do niczego nie prowadzi, wprost ztąd do Baden pojechał, gdzie sławna paryzka Loreta na dwa tygodnie go ujarzmiła. Poczem wrócił na Węgry i nie mając co robić zaciągnął się w szeregi najskrajniejszej opozycyi. — Pani Laura nie przestała ubolewać nad rozpaczliwym krokiem swej przyjaciółki, który przypisywała (pocichu) miłości dla hrabiego a przekonaniu, iż małżeństwo byłoby niemożliwem.

Lord stał się bardziej milczącym niż kiedykolwiek, oddał się cały poważnym studyom dziejowym, pracy około

dóbr swych, ulepszeniom gospodarskim; a ilekroć spotykał Laurę w towarzystwach, zdaleka pozdrowiwszy ją uchodził zręcznie od rozmowy... Nikt nigdy nie słyszał z ust jego ani imienia Lenory, ani Czarnej Perełki... i twierdzą ci, co go bliżej znają, iż wcale żenić się nie ma ochoty.

KONIEC.